

Martin Booth

ZŁODZIEJ DUSZ

Przełożył
Michał Ignar

Jaguar

Wprowadzenie

Jak zapewnia Autor, wszelka magia w „Łowcy dusz” jest prawdziwa: zaklęcia, zioła, mikstury i aparatura. Kolofon (☺) pojawiający się w książce to starożytny symbol alchemiczny odnoszący się do *caput mortuum*, głowy śmierci lub czaszki, który symbolizuje rozkład i upadek. Jeszcze dziś jest powszechnie używany jako znak **kłątwy** we Włoszech i na Bałkanach. Inny kolofon to alchemiczny symbol *aurum potabile* czyli płynnego złota, uznawanego za miksturę lub eliksir życia.

Alchemia, przedziwna mieszanka magii i nauki, była w średniowieczu tym, czym jest obecnie chemia. Ludzie praktykujący alchemię, zwani alchemikami, poświęcali się poszukiwaniom eliksiru życia, stworzeniu homunkulusa (sztucznego człowieka), a także wynalezieniu sposobu na zamianę zwykłego (czyli bezwartościowego) metalu, takiego jak żelazo czy ołów w metal szlachetny, jak złoto czy srebro. Nazywano to transmutacją; termin ten wykorzystywany jest także w fizyce jądrowej, na określenie przeobrażenia jednego pierwiastka w drugi, w sposób naturalny lub sztuczny.

Rozdział pierwszy

Oko niewinności i doświadczenia

Fila otworzyła oczy i spojrzała zaspana na budzik. Cyferki na wyświetlaczu przeskoczyły na 6:57. Powoli usiadła, przeciągnęła się, nie wychodząc z łóżka rozchyliła zasłony i wyjrzała przez okno. Rzadka mgiełka znad rzeki wisiała niczym welon nad polami otaczającymi starą posiadłość ziemską Rawne Barton. Kontury drzew na tle szarego światła wyglądały jak żyłki na zbutwiałych liściach. Wzgórza w oddali były ledwie widoczne, a kamieniołom wydawał się ciemniejszą plamką na zboczach. Rudzik na chwilę przysiadł na parapecie, napuszył pomarańczową pierś, ćwierknął raz i odfrunął. Fila uwielbiała te poranne chwile, kiedy była jeszcze zaspana, a świat, podobnie jak ona, nie zdążył się jeszcze w pełni przebudzić.

Jednak gdzieś w głębi brzucha poczuła niepokój, którego początkowo nie potrafiła określić. Stopniowo jednak przypomniała sobie jego przyczynę. To pierwszy dzień nowego semestru, nowego semestru w nowej szkole.

Fila sięgnęła do okna, by przekręcić klamkę. Chłodne, wilgotne powietrze wpadło do pokoju. Pachniało pierwszymi opadłymi tej jesieni liśćmi i trawą, skoszoną przez jej tatę poprzedniego dnia. Ogarnął ją chłód, schowała się więc znów pod kołdrę, starając się ocalić resztki ciepła.

Nagle przez otwarte okno usłyszała hałas. Brzmiał przedziwnie, niczym daleki ryk jakiegoś zwierzęcia, po którym nastąpiło coś jakby walenie o siebie ciężkich kijów. Włosy zjeżyły się jej na głowie. Dźwięk był nieziemski, rozchodził się echem we mgle, która go równocześnie tłumiała. Fila nigdy wcześniej nie słyszała czegoś podobnego.

Wyskoczyła z łóżka jak oparzona. Lękliwie podkulając palce stóp, próbowała namacać kapcie. Bała się, ale ciekawość wzięła górę. Odgłosy musiały mieć racjonalne wytłumaczenie, to zapewne jakieś zwierzę, choć nie przychodził jej na myśl żaden dziki zwierz żyjący w Anglii na wolności, który mógłby tak ryczeć.

Kiedy wstała, odgłosy raptem umilkły. Fila zaczęła się zastanawiać, czy to nie było przywidzenie, może po prostu tuż przed przebudzeniem coś jej się przyśniło. Od kilku tygodni miała niesamowicie sugestywne sny. Trudno się dziwić, pomyślała, skoro latem tyle się działo... Po tym wszystkim, co przeszła, wcale by się nie zdziwiła, gdyby na angielskiej wsi grasował tygrys szablozębny, wypuszczony na wolność przez moce zła lub kogoś niespełna rozumu.

W tym momencie rozdzwonił się budzik. Wdusiła przycisk drzemki i stojąc w kapciach, odwróciła się w stronę krzesła, gdzie poprzedniego wieczora mama przyszykowała jej nowy szkolny mundurek: krawat w żółto-niebieskie paski, białą koszulę, szary sweter i szarą plisowaną spódnice.

Fila zrobiła tylko jeden krok w stronę krzesła, gdy nagle zamarła. Po drugiej stronie sypialni majaczyła w półmroku niewyraźna postać, w połowie schowana za rogiem szafy. Fila gwałtownie nabrała powietrza. Dostała gęsiej skórki na karku i rękach. Poczowała, że dłonie wilgotnieją jej od

potu, a krew odpływa z twarzy. Odruchowo rozejrzała się za czymś do obrony, niestety, **jedynym** takim przedmiotem znajdującym się w zasięgu wzroku, była rakietka do badmintona.

— Nie bój się. To ja — odezwała się cicho postać.

— Sebastian! — oburzyła się Fila.

Sebastian wyszedł na środek pokoju. Na ramionach miał ciemną pelerynę w trudnym do określenia kolorze.

— Mało ducha nie wyzionęłam ze strachu — poskarżyła się Fila.

— Kornie cię proszę o wybaczenie — przeprosił ją Sebastian, kłaniając się szybko. — Nie było moim zamiarem przestraszenie twojej osoby.

— A jednak to zrobiłeś! — burknęła Fila.

Zdała sobie sprawę, że widać jej goły brzuch, obciągnęła więc górę od pizamy poniżej talii i rozmasowała gęsią skórę na rękach.

Fila wraz ze swym bratem bliźniakiem, **Timem**, poznali Sebastiana podczas letnich wakacji. Przez tę znajomość zostali wplątani w niesamowitą, groźną przygodę. Szybko się przekonali, że Sebastian nie jest zwykłym chłopcem. Po pierwsze, liczył około sześciuset lat, ale większość tego czasu przespał w czymś w rodzaju stanu hibernacji. Ponadto miał umiejętności alchemiczne, które przekazał mu ojciec, słynny alchemik.

Rawne Barton zbudował ojciec Sebastiana na ziemi ofiarowanej mu przez króla. Tak więc zgodnie z prawem dom należał do chłopca. Ale teraz Fila uznała, że wcale go to nie upoważnia do zakradania się do jej sypialni o dowolnej porze.

— Czy w twoich czasach do dobrego tonu należało zakradanie się do sypialni damy w środku nocy? — spytała,

zaraz jednak dodała z uśmiechem: — A dlaczego właściwie tak się czaisz?

— Nastał ranek — zauważył Sebastian — minęła noc, ale faktycznie etykieta nie pozwala mi przebywać w twojej komnacie. Jakkolwiek — dodał rzeczowo — moim obowiązkiem jest strzec cię aż do piania koguta. Od czasu do czasu przybywam tu, by się upewnić, że nic ci nie zagraża.

— To znaczy, że stoisz tu jak kołek, kiedy śpię? — odparła Fila, nieco zaskoczona tą deklaracją.

— Nie tylko tu. Mam też pod swą pieczę Tima.

— A on o tym wie? — spytała Fila.

— Nic mu o tym nie wiadomo — rzekł Sebastian — gdyż przemieszczam się po całym budynku. Wartownik, który nie patroluje całego zamku, źle wypełnia swój obowiązek.

Fila wzięła szczotkę i zaczęła rozczesywać potargane po nocy włosy.

— Jakwidać, nastał dzień, więc nie potrzebuję już anioła stróża. Muszę wstawać i ubierać się. Jeśli więc pozwolisz...

Za oknem rozległ się kolejny krótki, chrapliwy ryk. Fila wyjrzała przez okno.

— A ten zew, który wytrącił cię z równowagi, to nic niepokojącego — powiedział Sebastian. — To tylko dwa jelenie. Mój ojciec zwykł na nie polować w asyście króla. Jesień się zbliża i rozpoczęło się rykowisko, samce walczą o samice. Choć Anglia mocno się zmieniła od czasów mego ojca, w lasach i dzikich ostępach wciąż żyją te stworzenia. Spójrz.

Sebastian wskazał przez okno. Na tle mgły, ponad rzeką, Fila dostrzegła sylwetki dwóch imponujących jeleni stojących jak na baczność z potężnymi rogami w powietrzu. Tkwiły naprzeciw siebie na tle światła poranka, zupełnie jakby pozowały do tarczy z herbem. Nagle zwierzęta po-

chyliły łby, na moment zderzyły się porożem, rozdzieliły się i spokojnie rozeszły w różne strony, niknąc we mgle.

— To wspaniałe! — zawołała Fila. — Nie miałam pojęcia, że takie cudowne stworzenia żyją w okolicy.

— To dostojne zwierzęta. Przychodzą z wrzosowiska do lasu. Zwykle można je spotkać tylko o zmierzchu i o brzasku, bo są niezwykle płochliwe — objaśnił Sebastian.

— Posłuchaj — odezwała się Fila, odwracając się plecami do Sebastiana i szczotkując włosy. — Nie potrzebujemy ochroniarza. Dom ma system alarmowy, tata zamontował kamery, komputery i inne gadżety. Gdyby ktoś się tu zakradł, rozbłysłyby światła, zaczęła wyć syrena, a firma ochroniarska dostałaby sygnał o włamaniu.

Sebastian zwlekał z odpowiedzią. W korytarzu rozległy się ciche kroki, a po chwili drzwi do sypialni się otworzyły.

— Typowe — powiedziała z rezygnacją Fila, nie zadając sobie nawet trudu, by spojrzeć przez ramię. — Nigdy nie nauczysz się pukać, Tim?

— Sorki, siostra — odparł Tim, wchodząc i zamykając za sobą drzwi. Miał już na sobie szkolny mundurek. — Gotowa?

— A wygląda na to? — zapytała zgryźliwie Fila.

W tym momencie Tim zauważył stojącego w pokoju Sebastiana.

— Hej! A co ty tu robisz?

Sebastian nie spieszył się z odpowiedzią. Tim spojrzał na siostrę ze zdziwieniem, szybko unosząc i opuszczając brwi. Zerknęła na niego spode łba. Z głębi korytarza dobiegł głos mamy:

— Śniadanie!

Za chwilę rozległ się głos taty:

— Pospieszcie się! Podwoje gimnazjum Bourne End otwierają się przed wami na oścież. Spektakularny kaganek oświaty oświeca wam drogę ku światłej przyszłości akademickiej!

Fila i Tim wymienili spojrzenia. Spektakularny należało do ulubionych słów taty. Sebastian przemierzył pokój.

— Muszę zamienić z wami kilka słów, nim pójdziecie na nauki — zakomunikował, wyjmując z kieszeni peleryny cienki, złoty łańcuszek, z którego zwisał maleńki wisiołek z matowym, białym kamieniem. Wyciągnął klejnot w stronę Fili. — Przyjmij to, proszę, i noś zawsze, zwłaszcza gdy opuszczasz mury Rawne Barton.

— Dzięki — Fila była zaskoczona prezentem. — Bardzo ładny.

Tim mrugnął do Fili i znów uniósł brwi. Posłała mu kolejne mrożące spojrzenie, czuła się jednak mile połączona.

— To nie prezent — sprostował z powagą Sebastian, wieszając i zapinając łańcuszek na szyi Fili — nie jest to zwykła błyskotka, lecz Oko Niewinności i Doświadczenia, niegdyś własność królowej Joanny.

— Królowej Joanny? — powtórzył Tim.

Słyszał o królowej Elżbiecie, królowej Wiktorii i królowej Annie, a nawet królowej Budyce, ale królowa Joanna? Imię nie brzmiało zbyt królewsko. Mieli z Filą cioteczna babkę o imieniu Joanna, która była wredną, starą jędzą.

— Joanna z Nawarry — wyjaśnił Sebastian — była żoną Henryka IV, króla Anglii. Kiedy król wojował z dala od kraju, we Francji — ciągnął Sebastian — wrogowie oskarżyli ją o czary. Podobno chciała zabić męża, rzucając na niego urok. Aresztowano ją i wtrącono do lochu.

— I stracono? — zgadywał Tim.

— Nie — odparł Sebastian — uwolniono ją, kiedy król powrócił i udowodnił, że wisiołek go chronił.

— W takim razie król nosił go podczas walk... — powiedział Tim.

Sebastian przytaknął.

— Super! — zawołał Tim.

— Skąd go masz? — spytała Fila.

— Mój dziad wykonał go dla królowej w roku pańskim 1400. Później mu go zwróciła, przełęka się bowiem mocy, jaką posiada.

Fila spojrzała na wisiołek, który muskał jej skórę. To niewiarygodne, że ten magiczny klejnot był w XV wieku własnością królowej angielskiej, a król nosił go podczas bitew.

— Co masz na myśli, mówiąc o jego mocy? — spytała Fila i ogarnął ją lęk.

— A więc — podchwycił Tim — wszyscy w twojej rodzinie byli alchemikami, nie tylko twój tata?

Sebastian, który nie miał ochoty odpowiadać na ich pytania, uśmiechnął się tylko blado i powiedział:

— Przyjrzyj się dokładnie temu kamieniowi. W tej chwili jest matowy, czasami jednak będzie przejrzysty niczym kryształ. Może też drgać. W takich chwilach powinnaś szczególnie uważać.

Dwa miesiące wcześniej, Fila i Tim uznaliby taką uwagę za niedorzeczność i zastanawialiby się, w jakie gry komputerowe gra Sebastian. Jednak po wszystkim, co razem przeszli, nie byli już zupełnymi niedowiarkami.

— Uważać na co? — spytał Tim.

— Trudno powiedzieć — odpowiedział enigmatycznie Sebastian. — Bądź świadoma tego, że będzie cię ostrzegał

przed bezpośrednim niebezpieczeństwem, ponieważ często był świadkiem zła, dużo się nauczył i pojął wiele.

— Lepiej noś go na lekcjach matmy — Tim poradził Fili z uśmiechem. — To twoja pięta achillesowa, siostrzyczko.

Sebastian spojrział groźnie na Tima.

— Próżno u niego szukać rozwiązań dla problemów — zauważył — ale będzie ostrzegał przed niebezpieczeństwami, które wymykają się ludzkim zmysłom.

— Naprawdę jest nam potrzebny? — spytała wprost Fila, ignorując Tima, który wolał obrócić wszystko w żart.

— Przecież Loudaca już nie ma...

— Wkraczacie w nowy świat — odparł Sebastian.

— Tylko nowa szkoła — rzekł Tim — a nie inna planeta. Już widzieliśmy dyra. Nie wygląda na pomiot szatana.

— Pozory mylą — rzucił jakby od niechcienia Sebastian.

— Lepiej zawsze być przygotowanym na wszystko.

— Śniadanie czeka! Czemu się tak grzebiecie? — zawołał z dołu tata.

Fila uniosła wisiołek. Ważył pewnie nie więcej niż kilka gramów i zdawał się unosić w powietrzu ponad jej dłonią.

— Jeszcze jedno — dodał Sebastian. — Jest przeznaczony wyłącznie dla ciebie i Tima. Nie dawajcie go nikomu innemu. I trzymajcie go w ukryciu, pod ubraniem.

— Skąd mamy wiedzieć, kiedy się zmieni, skoro będzie schowany? — spytał Tim.

— Bez obaw, zorientujecie się — zapewnił Sebastian, i dodał: — Miłego dnia.

Po tych słowach odwrócił się i opuścił pokój. Nim znikł, zobaczyli, jak rąbek peleryny ociera się o drzwi.

— Dwa gołąbeczki tu sobie gruchały, a ja je spłoszyłem? — ironizował Tim.

— Nie — odparła gwałtownie Fila. — Nic podobnego! Może wyjdiesz z mojego pokoju, żebym mogła się w końcu ubrać.

Wypchnęła brata na korytarz i ostentacyjnie zamknęła za nim drzwi.



Przy śniadaniu Fila i Tim siedzieli w milczeniu. Myśli zaprzętała im nie tyle niezbyt przyjemna perspektywa początku gimnazjum, ale wydarzenia minionego lata.

Niesamowicie, że od ukończenia szkoły podstawowej w czerwcu, przeprowadzili się do nowego domu, a także poznali i zaprzyjaźnili się z wielusetletnim synem alchemika. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że Sebastian żył już od wielu wieków, by poskromić zło de Loudaca, wroga swego ojca — w co i oni się zaangażowali. Pomogli powstrzymać de Loudaca przed stworzeniem homunkulusa — sztucznego człowieka — co przyprawiło Filę o koszmarny senne.

Spojrzała na mamę, która stała obok tostera. Wyjęła szufladkę z okruchami i strząsnęła nad zlewem. Co by powiedzieli rodzice, zastanawiała się Fila, gdyby odkryli, że kupili dom, którego właścicielem był niegdyś nadworny alchemik angielskiego króla Henryka V, spalony na stosie na polu obok, zaś jego sześćsetletni syn mieszka w laboratorium we wnętrzu ziemi pod budynkiem, z którego wiedzie tajne przejście do sypialni ich córki?

Myśli Fili zakłócił dźwięk silnika samochodu zapalanego przez tatę. Dziś rano wybierał się na służbowe spotkanie w sprawie swego studia telewizyjnego, po drodze miał ich podrzucić do szkoły.

— Ruszajcie się! — ponagliła mama, zbierając talerze po śniadaniu i wkładając je do zmywarki, po blacie kuchennym przesunęła w ich stronę dwa pudełka z drugim śniadaniem.

Podnosząc plecak, Fila pomyślała przelotnie, co by powiedziała mama, gdyby odkryła, że domu strzeże nie tylko alarm, którego panel znajduje się między lodówką a drzwiami do ogrodu, ale także Sebastian, nowy przyjaciel jej dzieci, który wędruje nocą po domu, jakimś cudem omijając czujki w pokojach na parterze.

— Nad czym teraz pracujesz, tato? — spytał Tim w drodze do szkoły, która mieściła się na przedmieściach pobliskiego miasta targowego Exington.

— Naprawdę cię to interesuje, Timbo? — odparł ojciec.

— Tak — potwierdził Tim — ale nie mam już pięciu lat, więc nie nazywaj mnie Timbo.

— To brzmi jak karma dla psów — dodała Fila.

— Bo jest — odparł tata. — Pojawi się na rynku w przyszłym miesiącu.

— I mam być ci za to wdzięczny? — spytał Tim, zażenowany tą perspektywą.

Pan Ledger skwitował to uśmiechem.

— Jeśli ktokolwiek się o tym dowie — Tim pogroził Fili — wszyscy poznają twoje drugie imię.

By rozładować sytuację, tata ciągnął:

— Pracuję teraz nad nową kartą stałego klienta dla pewnego sklepu.

— Jak się nazywa?

— Karta. Po prostu karta.

— Kiepska nazwa — zauważył Tim.

— Nie zamierzasz robić wideoklipów muzycznych? — spytała tęsknie Fila.

Przed nimi, skrajem drogi siedł uczeń w mundurku gimnazjum Bourne End. Był przysadzisty i niechlujny, miał pomięte ubranie. W ruchach przypominał nieco małpę.

— Nie wiedziałem, że do waszej szkoły chodzą też uczniowie z małpiarni — zażartował pan Ledger.



Rozdział drugi

Żaby zombie i ślepią martwych krów

Na początku pierwszego dnia szkoły wszyscy uczniowie zebrali się w auli. Na podium przed dębowym stołem, zastawionym licznymi pucharami sportowymi i trofeami, stanął dyrektor — doktor Singall.

— Miło mi powitać — odezwał się — wszystkich powracających do gimnazjum Bourne End, a także przekraczających próg naszej szkoły po raz pierwszy. Żywię nadzieję, że przed nami pomyślny i owocny semestr. Wyniki naukowe naszej placówki podczas letnich egzaminów okazały się najlepsze z dotychczasowych, a liczę, że w przyszłości się jeszcze poprawią.

Wskazał dłonią trofea.

— Jak widzicie, są wśród nas także wybitni sportowcy. Przy okazji chciałbym pogratulować Stephenowi Wroxalowi, który latem wygrał Ogólnokrajowy Maraton zawodników do lat 15.

Przemowę zagłuszyły entuzjastyczne oklaski.

— Niemniej jednak — doktor Singall ciągnął, gdy umilkły brawa — szkoła to coś więcej niż tylko wygrywanie pucharów i zdawanie egzaminów. To kuźnia waszej przyszłości. Kształtuje was na takich ludzi, jakimi okażecie się w dorosłym życiu. Tu uczycie się, jakimi będziecie przyjaciółmi, czy będziecie szanować innych, czy będziecie pra-

cowici, a także, ośmielę się dodać, czy będziecie twardymi **graczami**. — Rozejrzał się po auli. Grono pedagogów w towarzystwie dyżurnych stało po bokach pod fotografiami uwieńczającymi szkolne przedstawienia i zwycięskie drużyny sportowe. — Witam was w murach naszej placówki, w imieniu moim, a także całego zespołu pedagogów. Nowicjusze mają prawo czuć się zagubieni przez kilka pierwszych **tygodni**, ale cierpliwości. Wkrótce poczujecie, że należycie do wielkiej rodziny, jaką stanowi gimnazjum Bourne End.

Po tych słowach odsunął się na bok, a jego miejsce zajęła wicedyrektorka, by odczytać szereg informacji. Kiedy skończyła, nauczyciele rozeszli się po auli, by zebrać swe klasy. Najpierw ustawiali uczniów, a następnie rozchodzili się po szkole. Fila i Tim znaleźli się w szeregach siódmej klasy i trafili do skrzydła nauk ścisłych, gdzie mieściły się pracownie wypełnione sprzętem naukowym, wyposażone głównie w taborety i stoły warsztatowe, zamiast zwykłych krzeseł i ławek. Wkroczyli do pracowni, którą napis na drzwiach określał jako: Laboratorium chemiczne nr 1.

Uczniowie weszli po cichu do sali, rozglądając się na wszystkie strony. Niektórzy oniemieli z wrażenia na widok pomocy naukowych. Na szerokich stołach stały rzędy reort, zaś buteleczki z pospolitymi związkami chemicznymi i odczynnikami **znajdowały** się pośrodku w drewnianych i metalowych stojakach. Trójnogi i palniki bunsenowskie stały rzędami obok mosiężnych, lśniących kurków z gazem. Niemal co metr znajdowały się zlewy z białej porcelany, a nad każdym z nich dwa wygięte, mosiężne krany. **O** ile w wielu klasach podłogi były drewniane, ta wyłożona była twardymi płytkami z laminatu, mocno poplamionymi w miejscach, gdzie od lat skapywały odczynniki. Wzdłuż ścian stały przeszklone szafy pełne słoików i puszek z od-

czynnikami, a także sprzętu takiego jak: zlewki, stojaki z probówkami i białe, elektroniczne wagi laboratoryjne.

Uczniowie rozeszli się po sali i usiedli przy stołach. Nauczyciel, który ich tu przyprowadził, stanął za wielkim stołem laboratoryjnym, nieco wyższym niż stoły uczniów. Za jego plecami, przy ogromnej suchościeralnej tablicy osadzony był w ścianie wyciąg laboratoryjny. Miał szklane drzwiczki i boki oraz przewód kominowy ze srebrnej folii prowadzący ze środka okapu do wyciągu w suficie. Przez szklane boki widać było zaplecze służące do szykowania doświadczeń. Podobnie jak klasę, pomieszczenie to wypełniały szafy z odczynnikami i sprzętem. Po lewej stronie, za stołem laboratoryjnym, znajdowały się drzwi na zaplecze, a na nich, na jednej z szyb, napis: Uczniom wstęp surowo wzbroniony.

— Dzień dobry — rzekł nauczyciel, gdy wszyscy usiedli i zwrócili oczy w jego stronę. — Nazywam się Yoland. Jestem kierownikiem pracowni chemicznej. To moja pracownia, ale także wasza klasa, a skoro tak, to musicie... — omiótł wzrokiem twarze uczniów — ...zachowywać się tu nadzwyczaj ostrożnie. Odczynniki są niebezpieczne, wiele z nich to trucizny, nie wolno wam niczego dotykać bez mojej wyraźnej zgody. Ponadto — dodał szorstko — jest tu wiele kosztownych przyrządów, a ja nie zamierzam, powtarzam, nie **zamierzam!**, tolerować jakichkolwiek zniszczeń.

Fila i Tim przelotnie spojrzeli po sobie. Nie tego się spodziewali. W podstawówce, klasy były przytulne, przyjazne dzieciom, ściany zdobiły rysunki, malunki, fryzy i prace uczniów. Obecna sala okazała się przeciwieństwem wszystkich znanych im klas. Ogarnęły ich złe przeczucia. Mimo to oboje byli przejęci perspektywą tego, co ich tu czeka. Wychowawca co prawda sprawiał wrażenie bardzo

wymagającego i srogiego, oboje jednak zdawali sobie sprawę, skąd takie podejście. Laboratorium było naprawdę niebezpiecznym miejscem, w związku z czym musiały tu obowiązywać surowe zasady.

— Żadnego ganiania czy wygłupiania się w tej pracowni ciągnął pan Yoland. — Plecaki wolno wam tu wnosić na początku dnia i wnosić po zakończeniu zajęć. Wewnątrz sali nie wolno niczego spożywać ani pić, a podczas przerw, łącznie ze śniadaniową, nie wolno wam tu przebywać, chyba że w obecności mojej lub innego nauczyciela. Zrozumiano?

Uczniowie przytaknęli w pełnej powagi ciszy.

— Jeśli podczas przerwy pada deszcz i macie zakaz wychodzenia na szkolne boisko, w żadnym wypadku nie wolno wam tu wracać, macie się wówczas udać bezpośrednio do stołówki. Jasne?

Uczniowie znów ze zrozumieniem kiwnęli głowami.

— Dalej — pan Yoland wskazał drzwi — wzdłuż korytarza znajdziecie szafki. Są na nich wasze imiona i nazwiska, radzę więc każdemu sprawdzić, gdzie mieści się jego szafka. Schowajcie tam plecaki i okrycia wierzchnie, a następnie wróćcie do mnie. Zamykacie szafki na kłódki z szyfrem, najlepiej wprowadźcie rok, który ma dla was szczególne znaczenie. Może to być rok waszych narodzin, albo jeszcze lepiej jednego z waszych rodziców czy dziadków, lub jakaś data historyczna, na przykład 1939. Łatwiej zapamiętacie szyfr. Jakież pytania? — Ponieważ nikt się nie odezwał, nauczyciel ciągnął: — Jeśli szyfr wypadnie wam z głowy i woźny będzie musiał rozciąć kłódkę, zapłacicie za tę przyjemność 2 funty i 50 pensów. Kłódki są do nabycia w szkolnym sekretariacie. Inny typ kłódek nie będzie honorowany. I żadnych dyskusji na ten temat. A teraz ruszajcie do szafek.

Wszyscy wyszli z klasy, Fila za Timem.

— Ciekawa jestem, co by powiedział Sebastian na naszą pracownię — szepnęła Fila. Ledwie się odezwała, poczuła że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się za siebie, spodziewając się, że Yoland jej się przygląda, ale on został w laboratorium. Miała za sobą tylko innych uczniów.

Gdy Tim i Fila znaleźli się przy rzędzie szafek, podszedł do nich inny pierwszoklasista. Był niski i krępy, miał gruby kark i dłonie nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do długości rąk. Małe uszka wydawały się wyrastać z boków szyi, włosy w kolorze soli z pieprzem były krótko przycięzione. Fila pomyślała, że to jeden z najmniej apetycznie wyglądających chłopaków, jakich widziała. Tim rozpoznał w nim chłopca, który szedł rano skrajem drogi.

— Ty, mały — chłopak bezceremonialnie zwrócił się do Tima. — Do jakiej budy chodziłeś?

— Dopiero co się tu przeprowadziliśmy — odparł Tim. — Nie znasz jej.

— A ty! — chłopak zwrócił się obcesowo do Fili. — Gdzie chodziłaś?

— To moja siostra — wyjaśnił Tim.

Niezrażony chłopak ciągnął:


— Gdzie mieszkacie?

— Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć — Fila wtrąciła się do rozmowy, bo coraz bardziej irytowało ją chamstwo chłopaka — wprowadziliśmy się do Rawne Barton.

Chłopak myślał chwilę, jakby chciał przetrwać tę informację, a potem obrócił się na pięcie i gwałtownie odszedł.

— To ten neandertalczyk, którego mijaliśmy w drodze do budy — zauważył Tim.

— Nazywa się Scrotton — odezwał się chłopiec stojący obok — Guy Scrotton. Chodził ze mną do podstawówki.



Lepiej na niego uważajcie. To wredny typ. Lubi dokuczać Nlabszym — ciągnął chłopiec. — Podlizuje się nauczycielom. Skarży na innych. Wyjątkowo wredna kanalia.

Fila i Tim znaleźli swoje szafki, a następnie wrócili do laboratorium, gdzie pan Yoland wciąż stał za wielkim stołem.

— W porządku — odezwał się, gdy wszyscy uczniowie znaleźli się znów w sali. — Siadajcie. — Otworzył dziennik i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął pióro ze złotą skuwką. — Gdy wyczytam wasze nazwisko, podejdźcie, proszę, do biurka, podajcie wasz adres zamieszkania, domowy numer telefonu, adres pracy rodziców oraz telefony do nich, jeśli je znacie.

Fila czekała, aż zostanie wywołana, poczuła, że w powietrzu unosi się nikły lecz przykry zapach, który drażnił jej nozdrza.

Pocierając nos szepnęła do Tima.

— Czujesz to?

Myśląc o de Loudacu zwanym także **Malodorem**, czyli „nieprzyjemnym zapachem” — zerknęła ukradkiem na wiśiok. Był matowy, jakby zawierał szary dym. Barwa kamienia ją uspokoiła.

— Śmierdzi zgniłymi jajami — szepnął Tim.

Dziewczynka siedząca na sąsiednim stołku powiedziała szeptem:

— W dniu zapisów pod koniec zeszłego semestru mieliśmy tu lekcję chemii. Tak pachnie gaz o nazwie siarkowodór.

— Proszę, proszę — odparł Tim półgłosem uśmiechając się do niej — niezła jesteś z chemii. — Zwróciwszy się do Fila dodał: — Jeśli w jakichś pomieszczeniach będzie cuchnęło, to albo w tej sali, albo w szatni chłopaków. Jak w podstawówce, przepocone skarpety, brudne slipy i mokre swetry, które zalatują zmokłym na deszczu psem.

— Wiesz co, Tim — szepnęła Fila — czasem bywasz ordynarny.

W odpowiedzi Tim cichutko zanucił tytułową melodię z „Simpsonów” i uśmiechnął się. Uśmiech szybko mu jednak zrzędł, gdy uniósł głowę i ujrzał, że pan Yoland bacznie mu się przygląda z jedną brwią krytycznie uniesioną, mrużąc oczy z dezaprobatą.

— Jeśli chce ci się śpiewać — rzekł zwięźle — możesz się udać do pracowni muzycznej.

— Tak jest — odrzekł zawstydzony Tim.

Pan Yoland przez chwilę wpatrywał się jeszcze w Tima, ale zaraz wrócił do listy uczniów.

Wreszcie wyczytał Filę, która stanęła przed wychowawcą.

— Filipa Ledger? — spytał.

— Zgadza się — potwierdziła Fila.

— Adres?

— Rawne Barton, proszę pana — odparła Fila.

Na te słowa pan Yoland uniósł na moment wzrok nad dziennika. Światło słońca, wpadające przez okno do laboratorium, jakby błysnęło w jego oku. Fila wydawało się, że w głębi jego oka widzi jeszcze inne odbicie, smukłego, drgającego płomienia z zimnym, stożkowatym środkiem tańczącym na lekkim wietrze. Odwróciła się, by sprawdzić, czy na którejś ławce nie pali się palnik bunsenowski, ale wszystkie były zgaszone. Żaden nie był podłączony do kurka z gazem, większość sprzętu była zresztą porządnie schowana od wakacji.

— Naprawdę? — powiedział pan Yoland. — To wspaniały, stary dom. Chyba z XV wieku, ma frapującą historię. Wiele klas było tam na udanych szkolnych wycieczkach. O ile dobrze pamiętam, na terenie posiadłości znajdują się

na najciekawsze rzymskie ruiny w okolicy. Powiedz mi, Fila, **po**, czym się zajmuje twój ojciec?

Robi reklamy telewizyjne — odparła Fila. — Pracuje w domu.

— Fascynujące! Wprost niewiarygodne! — Pan Yoland **z**erknął na listę uczniów i spojrzał na Tima. — A to, jak **nie** domyślam, twój muzyczny brat, Timothy?

- Tak — potwierdziła Fila.

Gdy nauczyciel mówił, Fila poczuła delikatne drżenie **na** piersi, jakby telefon komórkowy wibrował jej przy **N**kórze. Dotknęła wisiorka przez materiał koszuli. Poczula **la** drgania.

Pan Yoland wpisał do dziennika dane Tima i za pomocą staromodnej linijki z mosiądzu i drewna nakreślił kilka **kró**tkich kresek, a obok nich znaki powtórzenia. Fila zwróciła uwagę na to, jak precyzyjne i schludne ma pismo. **A**trament w jego piórze miał kolor sepii — jak stare dokumenty i wyblakłe fotografie.

Kiedy Fila odwróciła się, by pójść na miejsce, poczuła że drgania słabną, jednak płomień gorejący w spojrzeniu pana **Y**olanda pozostawił w jej własnym wzroku przesuwający się obraz, który widocznie wżarł się w jej siatkówkę. Jednocześnie nikły zapach perfum unosił się wokół nauczyciela, jakby skropił się silnym płynem po goleniu o zapachu tymianku i cytryny.

Po wpisaniu wszystkich uczniów, nauczyciel rozdał plan lekcji i mapkę budynku szkoły. Uczniowie mogli opuścić klasę, by odnaleźć sale, w których będą się uczyć.

Gmaszysko było olbrzymie, ale łatwo się było połapać, gdzie co jest. Wszystkie pracownie oznakowano tabliczkami, nawet pakamera woźnego pełna **mopów**, odkurzaczy przemysłowych, wiader i puszek z pastą do podłóg miała

tabliczkę z napisem: Dozorca. Niektóre klasy były naprawdę duże: w pracowni geograficznej zwiisał z sufitu okazały globus, zaś w historycznej stały gabloty pełne kamiennych narzędzi i starych butelek z obrazkami, a na ścianach wisały plany pamiętnych bitew. W pracowni informatycznej stały szeregi komputerów i drukarek. Pracownia do zajęć praktyczno-technicznych kryła maszyny do strugania, piłę tarczową i taśmową, tokarki do drewna i metalu, kowadło i kowadełka — a także stary samochód mini metro rozłożony na części. W plastycznej — stały rzędy sztalug, koła garncarskie i piec ceramiczny do wypalania gliny. Wzdłuż ścian pracowni biologicznej ciągnęły się regały z zakonserwowanymi w słojach okazami — żaby i traszki, spreparowany kurczak, krowi łeb przepołowiony wzdłuż, by było widać wnętrze. Z jednego z naczyń oczy krowy spoglądały niepokojąco z mętnej cieczy.

Ogromne wrażenie robiła sala gimnastyczna: było w niej wiele rozmaitych sprzętów od niebieskich materacy po siatki do salowego krykieta, drabinki i liny, poręczce, ławy, trampolina i kilka kozłów.

Na przerwie Fila i Tim podążyli z innymi uczniami na szkolne boisko. Większość siódmoklasistów rozmawiała z kolegami z podstawówki, a ponieważ Fila i Tim byli tu obcy, trzymali się razem. Zauważyli, że Scrotton też do nikogo nie podchodzi.

— I jak ci się tu podoba? — Fila spytała brata.

— Robi wrażenie — odparł Tim.

— A co sądzisz o Yolandzie? — Założę się, że kiedy został nauczycielem, stosowano jeszcze karę chłosty i musiał nosić czarną togę, w której wyglądał, jak Batman, który zszedł na psy.

— Myślę — dodał Tim — że lepiej z nim nie zadzierać.

Tuż przed dzwonkiem na lekcję znów podszedł do nich Scotton z wkurzającym uśmiechem na twarzy.

— Dobry jesteś z chemii? — spytał wprost Tima.

— Raczej nie — wyznał Tim. — Wcześniej nie miałem tego przedmiotu, moja siostra zresztą też. W podstawówce nie mieliśmy nauk ścisłych.

— Phi! A ja jestem orłem z chemii — powiedział Scotton lekceważąco. Odwracając się, pchnął jakiegoś chłopaka, który akurat znalazł się na jego drodze.

Kiedy już odszedł, Fila powiedziała ściszym głosem:

— Trochę jedzie od niego.

— Ale tylko trochę — potwierdził Tim. — Czas najwyższy, by zaprzyjaźnił się z wodą i mydłem.

— Powinien też nawiązać znajomość z pastą do zębów — dodała Fila — ale ten zapach to nie tylko niemyte ciało i nieświeży oddech. On pachnie... — szukała odpowiedniego słowa — ...jak ziemia.

— I co z tego? — powiedział Tim. — Będziemy się trzymać z dala od niego. Z czasem przestanie się nami interesować, a my będziemy go ignorować. To duża szkoła - samych pierwszoklasistów jest ze dwustu. Jeśli się postaramy, możemy go omijać.

Kiedy wrócili do pracowni chemicznej, czekało ich jeszcze trochę formalności. Scotton wszedł do sali i usiadł na rogu ławki, niedaleko Tima. Wpatrywał się w niego, jakby chciał mu się dokładnie przyjrzeć albo nawiązać z nim kontakt wzrokowy i zacząć rozmowę. Od czasu do czasu spoglądał w stronę pana Yolanda. Nauczyciel, który tylko raz dostrzegł spojrzenie Scottona, zignorował go. Tim również starał się **nie.zwracać** na niego uwagi.

Kiedy rozległ się dzwonek na długą przerwę, Fila i Tim wzięli z szafek drugie śniadanie i udali się z innymi ucznia-

mi do dużej sali z napisem „Stołówka”. Po jednej stronie pomieszczenia stała lada, gdzie można było kupić kartoniki z sokiem lub mlekiem, napoje, herbatniki, słodycze, owoce, porcjowane sałatki i pakowane kanapki. Pośrodku znajdowały się plastikowe krzesła i stoliki. Dzieci usiadły przy jednym i otworzyły swoje pudełka z drugim śniadaniem. Kiedy zaczęły jeść, podszedł do nich Scrotton i usiadł po przeciwnej stronie stołu. Wyglądało na to, że nie ma nic do jedzenia.

— Co tam macie? — spytał.

— Kanapki — odparła Fila.

— Z czym? — dopytywał Scrotton.

Tim kopnął pod stołem Filę w kostkę, ale było za późno

— Z serem i pomidorem — odpowiedziały.

— Dajcie mi jedną. Nie wziąłem z domu — zażąda Scrotton.

— Nic nie dostaniesz — powiedział stanowczo Tim — Jeśli jesteś głodny, to sobie coś kup.

— Zapomniałem pieniędzy — odparł Scrotton.

— Peck! — zawołał Tim i na przekór natrętowi wgrzyzł się w swoją kanapkę, trzymając ją tak, by była widoczna dla Scrottona i dodał: — Moja jest z pastą jarzynową i sałatą

Scrotton i dodał: — Moja jest z pał... Scrotton uśmiechnął się szyderczo i odszedł między stolami.

— Milusiński! — zawołała Fila.

W każdej szkole znajdzie się taki - zauważył Tim

Przez resztę dnia Fila i Tim odwiedzali pozostałych nauczycieli. W każdej klasie dostali komplety podręczników i ćwiczeń. Zanieśli wszystkie książki do szafek. Na przydzielono ich do dwóch różnych grup.

Na koniec zajęć wrócili do pracowni chemicznej, a stan usłyszeli zza ściany odległe kroki Sebastiana przechodzącego wyprawił ich do domu pan Yoland, stojący obok drzwi tego tajnym przejściem.

Przechodząc obok nauczyciela, Fila poczuła przez chwilę coś dziwnego. Chociaż stał co najmniej dwa metry od niej, I rękoma założonymi na piersi, spoglądając w stronę innych uczniów odchodzących korytarzem, poczuła że w pewien sposób do niej dociera. Jakby przechodziła przez pole magnetyczne, które przyciąga każdą komórkę jej ciała, wywołuje mrowienie w każdym mięśniu i szarpie każdy nerw. Metr za panem Yolandem stał Scrotton, który udawał, że grzebie w brudnej torbie sportowej, ale tak naprawdę bacznie przyglądał się Fili.

— Jak wam minął dzień, dzieciaki? — spytał pan Ledger, kiedy wsiedli do samochodu.

— To ogromna szkoła — oznajmił Tim. — Mnóstwo pomocy naukowych. W niczym nie przypomina podstawówki.

— Jasne — podchwycił pan Ledger. — To dopiero szkoła z prawdziwego zdarzenia. Kolejny etap edukacji. Esencja nauki! Koniec z igraszkami w piaskownicy, zabawą kolejkami, tuleniem chomika Jerzyka i serwowaniem ciasteczek z piasku.

— Tato, czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, co robiliśmy w podstawówce? — obruszyła się Fila

Pan Ledger odwrócił na chwilę wzrok od drogi, odwrócił się i puszczając do nich oko powiedział z szerokim uśmiechem: — Nie mam zielonego pojęcia.

Tuż po herbacie Fila i Tim poszli do swoich pokoi, ustawili nowe książki na półkach i przebrali się. Potem Fila usiadła na łóżku, a Tim przysiadł obok. Dziewczynka nachyliła się w stronę ściany i nieśmiało zapukała kilka razy w drewniane deski. Przez chwilę panowała cisza, potem

Przez chwilę panowała cisza, potem Sebastian przechodzący wyprawił ich do domu pan Yoland, stojący obok drzwi tego tajnym przejściem.

Przez kilka tygodni, od czasu walki z de Loudakiem, rzadko spotykali Sebastiana. Parę razy widzieli go z daleka, nad rzeką, zwykle wieczorem: samotna postać snująca się wzdłuż brzegu, pogrążona w myślach, z rękoma splecionymi z tyłu. Dwukrotnie podszedł do domu, ale tylko na chwilę. Był wówczas małomówny. Kiedy Fila spytała go, o czym rozmyśla, rzekł tylko, że choć de Loudaca już nie ma, on, Sebastian, wciąż jest niespokojny i nawet po aqua soporiferum, miksturze nasennej, nie może zapaść w głęboki sen. A to znak, ciągnął, że coś wciąż jest nie w porządku, ale nie wie co. Kiedy Tim spytał go, czy martwi się tym, że Małodor może wrócić, nie odpowiedział wprost, zauważył tylko ogólnikowo, że na świecie pozostało jeszcze wiele zła.

Sebastian wygramolił się zza deski w ścianie i zasunął ją za sobą.

— Mielicie udany dzień? — spytał, usiadłszy po turecku na podłodze przed rodzeństwem. — Jak nowa szkoła?

— Ogromniasta — odpowiedział Tim. — Pewnie ma co najmniej tysiąc uczniów i ponad pięćdziesięciu nauczycieli

— Naszym wychowawcą jest facet od chemii — dodał Fila.

— Dziwny jegomość — ciągnął Tim. — Ma słuch czuły jak nietoperz. Nuciłem sobie coś pod nosem, a on to usłyszał z pięciu metrów. Trochę srogi, ale pracownią naszej klasy jest laboratorium chemiczne, więc pewnie musi być taki.

— Ale to jeszcze nie wszystko — dodała Fila. — Jest przerażający. Kiedy patrzy na ciebie, ma się wrażenie, że przesywa cię wzrokiem.

— Naprawdę? — zdumiał się Sebastian i dodał: —
Opiszcie mi go.

Tim przywołał w myśli wygląd nauczyciela.

— Wysoki — zaczął — chudy, długie, kościste palce.
Brazowe siewające włosy. Dziwaczna fryzura. Łysina na
czubku głowy. Trochę jak u klauna **Krusty** z Simpsonów,
tyle że nie jest zielony.

Sebastian spojrzał skonsternowany.

— Nieważne — powiedziała Fila — pewnie nie słyszałeś
o **Krustym**.

— Szpiczasty nos — ciągnął Tim.

— **A z** nosa sterczą mu włosy — wtrąciła się Fila.
— W uszach też rosną gęste kępki.

— Ile dalibyście mu lat? — spytał Sebastian.

— Musi być po pięćdziesiątce — zgadywał Tim. — Ma
bladą skórę i wielkie uszy.

— A oczy? — dopytywał Sebastian.

Fili ciarki przebiegły po plecach. Domysliła się, ku cze-
mu zmierza ta rozmowa.

— Ciemne — odparła. — I głębokie. Odbijało się w nich
światło wpadające przez okno — zawiesiła głos — zupeł-
nie, jakby wewnątrz jego głowy palił się płomień. Do tego
— dodała — używa płynu po goleniu o silnym zapachu.

— Ziół i owoców cytrusowych? — spytał Sebastian.

Fili znów dreszcze przeszły po grzbiecie.

— Zgadza się — kiwnęła głową — głównie tymianku
i cytryny.

— To wcale nie płyn po goleniu — wyjaśnił Sebastian.

— Tylko woń balsaminki.

— Czego? — zdziwił się Tim.

— Za czasów ojca mego — wytłumaczył Sebastian —
wierziono, że przykre zapachy są źródłem chorób, którym

można jednak zapobiec, przeciwdziałając przyjemnymi woniami. Z tej też przyczyny ludzie nosili przy sobie cytryny i inne cytrusy, często naszpikowane goździkami, by wydzielały mocny, zbawienny zapach. Oczywiście tylko bogacze mogli sobie na to pozwolić, gdyż takie owoce były rzadkie i kosztowne.

— Coś jak aromaterapia — zauważyła Fila. — I co, działało?

— Nie — odparł Sebastian. — Nie da się powstrzymać chorób za pomocą li tylko samych wonności.

— Pod koniec dnia — ciągnęła Fila — kiedy szliśmy do domu, miałam przedziwne uczucie. Kiedy przechodziłam obok Yolanda, miałam wrażenie, że w jakiś sposób mnie przyciąga. Spoglądał w inną stronę, nie był też wcale blisko, a jednak...

— A wisiorek? — spytał Sebastian.

— Nie mogłam na niego spojrzeć, nie budząc podejrzeń — przyznała Fila — ale wibrował, kiedy nauczyciel wpisywał moje dane do dziennika.

Tim zaczął uświadamiać sobie prawdę.

— Chcesz przez to powiedzieć — spytał Sebastiana — że nasz wychowawca...?

— Chciałbym też wiedzieć — ciągnął Sebastian ignorując pytanie — czy jest w waszej klasie drobny młodzian, który budzi wstręt?

Tym razem przytaknął Tim.

— Niech zgadnę — powiedział Sebastian — nazywa się Guy Scratton.

— Scrotton — poprawił go Tim. — Guy Scrotton.

— Czas słowa zmienia — rzekł Sebastian i dodał w zadumie: — Jestem bardziej niż pewien, że wasz wychowawca zwie się Yolanda.

— Tak — potwierdził Tim głosem niewiele głośniejszym niż drżący szept.

— Więc ty ich znasz? — zdumiała się Fila. Czuła, jak strach paraliżuje jej całe ciało.

— Poniekąd — odparł Sebastian. — Powiedzmy, że znam ich dawno, dawno temu.

— Zaraz, zaraz! — zawołał Tim. — Chcesz przez to powiedzieć, że Scrotton i Yoland mają, jak ty, po sześćset lat?

— I potrafią, jak ty, zapadać w stan hibernacji? — spytała Fila.

— Nie — odparł Sebastian. — Żaden z nich nie zna aqua saporiferum, który pozwala mi, jak to ujęliście, zapadać w stan hibernacji. Tylko ja posiadam tę wiedzę, którą przekazał mi ojciec. Pamiętacie o trzech celach alchemii — ciągnął — o których wam mówiłem?

— Stworzenie homunkulusa, przetwarzanie pospolitych metali w złoto i osiągnięcie nieśmiertelności — wyrecytował Tim.

— To ostatnie — dodał Sebastian — można osiągnąć dzięki wynalezieniu elixir vitae, czyli eliksiru życia, znanego także pod nazwą aurum potabile, a więc płynnego złota. Yolandowi najwyraźniej udało się pozyskać eliksir, jednak nie najlepszej jakości, gdyż się starzeje, aczkolwiek powoli.

— Więc i Scrotton czasem łyknie tego eliksiru? — zgadywał Tim.

— Otóż nie — odparł Sebastian. — Scrotton obchodzi się bez eliksiru. Po prostu nie umiera.

— Akurat! — obruszył się Tim. — To niemożliwe. Każda żywa istota, wcześniej czy później umiera.

— Wręcz przeciwnie — zaoponował Sebastian — Scrotton już umarł, dawno temu i teraz... jakby to ująć...

— Zmartwychwstał? — podsunęła zdumiona Fila.

— Niezupełnie — odparł Sebastian. — Raczej zakonserwował się.

— Zakonserwował się! — zawołała Fila.

— Jak marynowane ogórki? — dodał Tim. Spojrzał na Filę. — To by tłumaczyło ten odór.

— Słyszeliście o balsamowaniu zwłok? — spytał Sebastian.

— Starożytni Egipcjanie tak obchodzili się ze zmarłymi faraonami — odpowiedział Tim. — Widziałem o tym program dokumentalny w telewizji.

— Czyniono to — tłumaczył Sebastian — by mogli się odrodzić w ludzkiej postaci w zaświatach.

— Więc Scrotton to starożytny Egipcjanin, który się odrodził! — wypaliła Fila.

— Ucieleśniona klątwa faraonów? — dodał Tim unosząc dłonie, wyginając palce jak szpony i wymachując rękoma.

— Powrót mumii!

— Nie — uciał Sebastian. — Umiejętność balsamowania przywieźli do naszego kraju fenicycy żeglarze na długo przed Chrystusem. Starożytni Brytyjczycy nauczyli się tej sztuki od nich. Jestem pewien, że Scrotton nigdy nie opuścił naszej wyspy.

— To ile on ma lat? — spytał Tim.

— Niech no pomyślę... Jakies sześć tysięcy...

Fila i Tim nie potrafili wykrztusić ani słowa.

— To się nie mieści w głowie — powiedział Tim po dłuższej chwili.

— Chcesz nam wmówić — odezwała się Fila — że mamy w klasie 6000-letniego kolegę ze starożytnej Brytanii?

— Pewnie jego tatuś machał kielnią, gdy budowano Stonehenge — rzucił bez zająknięcia Tim.

- Nie mam pojęcia, co masz na myśli, mówiąc „machał **łeclnią**” — rzekł Sebastian — aczkolwiek nie można wykluczyć, że jego **rodziciel** brał udział w budowie owej **me-
mu** li tycznej budowli.

- Warto, siostruniu — zapalił się Tim — ściągać od niego na klasówkach z histy.

— To wyborny pomysł — przytaknął Sebastian — bo Scrotton wcale nie jest takim półgłówkiem, za jakiego **mo-
żę** uchodzić. Jest bądź co bądź zausznikiem.

— Jakim znowu nausznikiem? — spytał Tim.

Sebastian uśmiechnął się z lekkim pobłażaniem.

— Zausznik to osoba zaufana, pomocnik, czasem **alche-
mika**, czasem kogoś innego praktykującego czary.

— Tak jak czarownice zawsze miały czarnego kota, ropuchę albo coś takiego? — zgadywał Tim.

— Poniekąd — potwierdził Sebastian — choć takie opowieści należy raczej włożyć między bajki. Prawdziwy zausznik był najczęściej osobistym służącym — ciągnął

który troszczył się o potrzeby swego pana czy pani i asystował im przy pracy. Z czasem najbardziej doświadczeni asystenci stawali się niemal tak światli, jak ich pracodawcy, ponieważ z biegiem lat nabierali doświadczenia i zdobywali wiedzę.

Wtedy rodzeństwo przypomniało sobie słowa chłopca, który stał obok nich przy szafkach: podlizuje się nauczycielom. Stwierdzenie to nabrało teraz zupełnie nowego znaczenia — Scrotton może być asystentem **Yolanda**. Fila, chyba po raz pierwszy w życiu, odnalazła dłoń brata na kołdrze i mocno ją ścisnęła.

— W takim razie — odezwała się drżącym głosem, bo wcale niespieszno jej było poznać odpowiedź — kim lub czym jest Yolanda?

— Zapewne pamiętacie — zaczął Sebastian — jak opowiadałem wam o moim ojcu, który był nadwornym alchemikiem u króla Henryka V. Przypominacie sobie, że po śmierci króla rozgorzała walka o wpływy i Humfrey, książę Gloucester, odebrał królewski tron małoletniemu królowi Henrykowi VI?

Fila i Tim kiwnęli głowami.

— Kiedy plan Gloucestera dotyczący przejęcia władzy królewskiej został udaremniony — mówił dalej Sebastian — i jego brata, księcia Bedford obwołano regentem, Gloucester postanowił, że za wszelką cenę zdobędzie władzę. Został Protektorem i Obrońcą Królestwa oraz Kościoła, dostał tytuł szlachecki hrabiego Pembroke. Mocno uwikłany w politykę chciał wiedzieć, co knują jego oponenci. Ktoś musiał mu pomóc, dlatego też zgłosił się do Yolanda i zaczął korzystać z jego usług. Poznali się, gdy Yoland był studentem teologii w Kolegium Balliol na Uniwersytecie Oksfordzkim.

— A więc Yoland był nadwornym alchemikiem Gloucester, jak twój ojciec? — podsunęła Fila.

— Tak! — zawołał Tim, wszystkie wydarzenia ułożyły mu się w logiczny ciąg. — Gdyby Gloucesterowi udała się sztuka przemiany żelaza w złoto, stałby się obłudnie bogaty i mógłby stworzyć potężną armię, a wtedy...

Sebastian uniósł dłoń.

— Śmiała hipoteza — powiedział — aczkolwiek chybiłoby, albowiem Yoland nie był doświadczonym alchemikiem. Przemiana metali czy też powołanie do życia homunkulusa wykraczały poza jego umiejętności. Choć w czasie studiów liźnął wiedzy alchemicznej, był bardziej magiem, którego dziś określilibyśmy mianem magika.

— Magika? — zdumiał się Tim. — To znaczy, że wyciągał z cylindra króliki i monety z uszu?

— Nie — odparł Sebastian, irytując się lekko na bezmyślność Tima. — Był magiem, człowiekiem światłym, kimś, kto posiadał dużą wiedzę. Przytoczyłeś tu sztuczki, wykonywane przez nadwornych kuglarzy i błaznów.

— O jakiej wiedzy mówisz? — spytała Fila.

Sebastian zamyślił się na chwilę.

- Yolanda fascynowała alchemia, jak wielu uczonych mężów w owych czasach, jednak to, co interesowało go najbardziej, to... — zawiesił głos i spojrzał przez okno w stronę rzeki — zrozumienie pierwotnych instynktów człowieka. Można by go nazwać kimś w rodzaju... — Sebastian znów zawiesił głos — ...złego psychiatry, człowieka który pragnął...

— ...wniknąć do ludzkich umysłów — podrzucił Tim.

— Poniekąd — odparł Sebastian. — Chciał poznać motywy kierujące ludźmi, zaglądając w głąb ich dusz. Znając ich pragnienia, mógł sterować ich duszami. I ostatecznie je wykradać.

— Wykradać...? — powtórzyła Fila.

— Nie w takim sensie, jak kradnie się monety czy kosztowności — wyjaśnił Sebastian. — Chodziło tu raczej o rząd dusz. Wystarczy poznać pewne myśli kryjące się w umyśle drugiego człowieka, by osiąść jego najskrytsze sekrety. A im głębiej uda się wdrzeć, tym większą można sprawować kontrolę.

— Chcesz przez to powiedzieć — podsumował Tim — że Yolanda miała wkładać się do umysłów wrogów Gloucester i poznawać ich marzenia, by książę wiedział, jak ich przekupywać.

— Otóż to! — zawołał Sebastian. — I to właśnie miało miejsce. Jednak Gloucester nie wyszedł na tym dobrze. Z czasem rosło grono jego wrogów, jego żonę oskarżono o czary i uwięziono w Pałacu Leeds w hrabstwie Kent.

Część jego popleczników, których — jak to ująłeś — przepuścił, oskarżono o **nastawanie** na życie króla, którego miejsce na tronie miałyby zająć ich mistrz. Wśród spiskowców był syn Glouceстера, Artur.

— A kiedy już odkryto spisek — wnioskowała Fila — to pewnie wszyscy zostali straceni?

— Nie — odparł Sebastian — król im wybaczył. Warto wam wiedzieć, że jego wysokość wiedział o mocy Yolanda. Był przekonany, że ludzie Glouceстера i jego syn zostali zakłęci.

— Co się stało z Gloucesterem? — spytała Fila.

— Zmarł w Roku Pańskim 1447 — odparł Sebastian. — Niektórzy sądzą, że otruli go zwolennicy hrabiego Suffolka, jego wroga. Inni uważali, że przyczyną śmierci była apopleksja. Słyszałem jednak rozmowę, na której podstawie skłonny jestem sądzić, że to Yolanda go zabił, by nikt nie odkrył tego, że maczał palce w obaleniu króla.

— W jaki sposób go zabił? — dociekał Tim.

— O ile mi dobrze wiadomo — odparł Sebastian — podał mu quiche z miodem i szafranem, nadezwany lulkiem czarnym.

— Co za historia — zadumał się Tim. — Nasz wychowawca jest mordercą i zdrajcą, który **zniewala** umysły. Co gorszego można sobie wyobrazić... — a po chwili dokończył — prócz księcia Glouceстера.

— Nie oceniaj Glouceстера zbyt surowo — zaprotestował Sebastian. — Wiele osób nazywało go Dobrym Księciem Humfreyem. Był niezwykle czytany i wielce wykształconym człowiekiem, kolekcjonował książki. Przekazał swój księgozbiór Uniwersytetowi Oxfordzkiemu i wszystkie woluminy zgromadzone są w potężnym gmazysku, zwanym Biblioteką Księcia Humfreya.

— Można je wypożyczać? — spytał zdumiony Tim.

Sebastian **uśmiechnął** się.

— Nie wolno ich stamtąd wynosić, bo to białe kruki, ale można je przeglądać na miejscu.

Super! — ucieszył się Tim.

- Chciałabym coś ustalić — odezwała się Fila. — Yoland potrafi czytać w umysłach innych ludzi, poznawać ich **myśli** i przekabacać na swoją stronę.

— Tak — stanowczo potwierdził Sebastian.

— Więc Yoland potrafi czytać w myślach, jak w otwartej księdze! — zawołał Tim. — I taki człowiek jest naszym wychowawcą. Ale odlot! — dodał z ironią. — Nie będzie **mu** można wciskać kitu typu: „Nie mam dziś pracy domowej, bo zjadł ją kot. Przejrzy każde twoje kłamstwo. Ale nie wydaje mi się wcale taki groźny. Nie będzie nas przecież zamieniał w trytony ani ślimaki, nie chce stworzyć kolejnego homunkulusa, nie mam więc pojęcia, czemu chce wnikać w nasze umysły. Jesteśmy tylko uczniami. Co mu przyjdzie z manipulowania nami?

Fila w milczeniu wysłuchiwała brata.

— Nie byłabym tego taka pewna. — Spojrzała na Sebastian. — Bo po co by tak na mnie oddziaływał?

— Chciał wniknąć w twą duszę — wyjaśnił Sebastian — sprawdzał, jak łatwo może zawładnąć twym umysłem.

Fili aż ciarki przeszły po plecach.

— Czemu ja? — wyszeptwała. — Co takiego kryje mój umysł, że chce w nim czytać? Chce poznać najlepszy szampon na **rozdwijające** się końcówki włosów? Albo dowiedzieć się, jak szukać w Internecie plotek o gwiazdach?

— To się jeszcze okaże — odparł Sebastian, co bynajmniej nie uspokoiło Fili.

W tym momencie pan Ledger zawołał ich z parteru na kolację.

— Czas na mnie — oświadczył Sebastian. — Muszę przemyśleć dalszy rozwój wypadków. Do zobaczenia dzisiaj wieczorem.

Odchylił panel w ścianie i przeszedł na drugą stronę. Deska opadła. Słyszeli, jak schodzi ukrytym w murze przejściem. Robił mniej szmeru niż chrobocząca mysz.

— Domyślam się, że nic wam nie zadali? — spytała mama, gdy usiedli do kolacji.

— Na razie nie — powiedział Tim. — Lekcje się właściwie nie zaczęły.

— Jeszcze wam dadzą popalić — oznajmił złowróbnie tata. — Macie to jak w banku. Niebawem zapomnicie, jak korzystać z pilota telewizyjnego.



Po kolacji Sebastian zajął się Tima, który akurat siedział przy komputerze i grał w rajd samochodowy. Przez kilka minut obserwował przez ramię, jak chłopiec prowadzi brawurowo srebrzystą wirtualną toyotę Land Cruiser krętą drogą wśród wydm na trasie Paryż-Dakar. Dopiero gdy Tim dotarł do kolejnego punktu kontrolnego, Sebastian się odezwał:

— Wszystko przemyślałem — obwieścił. — Musimy pogadać.

Wstąpili po Filę do jej pokoju, zeszli na parter i wyszli na zewnątrz przez kuchnię. Kiedy przechodzili, pani Ledger powiedziała z sympatią:

— Witaj, Sebastianie!

— Dobry wieczór, pani Ledger — odezwał się Sebastian — Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa.

— Dziękuję, mam się całkiem nieźle — odparła z uśmiechem.

Przechodząc obok otwartego okna do kuchni rodzeń-
stwo usłyszało, jak mama zwraca się do taty:

— Jaki ułożony jest ten Sebastian. Zupełnie nie pasuje do dzisiejszych czasów!

Fila i Tim uśmiechnęli się do siebie i poszli dalej.

Zapadał zmierzch, gdy szli wśród pól ku rzece, podążając foieżką wykoszoną na łące przez pana Ledgera. Kiedy dotarli do kępy wierzb chylących się nad wodą, skręcili i ruszyli wzdłuż brzegu rzeki w stronę zagajnika zwanego, od czasów ojca Sebastiana, Edenem. Nurt niósł mnóstwo opadłych liści i gałęzi. Woda była czarna i płynęła wartko. Tim usiłował wypatrzeć pstrągi, tam gdzie dno pokrywały kamiki, ale przy takim świetle nie był w stanie niczego dojrzeć w wodnej toni.

Gdy znaleźli się na skraju zagajnika, Sebastian wszedł między drzewa, kierując się ku polanie. Grządki alchemicznych ziół, które Fila porządkowała raptem parę tygodni temu, bujnie porosły, wiele roślin wydało już nasiona, a niektóre obumarły. Byliny ugiwały się pod ciężarem owoców lub przejrzałych jagód i sprawiały dość ponure wrażenie. Pośrodku polany stała nowa ławka, którą ustawiła pani Ledger. Polubiła ten niewielki zagajnik, często tu przychodziła popołudniami w letnie weekendy, by poczytać lub tylko posiedzieć z mężem przy tace chipsów, butelce schłodzonego wina czy dzbanie margarity z lodem — ich ulubionego letniego koktajlu. Nieraz zachwycała się, że polana jest tak zaciszna, że świat dookoła zdaje się nie istnieć, gdy zaszywa się tam z dobrą książką.

— To iście magiczne miejsce — powtarzała.

Na te słowa jej dzieci zawsze uśmiechały się z pobłażaniem, ale nic nie mówiły.

W ciągu kilku minut Sebastian obszedł polanę, zrywając torebki nasienne oraz zeschnięte liście i umieszczając je w niewielkim skórzanym woreczku wiszącym u paska. Gdy skończył, wskazał ławkę i zaproponował:

— Może spoczniemy.

Na drugim brzegu rzeki samiec bażanta zaczął głośno gdakać w wysokiej trawie, samica podchwyciła jego zew i odezwała się od strony kamieniołomu. Dźwięki te przstraszyły Filę. Małe ptaszki śmigają bezszelestnie wśród gałęzi, szykując się do snu. Lekki wietrzyk pieścił szumiące liście.

— No i? — spytał wreszcie Tim, przerywając milczenie.

— Co się tu dzieje, Sebastianie? W co pogrywa Yoland?

Sebastian odpowiedział dopiero po chwili:

— Jego zamiarów na pewno nie można nazwać grą. Od Malodora różni go to, że nie chce stworzyć homunkulusa, gdyż brak mu odpowiednich umiejętności. Możliwe, że pragnie udoskonalić aurum potabile, ale w jego przypadku raczej bym się tego nie spodziewał. Nie potrzebuje go pilnie, gdyż starzeje się bardzo powoli. Może się jednakowoż skupić na przemianie pospolitych metali w złoto. Ale i o to go nie podejrzewam.

— A czy udało się to komuś kiedykolwiek? — spytała dość sceptycznie Fila.

Sebastian uśmiechnął się blado i przyznał:

— Za czasów mego ojca było wielu szarlatanów, którzy twierdzili, że im się powiodło, by zyskać względy wpływowych ludzi, jednak nigdy nie widziałem tego osiągnięcia na własne oczy. Aliści — ciągnął — to możliwe, przy dzisiejszych osiągnięciach naukowych. Można przetworzyć jeden pierwiastek w inny w odpowiednich warunkach, przy wysokiej temperaturze i ciśnieniu. Mój ojciec opra-

owal teorię, jednak w jego czasach nie udało się osiągnąć odpowiednich warunków. Dziś jest to możliwe.

— Jasne — potwierdził Tim — ale nie w próbówce w szkolnym laboratorium.

— W istocie — potwierdził Sebastian. — Aczkolwiek, dysponując odpowiednim sprzętem Yoland może dopiąć swego.

— No tak! — zawołał Tim. — Odpowiedni sprzęt! Placówka naukowa wielkości miasteczka, z tysiącami pracowników i wielomiliardowym budżetem. Skromny nauczyciel chemii na państwowej posiadce może o tym najwyżej pomarzyć. Poza tym — ciągnął — na co on liczy? Rząd czy Bank Angielski albo podobna instytucja mogłaby wykorzystać to bogactwo, ale zwykły śmiertelnik niewiele może zrobić ze złotem.

Sebastian spojrział ze zdumieniem.

— Nie rozumiem — powiedział. — Złoto jest najkosztowniejszym kruszcem.

— Czas na trzydziestą drugą lekcję ze studiów XXI wieku — obwieścił Tim. — Za twoich czasów, gdy ktoś chciał kupić chleb, przynosił do piekarza monetę z brązu i dostawał za nią bochenek — zaczął.

— Raczej kilka bochnów — sprostował Sebastian — a moneta była srebrna.

— Wszystko jedno — powiedział Tim, szukając innego przykładu. — No, dobra, ile twój ojciec by zapłacił za porządne konia?

— Nie rozeznaję się w tym — odparł Sebastian.

— Rozumiem — powiedział Tim — ale jak za niego płać?

— Monetami, zwykle ze szczerego złota lub uncjami złota — wyjaśnił Sebastian. — Tak dobijało się targu.

— No właśnie — podchwycił Tim. — Dziś jest inaczej. Jeśli chcesz coś kupić, możesz oczywiście zapłacić monetą. — Wyjął z kieszeni monetę funtową, podrzucił ją do góry, złapał i znów schował. — Wygląda na złotą, ale wcale nie jest. Ma niewielką wartość. Wystarczy co najwyżej na porcję frytek. Nie wolno nam jednak lokować ani wyciągać złota z banku. Spróbuj zapłacić złotem w kasie i pasztet gotowy! Alarm zaczyna wyć, kraty zamykają się automa-
tycznie, zamykają się drzwi i zaraz otaczają cię smerfy.

— Co za smerfy? — spytał Sebastian.

— Tak pieszczotliwie nazywamy policję — wyjaśniła Fila.

— Chodzi o to — ciągnął Tim — że nawet gdyby Yolan miał odpowiednie środki, produkcja złota byłaby stratą czasu, bo nie mógłby nim płacić ani spieniężyć go, nie wzbudzając podejrzeń. Nie można sprzedać złota, jeśli nie zostało w coś przetworzone, powiedzmy w biżuterię, ni da się też kupić złota, prócz biżuterii, no chyba że jeste licencjonowanym kupcem tego kruszcu. Wszystkie nasz pieniądze są w zasadzie wirtualne. Lepiej by zrobił, gdyb podrabiał karty kredytowe lub debetowe.

— Karty debetowe? — powtórzył Sebastian.

Tim wyjął skórzany portfel z kieszeni na biodrze, a z niego z kolei kartę.

— Oto — podał ją Sebastianowi — zakodowany przez komputer kawałek plastiku, który wystarczy w sklepi przeciągnąć przez czytnik, by natychmiast odpowiedni kwota została zdjęta z twojego rachunku bankowego. Mogę coś kupić, a żywa gotówka nie przechodzi z rąk do rąk.

Sebastian wziął kartę, odwrócił ją i przyjrzał jej się **baczenie**

— To w rzeczy samej frapujący pomysł — powiedział.

Z krańca Edenu rozległo się ciche pohukiwanie puszczyka. Sebastian omiótł wzrokiem drzewa w poszukiwaniu ptaka

— Czy ta sowa...? — zaczęła Fila.

— Tak, to tylko zwykła sowa. Nie ma się czym trwożyć — uspokoił ją Sebastian. — Tu jesteśmy bezpieczni.

Puszczyczek wzbił się do lotu i powoli przeleciał wśród drzew w ich stronę. Przysiadł na gałęzi klonu, strącając deszcz nasion ze skrzydełkami, które sfrunęły na ziemię w piruetach niczym miniaturowe helikoptery.

- Jak mniemam — odezwał się w końcu Sebastian — masz rację, Tim. Nie próbuje przemieniać metali, bo nie posiada takiej mocy. Niegdyś chciał, by mój ojciec mu w tym pomógł, on jednak wiedział, że Yoland jest nikczemnikiem i odmówił współpracy, w związku z czym jego starania spełzły na niczym.

— Więc i Yoland, podobnie jak Malodor, był wrogiem twego ojca — powiedziała Fila.

— Yoland — rzekł cicho Sebastian — był jednym z tych, którzy zdradzili ojca mego. Był jednym z tych — dodał — którzy podłożyli ogień pod jego stosem.

Tim w geście współczucia położył dłoń na ramieniu Sebastiana.

Puszczyczek znów wzbił się do lotu, przeleciał na drugą stronę rzeki i rozpląnął się w gęstniejącym mroku. Fila obserwowała jego niezborny lot, póki nie znikł w ciemności.

— Zapada noc, czas wracać — oznajmił Sebastian.

W mrocznych godzinach wszelkie zło ma używanie.

Wstali i ruszyli polem w stronę domu. W oddali stadko dwudziestu owiec zbiło się pod rozłożystym dębem. Ich właścicielem był Geoff, miejscowy farmer, któremu pan Ledger zezwolił na wypas na swych gruntach. W niknącym świetle dnia wyglądały niczym gęste obłoki mgły wtulone w ziemię. Gdy cała trójka zbliżyła się do zwierząt, kilka z nich podniosło się na nogi. Najpierw niezgrabnie unosiły

tył, a dopiero potem przód. Tim, który niósł halogenowa latarkę, poświecił w pyski owiec. Oczy zwierząt zabłyśły srebrzyście.

— Spójrzcie! — zażartował. — Włączyły przednie światła.



Nazajutrz rano na pierwszej lekcji była biologia. Młoda nauczycielka, do której zwracano się „Panno Bates”, uwielbiała swój przedmiot i pragnęła swą pasją zarazić uczniów,

— Biologia — powiedziała — to nauka o życiu, organizmach mniejszych niż łąpek od szpilki i większych od słoni

Na potwierdzenie swych słów przygotowała rząd mikroskopów i preparatów przy jednej ze ścian pracowni. Uczniowie oglądali je kolejno. Filę zauroczyły małe stworzonka brykające w połowie centymetra sześciennego wody na płaskiej płytce Petriego. Jak głosił napis obok, były to *Daphnia pulex*, czyli pospolite rozwielitki. Kiedy Tim spytał, czy kłują, jak pszczoły kocie czy psie, Panno Bates uśmiechnęła się i zapewniła go, że nie. Kolejny preparat był szkielecikiem ze skrzydłem motyla pokryte łuskami mieniącymi się w świetle. Obok znajdował się przekrój łodygi roślinnej, gdzie widać było naczynia, które w nich płyną soki.

Kiedy uczniowie oglądali kolejno eksponaty, Tim spostrzegł Scrottona. Chłopak trzymał się z dala od reszty, z to chodził krok w krok za nauczycielką, zadając jej szczegółowe pytania na temat wystawionych preparatów. Ona powiadała, ale jak zauważył Tim, Scrotton ją irytował, więc w końcu kazała mu siadać na miejsce. Usłuchał, ale wykrzywił się za jej plecami, co nie uszło uwagi Tima.

Kiedy oglądanie dobiegło końca, panna Bates kazała każdemu podejść do wybranego przez siebie okazu i **narysować** na pierwszej stronie zeszytu do biologii. Tim wybrał krowi ząb przecięty pionowo na pół, dzięki czemu widać było korzeń, kanał nerwu, kolejne warstwy szkliwa i zębiny. Fila usiłowała narysować rozwielitkę, ale ponieważ jej nie wychodziło, zdecydowała się na skrzydło motyla, starała się jak najdokładniej odzwierciedlić wszystkie żyłki i puszek na jego brzegu.

Pod koniec lekcji przerwała na chwilę i wyprostowała się, żeby rozluźnić mięśnie. Od siedzenia na stołku przy stole laboratoryjnym, nachylania się nad mikroskopem i rysunkiem rozboleły ją plecy. Kiedy się przeciągała, przypadkowo spojrzała na rzędy eksponatów w formalinie przy jednej ze ścian pracowni. W pewnym szczelnie zamkniętym słoju spreparowana żaba rozpięta była na pleksiglasie. Trzymała się na nitkach przywiązanych do koniuszków kończyn. Usunięto jej jelita, by dobrze było widać układ krwionośny, żyły i tętnice zabarwione na różne kolory. Od każdego organu cienka, biała niteczka wiodła ku plastikowej etykietce z objaśnieniem.

— Pieczara grozy — zauważył po cichu Tim. — Biologia może i jest nauką o życiu, ale oprócz tego kaktusa w doniczce — spojrzał w stronę okna pracowni — dafni, panny Bates i nas, wszystkie stworzenia w tej sali dawno odwaliły kitę.

Ledwie wypowiedział te słowa, a Fila wzdrygnęła się.

— Co jest, siostruniu? — zdziwił się Tim.

Wskazując głową gablotę z preparatami w formalinie, wymamrotała:

— Ta żaba...

— Co z nią?

— Ona... — zaczęła Fila.

— Co takiego?

— ...żyje.

— Zgłupiałaś! — prychnął Tim. — Żaba zombie.

Fila była pewna, że żaba wraca do życia. Jej serce było słabo, kończyny, przymocowane do przezroczystej płytki, poruszały się, jakby pław starał się oswobodzić. Głowa chodziła na boki.

— Żyje! — upierała się Fila.

— Wykluczone! — odparł Tim, przypatrując się eksponatowi w słoju. — Ten gad już dawno wydał ostatnie tchnienie. Zaraz mi powiesz, że mrugnęło do ciebie jedno z tych oczu w formalinie.

— Przyjrzyj się! — nalegała Fila.

By nie robić siostrze przykrości, Tim spojrzął. Żaba, której ciało zdążyło przez lata wyblaknąć w formalinie, była na stałe przymocowana do pleksiglasu.

— O, teraz! — Fila wymamrotała pospiesznie. Była pewna, że tylna kończyna wierzgnęła pociągając za nitkę.

— Widziałeś?

— Nie — odparł Tim. — Ani drgnęła. Wierz mi, siostrze, ona już dawno wykitowała.

Nie zauważyli, że Scrotton przygląda im się zza podręcznika z uśmiechem na twarzy.



Kiedy Fila siedziała wieczorem na swoim łóżku i oglądała telewizję, deska w ścianie odchyliła się i ukazał się Sebastian.

— Ty też mógłbyś się nauczyć pukać — powitała go chłodno.

— Racz mi wybaczyć — odezwał się Sebastian. — Nie chciałem cię zaskoczyć. Nie zdążyłem się jeszcze przyzwyczaić do tego, że dom jest zamieszkały, choć jesteście tu już od paru miesięcy. Rzadko kto tu mieszkał na przestrzeni tych lat, przywykłem więc do tego, że jestem jedynym rezydentem.

Usiadł twarzą do niej na stołeczku przed toaletką.

— A ten starszy pan, który tu mieszkał? Tak zwany wujek?

— Nie zabawił długo — odparł Sebastian wymijająco.

— Dlaczego po śmierci twego ojca — ciągnęła Fila — domu nie przejęli jego wrogowie? Na pewno mieli na niego chrapkę.

— Zaiste — potwierdził Sebastian — ale się nie ośmielili.

— Czemu?

— Bo się lękali — powiedział otwarcie Sebastian.

— Czego? — dociekała Fila.

— Mnie — rzekł.

Fila wlepiła w niego oczy.

— Ciebie?

— Mejej mocy — dodał Sebastian.

Tim, słysząc ich głosy, przyszedł ze swego pokoju i usadowił się na brzegu łóżka Fili.

— Przyjdzie ktoś jeszcze na tę imprezę? — Uśmiechnął się do Fili i puścił oko. — A może powinienem się tu czuć jak piąte koło u wozu?

Fila spojrzała na brata, mając nadzieję, że jej spojrzenie uciszy go do końca wieczoru. A może na jeszcze dłużej. Tim udał gestem, że zamyka sobie usta na suwak.

— Rozmyślałem dziś wiele o Yolandzie — oświadczył Sebastian.

— I do jakich doszedłeś wniosków? Co on knuje? — spytał Tim.

— Wyrazić tego nie zdołam — przyznał Sebastian. — By poznać prawdę, jak miemam, muszę wniknąć do szkoły waszej, by poddać go obserwacji.

— Świetna myśl! — zawołał Tim, wspominając letni spacer z Sebastianem na smyczy, pod postacią brązowo-białego teriera. — Czym będziesz tym razem? Nie wpuścisz cię do szkoły jako psa. A już na pewno nie do klasy.

— Mógłby zamienić się w myszkę — podsunęła Fila. — Chodzę na gimnastykę z dziewczyną, której pupilkiem jest szczurek. Trzyma go w kieszeni, a podczas WF-u chowa go w pudełku do swojej szafki.

— A może kot? — zaproponował Tim. — Widziałem, że jeden kręci się po szkole.

— Muszę mieć większe pole manewru niż zwierzę — wyjaśnił Sebastian. — Nie podejrzewam, by Yoland wpuścił kota do swego laboratorium. Nadto chcę go poobserwować nie tylko wówczas, gdy mnie mija. Pragnę dokładnie przyrzeć się jego osobie. W niniejszym celu — oświadczył — muszę przystąpić do waszej klasy.

Tim i Fila spojrzeli po sobie.

— To nie takie proste. Nie można ot, tak sobie pójść do szkoły. Trzeba się najpierw zapisać, musisz się znaleźć w rejestrze — wyjaśniła Fila.

— To jeszcze nic — dodał Tim. — Musisz mieć szkolne ubranie. I nie wystarczy, że będziesz wyglądał jak my. Musisz się też zachowywać podobnie. Trzeba z ciebie zrobić współczesnego chłopaka.

Sebastian spojrział nieco urażony i powiedział:

— Nie odnoszę wrażenia, bym był od was odmienny.

— Żarty sobie stroisz! — parsknął śmiechem Tim.

— Ależ ja nie dworuję sobie — obruszył się Sebastian.
— On nie dworuje! — powtórzył Tim i spojrzał na Filę.
Czeka nas tu niezła metamorfoza i nie wystarczy do niej
szkolna marynara i para tenisówek.

Sebastian przyjrzał się sobie od stóp do głów i rzekł
nieco ironicznie:

— Nie widzę, by współcześni młodzieńcy mieli po trzy
ramiona czy pięć nóg. Od czasu moich narodzin ludzka
anatomia prawie się nie zmieniła.

— Faktycznie — przytaknął Tim — za to zmieniła się
cała reszta.

— Wybornie — powiedział Sebastian, stając sztywno
pośrodku pokoju, jakby w oczekiwaniu na przymiarke mary-
narki u krawca — uczyńcie ze mnie człowieka współczesnego.

Fila i Tim przyjrżeli się Sebastianowi.

— Dobra — odezwała się końcu Fila wyłączając telewi-
zor — bierzmy się do roboty.

— Po pierwsze — zaczął Tim — musisz się wyluzować.

— Wyluzować? — Sebastian spojrzał niepewnie.

— Być na luzie — wyjaśnił Tim. — Niech wszystko ci
zwisa.

— Co takiego ma mi zwisać? — spytał Sebastian.

— Tak się mówi — powiedziała Fila.

— Nie bądź taki sztywniak — ciągnął Tim. — Kontakty
międzyludzkie są dziś mniej oficjalne. Na przykład język
nie jest taki akuratny. Zamiast „Dzień dobry” mów „Siem-
ka”, a zamiast „Jak się miewasz” — „Jak leci?”. Nie mów
„Nie podoba mi się to” tylko „To kwasi”. A jeśli coś ci się
podoba, mówisz „Ale odlot”.

— O ile dobrze rozumiem, termin określający ptasie
migracje stał się teraz superlatywą — zauważył sarkastycz-
nie Sebastian.

Przez pół godziny rodzeństwo uczyło go gwary młodzieżowej. Sebastian zupełnie nie mógł pojąć, dlaczego „wypasiony” oznacza „pierwszej klasy”, a „bułka z masłem” — „prosty”. Nie potrafił znaleźć związku, jak to ujął, między dobrze odżywionym zwierzęciem gospodarskim czy pieczywem a pochwałą jakości czy przystępnością działania. Nie mieściło mu się też w głowie, dlaczego przekąska: bułka parówką zowie się „hot dogiem”. Rozumiał słów „zarżnięty”, bo w XV wieku byli przecież rzeźnicy, ale dla czego wyraz z jatki stał się czasownikiem „wyczerpany”, takich zmian językowych nie potrafił pojąć. A już ze słowem „hicior” Sebastian zupełnie nie potrafił sobie poradzic.

— Posłuchaj — wyjaśnił Tim — nie staraj się dociec skąd pochodzą te słowa. Po prostu zaakceptuj ich nowość.

— I jeszcze jedno — dodała Fila, — mamy takie powiedzenie „czarna magia”.

— A, jeśli o to chodzi — ucieszył się Sebastian — to jestem z tym pojęciem bardziej niż dobrze obeznany.

— Oznacza, że czegoś zupełnie nie kapujesz — wyjaśniła Fila.

— Na przykład — dodał Tim — dostajesz z matmy jakieś okropnie skomplikowane zadanie...

— ... i mówisz — dokończyła Fila: — to dla mnie czarna magia.

Sebastian wlepił w nich wzrok.

— Mój rozum tego nie obejmuje ... — zaczął.

— Nawet nie staraj się tego zrozumieć — uciął Tim.

— Po prostu przyjmij do wiadomości.

— A kiedy będziemy w szkole — poradziła mu Fila — i będziesz miał z czymś problem, to trzymaj buzię na

klódkę, słuchaj i się ucz. Bądź miły dla nauczycieli, ale
wól, że to my będziemy mówili. Szybko zajarzysz.

— Zajarzę? — powtórzył Sebastian.

Tim uniósł wzrok i powiedział:

— Tak, popłyniesz z prądem, będziesz czaić bazę, za-
trybisz. Cokolwiek zrobisz, nie mów tylko: „Jak mniemam,
pogoda będzie nam dziś litościwa”, gdy chcesz powiedzieć,
te nie będzie padało. Wszyscy pomyślą, że urwałeś się
z choinki.

— Ależ człowiek nie może się urwać z choinki — ob-
ruszył się Sebastian. — Siła ciężenia...

— Dość! — krzyknął Tim, unosząc dłoń.

— To, żebyś gadał jak należy, to jedno — powiedziała
Fila — ale... Przyjrzyjmy się twjej postawie.

— Nie dostrzegam nic niewłaściwego w postawie mojej
- bronił się Sebastian.

— Wyglądasz jak na defiladzie — powiedział Tim.
- Nikt dziś nie stoi tak, jakby połknął kij. Wszyscy się
garbią.

— Faktycznie — rzekł Sebastian z lekką naganą w głosie
— nie uszło to mojej uwagi.

— I nie ubieramy się tak porządnie. Nawet nam do twa-
rzy w szkolnych mundurkach — powiedziała Fila — ale
wcale byśmy ich nie nosili, gdybyśmy nie musieli. A więc
sam rozumiesz, czasem koszula wystaje nam odrobinę albo
krawat jest założony trochę za luźno. Trzeba to zwykle
poprawić, kiedy **pojawiają** się nauczyciele, ale poza tym nie
musimy być tacy **porządniccy**. Tak więc...

— Niech wszystko mi zwisa? — podsunął Sebastian.

Tim się roześmiał.

— Niezupełnie. To, że komuś coś zwisa, określa jego
nastawienie. A ciuchy bywają rozchełstane.

— Widzę, że ludzie w tym stuleciu — zauważył Sebastian — folgują sobie znacznie bardziej niż za czasów ojca mego, ale warto wam wiedzieć, że obracałem się w kręgach królewskich, w których ludzie odziani byli strojnie, a ich uprzejmość i dworskie maniery były znaczące. Tu muszę nadmienić, że nie wszyscy Anglicy byli tacy. Chłopsstwo nosiło bardzo prostackie i marne odzienie, nie przyswajało dworskiej etykiety i w dużym stopniu przypominało współczesnych ludzi.

— Sugerujesz — powiedział Tim udając złość — że należymy wszyscy do pospólstwa?

Sebastian spojrział na Tima i odpowiedział wymijająco:

— Jesteście tym, za kogo się uważacie.

W czasie tej rozmowy, Fila bacznie przyglądała się Sebastianowi.

— Jest jeszcze coś — odezwała się, podeszła do Sebastiana i stanęła obok niego. — Wybacz mi, ale...

Uniosła dłonie i zmierzwiła mu włosy. Gdy tylko zabrała dłonie, włosy opadły i wróciły do poprzedniego kształtu.

Fryzura Sebastiana była zdecydowanie staromodna. Włosy miał za długie, a do tego końce się lekko podwijały. Uczesanie przypominało jej paziów z książek do historii.

— Trzeba coś z tym zrobić — uznała Fila. — Tylko jedno rozwiązanie przychodzi mi do głowy.

Pogrzebała w szufladzie swej toaletki i wyjęła nożyczki. Cztery minuty później Sebastian miał już nową fryzurę, jego włosy były krótkie za uszami i nieco dłuższe na karku. W kilku miejscach sterczały dłuższe kosmyki.

— Odrobina żelu to załatwi — powiedziała Fila i uniosła lusterko przed Sebastianem. — Gotowe. Witaj w XXI wieku!

Sebastian przyjrzał się swemu odbiciu.

— Jak ci się podoba? — spytał Tim.

— Jeśli mam być szczerzy — odparł Sebastian — nie **jestem** nadmiernie zachwycony.

— O ile dobrze rozumiem — Tim zwrócił się do siostry to znaczy, że mu się nie podoba.



Nazajutrz przy śniadaniu Tim się zadumał. Zwykle buzia mu się nie zamykała, a dziś pogrążony był w myślach. Fila domyślała się, co mu chodzi po głowie, bo też się martwiła. Ostrzyć Sebastiana i nauczyć go trzymać język za zębami lub mówić bardziej współczesnym językiem to **jedno**, a zupełnie co innego zdobyć dla niego mundurek i wprowadzić jego dane do szkolnego komputera.

Przez prawie cały ranek Tim zastanawiał się, jak tego dokonać. Jedyne komputery jakie widział, znajdowały się w sekretariacie i pracowni **informatycznej**. Jeszcze przed południem poszedł w czasie przerwy na spotkanie organizacyjne kółka komputerowego, miał nadzieję, że ułatwi mu to dostęp do komputerów w pracowni. Faktycznie, mógł z nich korzystać, ale okazało się, że nie są podłączone do szkolnego intranetu.

— Mamy pecha — powiedział do Fili, kiedy rozległ się dzwonek. Jednak na kolejnych zajęciach pojawiła się szansa.

Dyżurny z biblioteki przyszedł po wszystkich nowych uczniów, by zapoznali się z zasadami korzystania z księgozbioru.

Tuż za głównymi drzwiami do biblioteki stało wielkie drewniane biurko, a za nim siedziała bibliotekarka. Uczniowie weszli do środka i ustawili się przed nią w kolejce po karty **biblioteczne**, ona wprowadzała ich dane do

komputera. Tim podejrzwał, jak bibliotekarka się loguje wpisała nazwę użytkownika i hasło. Łatwizna — wedl plakietki na swetrze nazywała się **Anne Patterson**. Jej na **zwa** użytkownika to pata, zaś hasło — Tim widział, jak j wklepuje — książki.

Tim **odczekał**, aż wszyscy dostaną karty, a wtedy **szepną** do Fili:

— Zajmij ją czymś. Odciągnij ją od biurka.

Fila kiwnęła głową.

Po chwili podeszła do biurka:

— Przepraszam. Czy mogłaby mi pani **wyjaśnić**, na **jakie** działy podzielony jest księgozbiór? Nie **mieliśmy** w pod- stawówce takiej wypasionej czytelnii.

— Ależ oczywiście, kochanie — podchwyciła **bibliote-** karka, mile zaskoczona, że oto jakaś uczennica woli, by oprowadzić ją po bibliotece niż przestawiać książki na pół- kach. — Chodź ze mną, moje dziecko, pokażę ci, jak **po-** ruszać się po księgozbiórze.

Bibliotekarka wstała zza biurka. Tim odczekał, aż znikną za pierwszym rzędem półek, upewnił się, że nikt go nie obserwuje, usiadł za biurkiem i szybko się załogował, uży- wając danych dostępu kobiety. Szkolny serwer stanął przed nim otworem.

Pośpiesznie dodał nowego ucznia do rejestru. Jako imię wpisał Sebastian, uznając że im mniej będzie kombinował, tym **lepiej**, zaś w polu nazwisko **wklepał**: Gillette, nazwę maszyny do golenia, której używa tata. Gdy system zapy- tał o adres poprzedniej szkoły, Tim wymyślił naprędce fik- cyjną szkołę w Manchesterze, bo takie najdalsze miasto przyszło mu akurat do głowy. Jako adres Sebastiana **wpisał** Chata, Rawne Barton, uśmiechając się przy tym pod no- sem. W końcu Sebastian ma dostęp do podziemnego la-

Tim w laboratorium i budynku dawnej powozowni, który jego tata
f zamierzał przerobić na biuro, z własną skrzynką pocztową.
f Jako rodziców Sebastiana wpisał Dawida i Annę Gillette.

Ledwie nacisnął klawisz „wyjdź” i wylogował się, gdy
bibliotekarka wróciła z Filą, która zerknęła na brata, by
sprawdzić, czy skończył. Ukradkiem kiwnął głową i odszedł.

Kiedy siedzieli razem w stołówce na długiej przerwie,
pałaszując kanapki, Tim szepnął:

— Nazywa się Gillette, Sebastian, chodzi do naszej klasy.

Pod koniec dnia, tuż przed opuszczeniem szkoły, Fila
powiedziała:

— Została jeszcze jedna sprawa. Gillette S. potrzebuje
mundurka.

— Się robi! — oświadczył Tim. — Stań tylko przed tymi
drzwiami z otwartą torbą.

Fila zrobiła, co jej kazał. Tim otworzył drzwi wahadłowe
i znikł w szatni dla chłopców. W sali gimnastycznej obok
rozgrzewały się dwie drużyny piłkarskie. Tim szedł szybko
obok rzędu wieszaków, szukał marynarki i spodni, które
pasowałyby na Sebastiana. Nie było to trudne, bo Tim
i Sebastian nosili podobny rozmiar. Szybko znalazł to, cze-
go potrzebował, nie minęło pół minuty, a niósł pod pachą
zrolowane ubranie. Starał się iść nonszalancko w stronę
drzwi, wyszedł z szatni, upewnił się, że korytarz jest pusty
i wrzucił zdobycz do torby Fili, a ona szybko zasunęła
suwak.

— Mam wyrzuty sumienia — wyznała Fila.

Tim uśmiechnął się.

— Przecież robimy to dla dobrej sprawy.

Ruszyli korytarzem, a wtedy Tim uświadomił sobie, że
o czymś zapomniał.

— Czekaj — powiedział. — Muszę tam wrócić.

Znów zakradł się do szatni, a po chwili pojawił się z szkolnym krawatem w dłoni.

— Betka! — powiedział do Fila, gdy opuszczali budynek szkoły.

Wieczorem w pokoju Tima Sebastian założył mundurek, trampki Tima i jedną ze swoich koszul. Kiedy się ubierał, Tim zebrał trochę długopisów, ołówków, gumkę oraz linijkę, a także stary kalkulator, włożył je do sfatygowanego piórnika, którego używał w podstawówce i umieścił w torbie lotniczej, którą miał z wakacji sprzed dwóch lat.

— Francja elegancja — powiedziała ironicznie Fila, kiedy przebrany Sebastian się im zaprezentował. — Wyglądasz, jak jeden z nas.

— Powaga? — obruszył się Tim.

— No, powiedzmy, prawie — przyznała Fila.

— Jest nadal tym, kim był — rzekł Tim. — Piętnastowieczną podróbą dzieciaka z XXI wieku.

— Rzecz jasna z tak umodelowanymi włosami — zauważył żałośnie Sebastian. — Zrobię co w mej mocy, by dostosować się do współczesnych standardów.

Tim wzruszył ramionami.

— Jest jeszcze coś — powiedziała Fila. — Lepiej usuńmy imię i nazwisko chłopca, któremu zwinąłeś marynarkę i spodnie.

Wzięła ubranie i usunęła metki z nazwiskiem właściciela za pomocą nożyczek do paznokci, a na ich miejsce wszyła naszywki z danymi Tima.

— Nie tylko szkoła się na to nabierze — powiedziała Fila — ale także mama. A to znaczy, że możemy wrzucać brudy panicza Gillette'a do prania razem z naszymi.

— Gnębi mnie jeszcze jedna rozterka — zauważył Sebastian. — Jak się dostanę do szkoły? Wszak to szmat drogi.

A nie możesz się tam przenieść za pomocą czarów?
podsunął Tim. — Zamień się w ptaka, a następnie w człowieka w kabinie chłopięcej szatni lub w komórcie na rowery.

— Niby tak — potwierdził Sebastian — to oczywiście możliwe, ale nie byłoby nazbyt rozsądne. Kiedy przybędę do szkoły, musi się wszystkim wydawać, że drogę pokonałem jak moi rówieśnicy. Yoland i Scrotton są czujni. Młodzian, który nagle pojawia się zza budynku, za który wcześniej nie wchodził, może wzbudzić podejrzenia.

— A więc będziemy musieli go podwieźć — oznajmiła Pila.

— Mama się zatrzyma, jeśli go zobaczy — powiedział Tim. — Ona uważa cię za ósmy cud świata. Radzę ci, Sebastianie, stań na pierwszym zakręcie przy drodze wiodącej z Rawne Barton. Mama musi zwolnić przed zakrętem. Bądź dobrze widoczny i idź powoli, jakbyś zmierzał do szkoły.

— Wybornie — powiedział Sebastian — ale co masz na myśli mówiąc o tym cudzie?

— Daj spokój — odparł Tim z uśmiechem. — Tak się mówi. Uznaj to za komplement.

Sebastian wzruszył ramionami, pokręcił głową i rzekł:

— A teraz pozwolicie, że was pożegnaj i do zobaczenia po jutrzence w wyżej wymienionym miejscu.

— Spróbuj jeszcze raz — polecił mu Tim.

Sebastian pomyślał chwilę:

— Dobrej nocy. Do zobaczenia rankiem w ustalonym miejscu.

— Lepiej — ocenił Tim. — Daleko ci do ideału, ale znacznie lepiej.

Po tych słowach Sebastian przeszedł przez dziurę w ścianie i znikł.

— Myślisz, że się uda? — spytała Fila, gdy na schoda umilkły ciche kroki Sebastiana.

— A ty? — odparł pytaniem Tim.

— To prawie niemożliwe — odpowiedziała. — Wciągnięcie go do rejestru i sprawienie, by wyglądał jak przeciętny uczeń z siódmej klasy to nic w porównaniu z tym, co nas jeszcze czeka.

— No, niestety. — powiedział Tim. — Jak wyskoczy jutro z jakąś „rozterką” czy „jutrzenką”, to koniec.



Nazajutrz, gdy pani Ledger zwolniła przed zakrętem, spotkali Sebastiana, idącego poboczem.

— Czy to nie Sebastian? — zauważyła mama.

— Tak, to on! — zawołał Tim, udając zaskoczenie. — Możemy go podwieźć?

— Ależ oczywiście — powiedziała pani Ledger. — To prawie dziesięć kilometrów!

— Może łapie autobus przy skrzyżowaniu — dodał Tim.

— Albo jeździ rowerem — podsunęła Fila.

— Ale nie dzisiaj — zauważyła mama.

Zjechała na bok i nachyliła się przez fotel dla pasażera, by otworzyć drzwi.

— Dzień dobry, pani Ledger — przywitał się uprzejmie Sebastian.

— Dzień dobry, Sebastianie — powitała go. — Może cię podrzucić?

— Dziękuję uprzejmie — powiedział.

Sebastian zajął przednie siedzenie.

— Pas — rzuciła pani Ledger, ruszając z miejsca.

Nieco zdezorientowany Sebastian spojrzął na siedzącą przy tyłu Filę. Chwyciła swój pas i udała, że go zapina. Sebastian zrozumiał i przypiął się.

— Wpadka numer jeden... — Tim szepnął do siostry.

Pani Ledger skupiła się na prowadzeniu. Prawie nikt nie mówił podczas drogi do szkoły. Zajechali pod bramę i dołączyli do tłumu uczniów przywożonych przez rodziców, przyjeżdżających rowerami, szkolnym autobusem i przybywających na piechotę. Kilkoro nauczycieli stało na szkolnym boisku, obserwując nadchodzących, dyżurni kierowali nowych uczniów z rowerami w stronę stojaka na jednoślady. Fila i Tim poszli w stronę swojej klasy, a za nimi udał się Sebastian. Zauważyli, że wciąż się rozgląda. Nie brało się to z ciekawości, analizował tylko twarze uczniów i nauczycieli.

Kiedy znaleźli się w korytarzu obok pracowni chemicznej, Tim otworzył swą szafkę i podał Sebastianowi swój syfr. Następnie cała trójka weszła do klasy.

Yoland stał przed stołem laboratoryjnym, pochłonięty ustawianiem przyrządów do doświadczenia dla starszej klasy. Kiedy weszli, tylko na chwilę uniósł wzrok. Sebastian obszedł pracownię, przyglądając się szafkom, buteleczkom z odczynnikami i kwasami, słojami i puszkami związków chemicznych za przeszklonymi drzwiczkami. Potem podszedł do rodzeństwa i **usiadł** obok nich na krańcu stołu.

— Zauważyłeś coś? — szepnął Tim.

— Wiele rzeczy — odparł tajemniczo Sebastian.

— **Timowi** chodzi o to — wtrąciła się Fila — czy zauważyłeś coś ciekawego?

— **O**, tak — odparł obojętnie, a jego głos zagłuszały hałasy i śmiechy dochodzące z korytarza. — Każdego dnia widzę w waszych czasach wiele ciekawych rzeczy.

Stopniowo klasa wypełniła się uczniami, którzy siadali na stołkach przy stołach, przygotowywali podręczniki do porannych lekcji, wyjmowali długopisy, kilkoro wyłączyło telefony komórkowe. Jako ostatni zjawił się Scrotton.

— Dzień dobry — powiedział głośno Yoland, jego głos uciszył rozmowy. — Mówiłem wam już o kilku podstawowych zasadach, których należy przestrzegać w tej pracowni. Nie będę się nad tym dłużej rozwodził. Ale musicie być ostrożni. Nie kładźcie na stołach jedzenia. Nie wkładajcie do ust ołówków ani długopisów. Wiele substancji, z którymi mamy tu do czynienia to trucizny, a zdarza się, że któraś wyleje się na blat. Myjcie dokładnie ręce. Poruszajcie się po tym pomieszczeniu powoli i ostrożnie. Zamieszajcie marynarkę czy łokciem i nieszczęście gotowe. Milkniecie, gdy tylko pojawię się w klasie. Nie chodzi tu tylko o dobre maniery i należy mi szacunek ale przede wszystkim o to, byście dokładnie słyszeli moje instrukcje.

Yoland mówił, a Sebastian nadal przyglądał się stojącym w szafach akcesoriom i zastanawiał się, do czego mogły służyć. Było tu wiele nieznanymi rzeczami.

Raptem Yoland przerwał i wskazał palcem Sebastiana.

— Hej, ty! — powiedział.

Sebastian uniósł wzrok i powiedział:

— Słucham pana?

— Czym ty się teraz zajmujesz, mój chłopcze? Masz mnie słuchać.

— Tak jest — odparł Sebastian.

Yoland przez chwilę bacznie mu się przyglądał. Timow serce podeszło do gardła. Fila poczuła, jak skóra jej cierpieć ze strachu. Nagle pomyśleli: Czyżby Yoland rozpoznał Sebastiana?

— Pierwszy raz cię widzę — zauważył nauczyciel.
— Faktycznie — potwierdził Sebastian — spóźniłem się.
— W rzeczy samej — powiedział Yoland. — Spóźniał-
Nkich nie lubię na równi z nieuważającymi. — Otworzył
dziennik. — Jak się nazywasz?

— Sebastian Gillette, proszę pana.

Nauczyciel zwrócił się do Scottona.

— Idź do sekretariatu i poproś o wydruk z danymi Gil-
lette'a.

Scotton opuścił klasę, by pojawić się po paru minutach
z wydrukiem. Yoland przestudiował świstek papieru i wpi-
sał dane do dziennika, mówiąc przy tym:

— Nie miałem pojęcia, że na terenie Rawne Barton jest
chata.

— To dawna powozownia — odezwał się Tim, by rato-
wać Sebastiana z opałów. — Przerabiamy ją teraz, proszę
pana, na biuro dla mojego taty i domek letniskowy. Na
zimę wynajęliśmy ją rodzinie Gillette'ów. Mieszkają tam,
a tymczasem rozglądają się za jakimś domem, który mog-
liby kupić.

— Doprawdy? — odparł Yoland udając kompletny brak
zainteresowania.

Wziął dziennik i wówczas rozległ się dzwonek na pier-
wszą lekcję.

Kiedy szli w stronę pracowni matematycznej, Tim ode-
tchnął z ulgą i **powiedział**:

— Jeden dla bohaterów pozytywnych, zero dla Yolanda.

— Przez chwilę myślałam, że cię rozpoznał — rzekła
Fila.

— Nie ma obawy — odparł Sebastian. — Nigdy nie
poznaliśmy się oficjalnie za czasów ojca mego. Byłem
wszak tylko chłopcem. Jak Scotton. Niegdyś widziałem

go z oddali, ale on mnie nie zna. Póki co — dodał Sebastian. — Ale musimy mieć się na baczności, bo niechybnie mają ze sobą konszachty, a wspólnie mogą dysponować potężną siłą.

Rozdział trzeci

Wpływ chimery

W ramach pierwszej pracy domowej z biologii uczniowie mieli rozpoznać i narysować dowolne znalezione stworzenie. Tim wybrał stonogę, nie tylko dlatego, że pełno ich wokół stosu drewna na opał za powozownią, ale także dlatego, że narysowanie tego owada to łatwizna. Sebastian i Fila postawili sobie bardziej ambitne zadania. Sebastian skupił się na dżdżownicy, zaś Pila oczarowana dafniami, postanowiła poszukać innych maleńkich wodnych żyjątek.

— Musisz szukać w wodzie stojącej — podpowiedział jej Tim. — Może w rzymskim stawie? Woda stoi w nim od dwóch tysięcy lat.

Fila wróciła myślami do lata, gdy Sebastian brodził w ciemnej wodzie wśród rzęsy wodnej, starając się palcami stóp wymacać w mule srebrną rzymską monetę, złożoną tam bogom w ofierze w trzecim wieku.

Fila założyła kalosze, wzięła czerwone, plastikowe wiadro i udała się w stronę źródła przez Rawne Ground — największe z tutejszych pól. Nadciągała jesień, krótką trawę rosnącą kępkami skubały owce, które zbiły się w gromadę przy żywopłocie. Obserwowały ją, gdy zbliżała się do stawu. Śliska, czarna ziemia na jego brzegu była stratowana przez kopyta zwierząt i przypominała trzęsawisko.

Fila zanurzyła wiadro w wodzie i pozwoliła, by wypełniło się w jednej czwartej.

Owce ruszyły w jej stronę z przeciwnej strony pola. Fila nie zwracała na nie uwagi. Zawsze, gdy pojawiała się w pobliżu, podchodziły i spoglądały na nią nieobecny, mętny, tępy wzrokiem typowym dla owiec. Nawet stary tryk, któremu został tylko kikut jednego rogu, nie interesował się nią.

Brzeg stawu, gdzie pęcherzyki z bijącego źródła wypływały na powierzchnię, okalały z trzech stron niskie ociosane kamienie, woda wypływała przez wyłożony kamieniami kanałek po drugiej stronie. Latem kamienie kryły się w gąszczu wysokiej trawy, teraz jednak widać było je jak na dłoni, pasowały do siebie jak ulał, choć nie użyto ni grama zaprawy murarskiej.

To niesamowite, pomyślała Fila, że na tych samych kamieniach stawali rzymscy żołnierze. Sięgnęła do wody i wyrwała z mułu kępkę turzycy, dorzuciła ją do wiaderka, miała bowiem nadzieję, że w jej korzeniach tętni życie w miniaturze. Zdawała sobie sprawę, że większość zebranych organizmów, podobnie jak rozwielitki, będzie za mała, by cokolwiek narysować bez pomocy mikroskopu. Miała jednak porządne szkło powiększające i liczyła na to, że taka pomoc wystarczy do odwzorowania organizmów wodnych widocznych gołym okiem.

W miejscu, gdzie wyrwała korzenie, ujrzała w mule coś ziemisto-czerwonego. Schyliła się, by wyjąć znalezisko. Opłukała je w wodzie. Był to fragment naczynia ceramicznego z zarysem jakiegoś zwierzęcia. Gdy bacznie mu się przyjrzała, uznała, że to jakiś baśniowy stwór, przedstawiony w biegu, z paszczą pełną zębów, zaokrąglonymi uszami szczura i kocim ogonem. Przed nim, tam gdzie

aczynie pękło, znajdowała się widocznie tylna część ciała zmychającego zwierzęcia z wyprostowanymi tylnymi kończynami.

Włożyła odłamek do kieszeni i zaczęła gramolić się ze stawu. Duży bąbel cuchnącego gazu wypłynął na powierzchnię, w miejscu gdzie muł wciągał jej but.

— Diabeł puszcza bąki! — zawołał z uśmiechem Tim.

Fila podskoczyła, nieomal straciła równowagę, spod stóp chlapała jej woda.

— Nie pukasz do drzwi, zakradasz się niepostrzeżenie. To wcale nie jest śmieszne po tym wszystkim, co nas spotkało latem. Co tu właściwie robisz? — dodała.

— Stonogi są nudne — przyznał Tim. — Chcę sprawdzić, czy w stawie są traszki. Teraz, kiedy zmaciłaś wodę swoimi buciorami, moje szanse na złapanie trytona spadły poniżej zera. Wracajmy do domu i miejmy już te bazgroły z głowy. — Wskazał głową wiadro. — Na pewno w tej brei znajdzie się coś i dla mnie.

Kiedy odchodzili od stawu, kolejny, jeszcze większy bąbel gazu pojawił się w miejscu, gdzie biło źródło. Leniwie wypłynął na powierzchnię, unosił się chwilę i pękł. Gaz, którym był wypełniony, zapalił się na moment. Zielony płomień pełgał na wodzie, by po chwili zgasnąć.

Fila odskoczyła, wiadro mało nie wypadło jej z ręki.

— Co to było? — spytała głosem piskliwym ze strachu.

— Bagienny gaz — odparł Tim nonszalancko. — Powstający z gnijących roślin. Czasem potrafi się sam zapalać. Nazywają to błędnymi ognikami. Wyluzuj. Nie ma się czego bać.

Jego słowa nie przekonały Fili.

— Myślałam, że bagienny gaz to metan — powiedziała.

— Faktycznie — potwierdził Tim.

— A przecież — rzekła — metan pali się niebieskim płomieniem. Każdy, kto ma kuchenkę na gaz ziemny, to wie.

— Wzrok nam czasem płata figle — odparł Tim. — Ale jeśli masz stracha, to spójrz na wisiorek.

Fila zajrzała pod koszulkę. Kryształ był przejrzysty niczym okrusz szkła. Dotknęła go. Drżał gwałtownie.

— Uciekajmy! — wrzasnęła, upuszczając wiadro i popędziła w stronę domu. Tim ruszył za nią. Owce widząc ich ucieczkę, nieśpiesznie puściły się w pogoń.

W połowie drogi do furtki, zdyszany Tim zawołał:

— Zaczekaj chwilę, siostró! Moje nogi nie są stworzone do biegania w kaloszach. Przed czym uciekamy?

Zerknął przez ramię. Owce wciąż podążały za nimi, ale zostały jakieś pięćdziesiąt metrów w tyle, dreptały niespiesznie, jak zwykle bez ładu i składu, niczym wielkie mopy na nogach.

— Nie mam pojęcia — odparła Fila. — Wisiorek b przezroczysty.

— Ale przy stawie — zauważył Tim. — Jaki jest teraz? |

Fila zerknęła szybko.

— Robi się matowy.

— A wibruje? — dopytywał Tim.

— Nie — odparła Fila.

— Więc jesteśmy bezpieczni — uznał Tim i zwolnił kroku.

Fila ciężko dyszała, aż czuła ucisk w piersi. Też zwolniła i z niepokojem zerknęła za siebie. Owce sunęły miarowym krokiem, stado prowadził tryk. Kiedy spojrzała na niego, zabeczał głośno. W jego rozdziawionym pysku dostrzegła ostre jak igły kły drapieżnika. Z jednego kła zwisały strzępki krwawej miazgi. Wełna po jednej stronie głowy barana, a także jego pysk były utyłane krzepnącą krwią, jakby dopiero co zagłębił szczęki w świeżej zdobyczy.

Fila przyspieszyła kroku, Tim nie zostawał w tyle. Po-
ykała się o kępy traw i ślizgała w miejscach objedzonych
do gołej ziemi przez owce. Nogi ją bolały od niewygodnych
buciorów. Przy każdym kroku guma przylepiała się jej do
lydek i ocierała skórę.

Fila dotarła do furtki i pokonała ją, wspinając się po
pięciu żerdziach z szybkością, o jaką siebie nie podejrze-
wała. Tim przesadził furtkę jednym susem, przy czym jego
lewy but poszybował w powietrze. Kiedy znaleźli się po
drugiej stronie ogrodzenia, stanęli obok siebie, zasapani.
Fila czuła, że nogi ma jak z waty. Owce przydreptały do
furki i zbiły się w nieładzie.

— To tylko owce — zauważył ze wstydem w głosie Tim,
przyglądając się stadu. — Przed czym tak uciekaliśmy?

— Przyjrzyj się ich zębom — powiedziała Fila. Ledwie
wypowiedziała te słowa, a tryk zabeczał, na co odpowie-
działa mu jedna z owiec. Ich zęby wyglądały zupełnie nor-
malnie: płaskie siekacze i starte trzonowce, jak u wszyst-
kich roślinożerców. Łby miały czyste, nie licząc kilku
gałązek jeżyn, które zaplątały się w wełnę.

— Wychodzi na to, że też musisz narysować stonogę
— zauważył Tim i dodał — albo ślimaka. — Włożył kalosz,
który mu spadł. — Widziałem jednego na słupku przy bramie.

— A kto wróci po wiadro mamy? — zastanowiła się na
głos Fila, spoglądając z nadzieją na brata.

— Dobra, pójdę po nie — odparł bez przekonania.
— Nie boję się paru chodzących kotletów jagnięcych.
— Machnął ręką w stronę owiec. — Z miętowym sosem!
— dodał drwiąco, gdy oddalały się polem.



Tego samego wieczora, tuż przed szóstą, Sebastian pojawił się w pokoju Tima. Wciąż miał na sobie szkolny mundurek.

— Jak widzę, odrabiasz pozalekcyjne zadania wytyczone przez pannę Bates — zauważył, zerkając Timowi przez ramię, gdy ten rysował w elektronicznym szkicowniku kontury stonogi; rysunek pojawiał się równocześnie na monitorze komputera.

— Chciałeś powiedzieć — zganił go Tim — że odrabiam pracę domową? Naprawdę, Sebastianie, musisz popracować nad tym, jak mówisz.

— Twój komputer — ciągnął Sebastian niezrażony uwagą Tima — to zaiste nadzwyczajny przykład ludzkiej inwencji i pomysłowości.

— Jest odlotowy — wypalił Tim, spoglądając znacząco na Sebastiana.

Sebastian uśmiechnął się:

— Pod presją okoliczności, będę używał współczesnego żargonu. Jakkolwiek korzystanie z tak niefrasobliwego słownictwa przez cały czas postrzegam jako obce i niezręczne.

— Powiedział, co wiedział — obruszył się Tim.

Pod rysunkiem napisał: Stonoga, lądowy skorupiak, rząd: równonogi, klasa: *Malacostraca*, zapisał swe dzieło na twardym dysku i wydrukował je.

— Za czasów ojca mego — powiedział Sebastian, kiedy drukarka wypluła kartkę — stonogi nazywało się krocionogami lub pigułami. Proszek pozyskany z suszonych krocionóg zmieszany z ciepłym mlekiem uznawano za zbauwienny w przypadkach bólu żołądka i zaparć.

— Chyba żartujesz! — zdumiał się Tim. — Jedliście takie paskudztwo?

— Jako lekarstwo i owszem — odparł Sebastian. — Robiono z nich także balsam lub maść, nie pamiętam jednak, jakie miały właściwości lecznicze.

— Dajcie spokój z tą lekcją średniowiecznej medycyny — wtrąciła Fila, która właśnie weszła do pokoju z rysunkiem dużego ślimaka, który umieściła w skanerze Tima.

Mówiłeś już Sebastianowi, co nas spotkało po południu?

— Stado owiec pasące się na polu napędziło Fili strachu — wyjaśnił Tim.

— Wcale, że nie — obruszyła się Fila. — Nie tak było. Poszliśmy nad rzymski staw łapać żyjątko wodne.

— Z dna wyskoczył pęcherz gazu — dodał Tim — i zapalił się.

— Ignis fatuus — powiedział Sebastian. — Błędny ogień. Zwodził wielu nieroztropnych wędrowców na grzęzawiska i bagna. Podążali za jego niebieskim płomieniem ufając, że widzą światło dalekich domostw.

— Pokaż mu, co znalazłaś — powiedział Tim.

Fila wyjęła z kieszeni odłamek naczynia i podała Sebastianowi.

— Ale ten gaz palił się na zielono — wtrąciła Fila.

— Pochodzi z czasów rzymskich — zawyrokował Sebastian — to fragment ceramiki samijskiej. Wyrabiano ją w Galii, znanej dziś jako Francja.

Podsunął odłamek pod lampkę Tima do czytania.

— Gaz błotny palił się na zielono — powtórzyła Fila z rosnącą irytacją.

— Co to takiego? — spytał Tim.

— Oto wizerunek chimery — wyjaśnił Sebastian — potwora z mitologii greckiej o głowie lwa i ciele kozy, który potrafił zionąć ogniem.

— Czy możemy skończyć ten wykład o archeologii i porozmawiać o teraźniejszości? — odezwała się zniecierpliwiona Fila. — Rzecz w tym, że przy stawie wisiołek zrobił się przezrysty jak szyba w oknie. Gaz błotny palił się na zielono, choć uszło to uwagi mojego brata maniaka komputerowego, owce miały zębiska niczym tygrysy i...

Zamilkła, bo uświadomiła sobie, o czym mówi.

— Widziałam chimere... — wyszeptała.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi i do środka zajrzała pani Ledger.

— Kolacja — obwieściła, a widząc Sebastiana, dodała: — Zjesz z nami, Sebastianie?

— Będę rad — odparł Sebastian, uśmiechając się uprzejmie.

— Jakwidzę, masz nową fryzurę — zauważyła pani Ledger. — Bardzo cię zmieniła, o ile mi wolno zauważyć.

Gdy tylko znikła za drzwiami, uśmiech znikł z ust Sebastiana.

— Więc twierdzisz, że gaz bagienny palił się na zielono?

— Tak — potwierdziła Fila. — Był zielony jak...

I wtedy przypomniała sobie starożytną lampę Malodora, która płonęła lekko szmaragdowym płomieniem.

— Czy ten gryzący gaz wdarł ci się do nosa?

Fila przytaknęła bojaźliwie.

— W takim razie — ciągnął Sebastian — to wyjaśnia twoje omamy z owcami. One nie były, jak ci się wydawało, wilkami w owczej skórze, ani drapieżnikami, ucieleśniały tylko twe lęki — wyjaśnił. — Dostrzegłaś to, czego w danej chwili najbardziej się lękałaś, aczkolwiek nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

— Uważasz, że były jedynie wytworem mojej wyobraźni? — spytała Fila.

— Niezupełnie — odparł Sebastian. — Raczej wytworem twej zmanipulowanej wyobraźni.

Fila zatrzymała się na **półpiętrze**, gdzie oparła głowę o **ścianę**, by nie stracić równowagi.

— **Zmanipulowanej!** — zawołała. — Co to znaczy?

— Uległaś wpływowi — odparł rzeczowo Sebastian.

— Jak? — spytała Fila drżącym głosem.

— To być może ten bagieny gaz.

— Być może! — powtórzyła Fila. — Więc nie wiesz?

Sebastian nie odpowiedział.

— Ale Malodor nie wrócił? — wyszeptała Fila.

Sebastian wciąż nie odpowiadał, ale kiedy schodzili po schodach, poradził:

— Nie zbliżajcie się do stawu, chyba że w moim towarzystwie.

— Nikt nas tam nie zaciągnie wołami! — zapewnił Tim.

— Ale któż chciałby to **robić?** — zdziwił się Sebastian.

Kiedy siadali do kolacji, na stole w kuchni stały już trzy talerze z jajkami sadzonymi, zapiekana fasolka, frytkami i chrupiącymi plasterkami bekonu. Sebastian spojrzął na fasolkę i trącił ją bez przekonania widelcem. Nie uszło to uwagi pani Ledger.

— Nie lubisz zapiekanej fasolki, Sebastianie? — spytała.

— Faktycznie — odparł Sebastian, ale w tym momencie Tim kopnął go w kostkę pod stołem. — W moim mniemaniu jest niezwykle... — Tim kopnął go jeszcze mocniej. — Jest całkiem smakowita.

Pani Ledger usiadła naprzeciwko nich z filiżanką herbaty.

— Powiedz mi, Sebastianie — rzekła — jak masz na nazwisko?

— Gillette — odparł Tim.

— Jestem przekonana, że Sebastian potrafi mówić — za-
uważyła cierpko pani Ledger. — Powiedz mi, gdzie miesz-
kasz, moje dziecko? Wiem, że kiedyś mieszkałeś w tym
domu.

— Na Farmie Pleasance — odpowiedział Sebastian — po
drugiej stronie Wzgórza Foxhanger. — Mieszkam tam
z kuzynką mojej matki.

Tim i Fila spojrzeli po sobie. Co prawda podejrzewali, że
mama ma jakiś ukryty cel w zaproszeniu Sebastiana na
kolację, nie przypuszczali jednak, że będzie go tak maglować

— Czy twoja kuzynka jest właścicielką farmy?

— Nie, pani Ledger — ciągnął Sebastian — farma jes-
własnością męża kuzynki mojej mamy.

— Twoja rodzina musi mieć w tej okolicy mocną pozycję
— zauważyła pani Ledger.

— Można tak poniekąd powiedzieć — odparł Sebastian

Fila i Tim spojrzeli po sobie: sześćsetletnie dzieje nie
wątpliwie dają rodzinie Sebastiana ważne miejsce w lokal-
nej społeczności.

— Masz rodzeństwo?

— Nie, jestem jedynakiem — wyjaśnił Sebastian.

Obserwował, jak Fila odkroiła kawałek chrupkiego be-
konu, nadziała na widelec i umoczyła w żółtku jajka.
W tym momencie Tim zdał sobie sprawę, że Sebastian nie
za bardzo wie, jak posługiwać się nożem i widelcem.

— A twój tata...? — dopytywała się pani Ledger.

— Mamo! — syknęła Fila, starając się przerwać to prze-
słuchanie.

— Odszedł — wyjaśnił zwięźle Sebastian.

— Bardzo mi przykro, Sebastianie — odezwała się pani
Ledger. — Nie chciałam cię urazić. Co za nietakt z mojej
strony — i po tych słowach zmieniła temat.

— Mało brakowało — zauważył Tim, kiedy szli po schodach do jego pokoju.

— Wasza mama to niezwykle dociekliwa niewiasta — powiedział Sebastian — ale takie już są mamy. Muszą być pewne przyjaciół swych latorośli.

— Myślę, że na tym zakończy swe dociekania — powiedziała Fila.



Przez całą noc padał rześisty deszcz, silny wiatr wiał od strony rzecznej doliny i smagał deszczem w okna pokoju Fili, nie pozwalając jej zasnąć. Około północy dziewczynka usłyszała pukanie. W drzwiach pojawił się Tim, który też nie mógł spać.

— Jeśli ta nawałnica się nie skończy przed rankiem - obwieścił — rzeka wystąpi z brzegów. A ten rów wokół domu...

— Masz na myśli dawną fosę — uściśliła Fila.

— ...jak zwał tak zwał — ciągnął Tim. — **Już** nabiera się tam woda. Do rana zbiornik się **wypełni!**

Fila wyjrzała przez okno. Przez zasłonę z deszczu widziała światła w pokoju na parterze odbijające się w podnoszącej się wodzie.

— Zupełnie, jakbyśmy byli w zamku — zauważył Tim — zwłaszcza z tymi kolumnkami w oknach. Brakuje tylko arrasów na ścianach, kolczug w szafie, nadwornego błazna z czymś takim jak **ukulele...**

— Mandoliną — poprawiła Fila. — Czasem, Tim, zachowujesz się jak półgłówek.

— ...nie mówiąc już o paru pieśniach — ciągnął niezrażony Tim. — Kilka sfatygowanych niedźwiedzich skór

na podłodze, kusza, a jeszcze lepiej dwie, stojące w rogu obok kończana pełnego strzał.

— A może na dokładkę jakaś dama w opałach? — do rzuciła złośliwie Fila.

— Doskonale spełniasz tę rolę — wypalił Tim.

— Albo jeszcze paskudny smok zionący ogniem? — uzpełniła Fila.

— Albo smoczyca, taka jak ty — dodał z uśmiechem Tim.

Na myśl o zwierzęcych skórach leżących na podłodze, Fila przypomniała sobie o komnacie Sebastiana ukrytej głęboko w ziemi pod domem. Nagle ogarnął ją niepokój.

— Jeśli woda podejdzie mocno do góry — powiedziała pełna obaw — co się stanie z tajemną komnatą Sebastiana? I samym Sebastianem? Pewnie nie zdaje sobie biedak sprawy, że woda w rzece się podnosi. Może utopić się, jak szczur zamknięty w pudle.

Zaczęła delikatnie lecz uporczywie stukać w deskę w ścianie. Prawie natychmiast zachrzęścił mechanizm po drugiej stronie ściany i deska otworzyła się bezszelestnie, bowiem zawiasy były dobrze naoliwione.

— Co cię trapi? — spytał spokojnie Sebastian wchodząc do pokoju Fili. — Wzywałaś mnie dość uporczywie.

— Urwanie chmury — oznajmił Tim.

— Czemu urwanie? — zdziwił się Sebastian. — Ni przywykłem do waszego języka.

— Deszcz leje od wielu godzin — wyjaśnił Tim. — Rzeka wystąpi z brzegów, a ty mieszkasz pod ziemią.

— Cenię sobie waszą troskę, ale jestem świadom, że poziom wody wzrasta — powiedział Sebastian.

— Skąd to wiesz? — zdziwiła się Fila. — Przecież nie masz tam nawet porządnego okna.

— Brakuje mi rzecz jasna tradycyjnych otworów okien-
nych, ale istnieją przecież i inne sposoby. Chodźcie ze
mną.

Sebastian wszedł w otwór w ścianie. Fila i Tim ruszyli za
nim. Namacali stopami pierwsze stopnie schodów, przy-
pominając sobie, jak poprzednio Sebastian ich ostrzegał,
te stopnie nierówne, bo wytarły się pośrodku przez setki
lat chodzenia. Ostrożnie podążali za stłumionym odgło-
sem kroków Sebastiana przez korytarz prowadzący do cięż-
kich dębowych drzwi, za którymi mieściła się jego kom-
nata. Tim usłyszał dźwięk otwieranej klamki i do korytarza
wniknęło słabe, żółtawe światło, nie musieli więc pokony-
wać ostatnich pięciu metrów w całkowitej ciemności.

Gdy znaleźli się w środku, odnieśli wrażenie, że nic się
tu nie zmieniło od ich ostatniej wizyty. Cztery świece
umieszczone w mosiężnych świecznikach mocowanych na
ścianie oświetlały migotliwymi płomieniami sklepienie
i szereg łańcuchów oraz bloków zwisających z kamiennej
broszy pod sufitem. Światło padało na stojące na dębowym
stole cynowe czarki i przeświecało przez alabastrowy tłu-
czek oraz moździerz. Połyskiwały buteleczki i retorty,
a rzędy książek oprawnych w skórę wyglądały niczym wy-
polerowane; tłoczone złotem napisy błyszczały jak nowe.

W alkowie, gdzie spał Sebastian, Fila zauważyła pomięte
płaty grubego baraniego runa. Widać było, że chłopak też
się przewracał z boku na bok. Przywarła do ściany, by
sprawdzić, czy jest mokra. Kamienie, choć chłodne, były
suche. Na płytach na podłodze nie było śladu wody. W po-
wietrzu nie czuć było stęchlizny.

— Witajcie ponownie w moich skromnych progach
— powiedział Sebastian wskazawszy na ścianę. — Zobacz-
cie moje okno na rzekę.

Ze ściany wystawała pozioma **szklana** rurka, w której znajdowała się czerwona kulka.

— **Jest** połączona miedzianą rurą z brzegiem rzeki — wyjaśnił Sebastian. — Na drugim końcu znajduje się zawór. Woda podnosząca się w rzece napiera na zawór i ciśnienie **powietrza** w rurce wzrasta, wówczas czerwona kulka idzie w górę. Znaki nakreślone na szkłe informują mnie, kiedy okolicy grozi zalanie. Jak widzicie, w tej chwili nie ma powodu do **obaw**.

— Sprytne! — pochwalił Tim. — Kiedy to założyłeś? 1

— Nie ja — odparł Sebastian — tylko mój ojciec, byśmy wiedzieli, kiedy należy przeprowadzić zwierzęta w **rejony** położone **wyżej**.

— A co z domem? — dociekała Fila.

— Nie ma się czym martwić. Dom zawsze jest **bezpieczny** — powiedział z przekonaniem Sebastian. — Jest zbudowany znacznie powyżej obszaru zalewowego. Studiowałem pewne teksty napisane przez mego ojca — ciągnął. — A skoro tu jesteście, pozwólcie, że podzielę się z wami konkluzjami.

Otworzył leżące na stole, opasłe, oprawne w skórę **tomiszcze**. Był to manuskrypt zapisany schludną kursywą na sztywnym kremowym pergaminie. **W** niektórych miejscach atrament wyblakł, zaś wielkie litery na początku każdego akapitu tonęły w misternych zawijasach lub były wpisane w pieczołowicie pokolorowaną ilustrację, jak w średniowiecznym manuskrypcie. Kolory były tak świeże i jaskrawe, jakby malunek powstał zaledwie przed chwilą. Listki złota zdobiące gdzieniegdzie pismo lśniły jakby były wykonane z dopiero co wytopionego kruszcu.

— Mama ilustrowała ten tekst dla mojego taty — wyjaśnił Sebastian.

— Jak miała na imię? — spytała Fila.

- Lady Tabitha Rawne — odpowiedział cicho Sebastian, przesuwając delikatnie palcem po inicjale.

Tim starał się cokolwiek zrozumieć z manuskryptu.

- Próżny trud, Timie — powiedział Sebastian. — Jest **nie** tylko napisany łaciną, jaką posługiwano się za czasów Ojca mego, ale dodatkowo szyfrem, którego nie rozumie **nikt**, kto nie posiada wiedzy alchemicznej.

— Ale co tu jest napisane? — dociekała Fila.

Sebastian milczał przez chwilę.

— To traktat mego ojca — rzekł po chwili — o tych, **którzy** kradną cudze dusze. Pozwólcie, że wam **zademonstruję**. Tim, spójrz mi w oczy.

Tim niechętnie wykonał polecenie. W nikłym blasku świec źrenice Sebastiana były ciemne. Gdy jednak Tim w nie zajrzał, dostrzegł jasny zygzak światła poruszający się wewnątrz. Jakby patrzyło się na żarnik staroświeckiej żarówki bujającej się na boki na kablu.

— A teraz — polecił Sebastian — połóż dłoń na stole i rozchyl palce.

Tim spełnił jego prośbę. Sebastian wyjął z kandelabru jedną świecę, przechylił ją na bok i pozwolił, by ciekły wosk skapywał między palce Tima. Choć na twarzy Tima pojawił się lęk, chłopiec ani drgnął. Nie był w stanie poruszyć dłonią. Była sparaliżowana.

— Naturalną reakcją byłoby zabranie ręki, by uniknąć oparzenia — powiedział Sebastian. — Byłeś przerażony, a mimo to nie poruszyłeś dłonią, gdyż znajdowała się pod moim wpływem. A teraz pójdzmy o krok dalej...

Sebastian wlepił wzrok w Tima. Jego oczy były szeroko otwarte, a spojrzenie intensywne.

Tim czuł się dziwnie. Miał wrażenie, jakby ciało poruszało mu się pod skórą, jakby skóra była **tylko** niedopaso-

wanym płaszczem o kilka numerów za dużym. W jego wnętrzu poruszało się jeszcze coś, krętymi ruchami, niczym wąż poszukujący nory, w której mógłby się skryć.

— Co się dzieje? — zapytał, jednak z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Słowa rozeszły się echem wewnątrz niego, jakby krzyczał w kościele.

Sebastian wyjął z kieszeni niewielką, metalową pstrykawkę, jaką można znaleźć w jajkach z niespodzianką. Pstryknął raz. Tim poczuł, jak słaby prąd przepływa przez niego i ze stołu uniosła się jego ręka, jakby z własnej woli.

— Twoja dusza jest teraz przede mną zamknięta — wyjaśnił Sebastian.

— A czego się dowiedziałeś?

— Poznałem większość twoich największych pragnień i śmiertelnych obaw — odparł Sebastian. — Na przykład, chciałbyś, by ojciec dał ci pieniądze, które odziedziczyłeś po ojcu twojej matki, zamiast czekać z tym do twojej pełnoletniości.

Tim był zdumiony. Nikomu nigdy o tym nie mówił, ani tacie, ani mamie — a już na pewno nie Sebastianowi.

— A widzisz? — odezwał się Sebastian. — Jeśli potrafię poznać twe najskrytsze tajemnice, mogę skraść ci duszę.

Kiedy Sebastian mówił, Fila zauważyła na ścianie coś, co wyglądało jak kwadratowy, szklany ekran wielkości dużej książki. Widać było na nim niewyraźny ruchomy obraz w stonowanych kolorach.

— Co to? — spytała.

— Camera obscura — wyjaśnił Sebastian.

— Co takiego?

— To przyrząd optyczny.

— Wymyślił go twój ojciec?

Otóż nie — przyznał Sebastian. — Chiński filozof M'Ch'i wiedział o jego istnieniu pięć wieków przed Narodzeniem Pańskim. Znał go też Arystoteles, a także arabski uczonec Alhazen z Basry w X wieku. Ojciec mój go jednak udoskonalił, ja także wprowadziłem kilka poprawek na podstawie zapisków Giovanniego Battisty Della Porty w jego dziele „Magiae Naturalis” z 1558 roku.

- Jak to działa? — zainteresowała się Fila.

- Chwyta obrazy — wyjaśnił Sebastian — za pomocą wypukłej soczewki i rzuca je na płaską powierzchnię. Wykorzystuje zasadę, wedle której światło wędruje po linii prostej, gdy jednak promienie wpadają przez niewielki otwór w płaskim materiale, nie mogą się rozproszyć, przechodzą za to na drugą stronę i tworzą odwrócony obraz.

— A gdzie jest ta dziura, przez którą wpada światło z zewnątrz?

— Na strychu — wyjaśnił Sebastian. — Promienie światła, kierowane pryzmatami, wędrują kanałem w dół poprzez ściany domu.

— Co tu widać? — spytała Fila.

— Pola przed domem — odparł Sebastian.

— Ale jak mogą być widoczne — zdumiał się Tim. — Po pierwsze, jest noc, a po drugie, leje jak z cebra.

— To było dla mnie największe wyzwanie — przyznał Sebastian. — Musiałem wzmocnić dostępne światło, by powstał obraz. Jak widzicie, udało mi się tylko po części, gdyż obraz ma wyblakłe kolory i brak mu ostrości.

— Jak dla mnie bomba — wyraził swój entuzjazm Tim. — Jest tak samo dobry, jak z kamery, którymi posługują się przyrodnicy kręcący nocą filmy dokumentalne.

— A to co? — zauważyła Fila przyglądając się bacznie ekranowi. — Coś rusza się na polu.

— Owce — zasugerował Tim.

— W taki deszcz? — zdziwiła się Fila. — Raczej schwały się pod żywopłotem.

Tim przyjrzał się ekranowi i powiedział:

— Nic nie widzę.

— O, tutaj — Fila pokazała palcem dolny prawy róg — Zmierza w stronę domu.

— Tonia ma znaczenia — odparł Sebastian lekceważąco

— Przecież widzę! — upierała się Fila. — I to wcale nie owca. Owce nie podkradają się na czworakach. — Zmrużyła oczy, by widzieć lepiej. — To pies.

— Spójrz jeszcze raz — nakazał jej Sebastian, przelotnie, ale wnikliwie przyglądając się jej obliczu.

Fila zbliżyła twarz do ekranu. Przez trawnik skradał się dwumetrowy krokodyl z rozdziawioną paszczą pełną ostrych zębów, żółto-zielone łuski na jego ciele lśniły w deszczu. Obserwowała, jak dochodzi do rowu wokół domu, ześlizguje się z brzegu i znika pod powierzchnią, wzburzając wodę.

— Czy spotkałaś kiedykolwiek takiego gada na angielskiej wsi? — spytał Sebastian.

— Nie! — zaprzeczyła dobitnie Fila. — Jasne, że nie. Przecież żyją w Afryce.

— No, właśnie — potwierdził Sebastian. — To, co ujrzałaś, Filu, to twoja chimera, potwór złożony z obaw i koszmarów sennych, którego wywołałem z najdalszych zakamarków twojej duszy.

Ponownie pstryknął pstrykawką, po czym wręczył p jednej Fili i Timowi.

— Noście je przy sobie. Gdy poczujecie, że ktoś zakrada się do waszej duszy, wystarczy pstryknąć raz. To was wyzwoli z niepożądanego wpływu. Nie nadużywajcie jednak

go sposobu. Im częściej będziecie pstrykać, tym mniejsza będzie moc rozproszona. A teraz — ciągnął — mamy jeszcze parę innych spraw do omówienia. Czas najwyższy rozpocząć śledztwo w sprawie Yolanda i jego asystenta Scrottona. Po pierwsze musimy ustalić ich domicyl.

— Czy chodzi o to, gdzie mieszkają? — zapytał Tim, wkładając pstrykawkę do kieszeni. — Jeśli tak, to proszę Cię, mów jak człowiek.

Opuścili podziemną kryjówkę Sebastiana i udali się do pokoju Tima. Tim usiadł przy komputerze, wszedł do Internetu, otworzył książkę telefoniczną. Kliknął „wyszukiwanie danych teleadresowych” i po dwudziestu sekundach adres Yolanda wyskoczył na ekranie: Ulica Keatsa 47. Wyszukiwanie Scrottona nie przyniosło żadnego rezultatu.

— Przecież musi gdzieś mieszkać — powiedziała Fila.

— Może mieszka razem z Yolandem — podsunął Tim.

— Jest w końcu jego asystentem.

— To mogłoby się niektórym wydać dziwne — zauważyła Fila.

— Zapewne — przyznał Sebastian. — A żaden z nich nie chce zwracać na siebie uwagi. Jeśli jednak Scrotton jest tym, za kogo go uważam, wcale nie musi mieszkać w domu.

Rodzeństwo spojrzało po sobie.

Rozdział czwarty

Nazajutrz rano Fila i Tim nie spotkali Sebastiana w drodze do szkoły.

— Gdzie się dziś podział Sebastian? — spytał pani Ledger.

— Może zaszedł dalej niż wczoraj — podsunął Tim. — Wyjechaliśmy z domu parę minut później niż zwykle.

— To wspaniały młodzieniec — zauważyła pani Ledger. — Dobrze wychowany i bystry. A do tego przystojny, zwłaszcza z tą nową fryzurą. Gdzie go poznaliście?

Tim usiłował sobie przypomnieć, czy już wcześniej nie padło to pytanie, a jeśli tak, to jak na nie odpowiedział, rzekł więc:

— Na rybach.

— Doprawdy? — zdziwiła się pani Ledger.

Tim uznał, że dał błędną odpowiedź, więc dodał:

— Tak sędzę.

— Jak mogło ci to wypaść z głowy? — drażyła mama.

— Odkąd się tu przeprowadziliśmy, poznaliście raptem garstkę osób.

— To było długie lato — dodała Fila, broniąc brata.

— Wiele się działo — uzupełnił wymijająco Tim.

— Bardzo bym chciała poznać jego opiekunów — ciągnęła pani Ledger. — A wy ich znacie?

— Nie — przyznała Fila — ale widzieliśmy z daleka męża jego kuzynki ze stadem bydła.

Na ulicy zrobiło się tłoczno, a gdy dotarli do przedmieść Exington, pani Ledger zrobiła się bardziej nerwowa za kierownicą. Ale dopiero dwie przecznice przed szkołą wydarzyło się coś, co naprawdę wytrąciło ją z równowagi.

Przy ulicy stały domki mieszkalne otoczone równiutko przystrzyżonymi żywopłotami, zadbanymi trawnikami i schludnymi podjazdami. Ciemnozielone pojemniki na śmieci czekały przy krawężniku na śmieciarzy.

Nagle zza jednego z tych pojemników wyskoczył na ulicę piękny, pręgowany kot. Pani Ledger wdepnęła hamulec. Samochód gwałtownie stanął, dziećmi szarpnęło. Z tyłu usłyszeli pisk opon innego pojazdu, który raptownie zahamował, by uniknąć zderzenia. Kot zatrzymał się na odgłos opon na asfalcie, przyjrzał się pojazdowi, a następnie czmychnął na podjazd. Pani Ledger zjechała do krawężnika.

— Ludzie, którzy mieszkają w mieście, naprawdę nie powinni mieć kotów — oświadczyła. Trzęsły jej się ręce, gdy grzebała w torebce. — Powodują wypadki, zresztą co to za życie dla zwierzęcia? One lubią pola i lasy, gdzie mogą polować. Poza tym wpadają pod koła.

Sprawdziła makijaż w lusterku wstecznym, pośliniła palec wskazujący i musnęła nim kącik oka.

— Wiesz co, mamó — powiedziała Fila — sama przypominasz kotkę.

— To ciekawe! — fuknęła mama.

— Zawsze, gdy jesteś zmieszana, sprawdzasz makijaż. Zupełnie jak kot. Gdy go coś speszzy, zaczyna myć pyszczek łapkami.

Gdy dotarli do szkoły, zauważyli Sebastiana, który akurat wchodził przez główną bramę, parę kroków za Scrottonem.

Dogoniwszy chłopca, Fila zapytała:

— Jak ci się udało dotrzeć tu przed nami?

— Biorąc jednak pod uwagę zdolność hamowania pojazdu twojej mamy... — zaczął Sebastian, ignorując pytanie Fila, jednak nie dokończył.

Fila i Tim spojrzeli po sobie.

— Mówiłeś nam, że nie będziesz się w nic zmieniał...

— powiedział Tim.

— Stwierdziłem jedynie, że nie mogę poruszać się po szkole pod postacią zwierzęcia — uściślił Sebastian.

— Uważam jednak, że zjawienie się w pobliżu szkoły przed przybyciem uczniów i pedagogów, nie narażało mnie na niebezpieczeństwo.

— Ale po CO...? — zaczęła Fila.

— Mam swe powody — przerwał jej Sebastian. — Ni bądź taka dociekliwa.

— Czego szukałeś? — spytała mimo wszystko Fila.

— Chciałem sprawdzić, czy nie czai się tu zło — Sebastian zamilkł i szedł dalej przed siebie, nie zwalniając kroku.

— No i? — nie wytrzymał Tim.

— Niestety nie znalazłem nic, co by miało szczególne znaczenie.

Po tych słowach Sebastian oddalił się, nie chcąc już nic więcej mówić. Stał się niedostępny, jakby kocie cechy jeszcze w nim do końca nie wygasły.



Podczas przedpołudniowej przerwy w bibliotece było tłoczno. Mimo to Timowi udało się na moment skorzystać z komputera bibliotekarki. Zalogował się do ogólnej bazy

danych i wpisał dane Scrottona. Wskoczyło, że ma 11 lat, pokazał się także adres **Peelings Lane 11, Brampton** oraz dane jego matki: Pani Mary Scrotton. Brak było informacji o ojcu.

— Ma tylko matkę — zakomunikował Tim, gdy szli na kolejną lekcję.

— Albo w ogóle nie ma rodziców — zauważył Sebastian.

— Co masz na myśli? — spytała Fila. — Przecież każdy ich ma. Tak to urządziła natura.

— Niekoniecznie — rzekł tajemniczo Sebastian.

— W niektórych przypadkach, takich jak...

— Że co? — wtrącił się Tim.

W tym momencie pojawił się Scrotton. Szedł w ich stronę. Sebastian nie odezwał się.

Fila spostrzegła dziewczynkę z pierwszej klasy, stojącą przy rządzie szafek na korytarzu. Lewą dłoń skryła głęboko w kieszeni spódniczki.

Kiedy przechodzili obok, uczennica z trzeciej **klasy** powiedziała zjadliwie:

— Lepiej się strzeżcie Julii. To czarownica.

Po tych słowach tak mocno pchnęła dziewczynkę, że ta uderzyła o ścianę. Rozpłakała się.

— Naprawdę? — szepnęła Fila do Sebastiana.

Chłopak wciągnął powietrze nosem i pokręcił głową.

Fila, Tim i Sebastian podeszli do poszkodowanej.

— Czemu tamta dziewczucha tak mówi? — spytała cicho Fila. Julia się nie odezwała, ale wysunęła nieco dłoń z kieszeni. Pokrywały ją pokaźne brodawki.

— Lekarz mówi, że jest ich za dużo — wyjaśniła przybita — żeby usunąć wszystkie za jednym zamachem.

Sebastian oparł się o ścianę obok dziewczynki, odczekał, aż Scrotton się oddali, i delikatnie dotknął jej szyi. Dziel-

czynka drgnęła, jakby poraził ją prąd i odbiła się od ścia. Sebastian odsunął się i poszedł do klasy.

— Nic ci nie jest? — spytał Tim, udając niepokój. Dziewczynka pobladała, drżały jej dłonie. Upuściła książki na ziemię.

— Chyba nic — odparła. — Poczułam się jakoś dziwnie,

— Idź do toalety — poradziła jej Fila. — Napij się wody

Tim pozbierał jej książki.

— Zajmiemy ci miejsce w klasie — obiecał.

Kilka minut później, gdy zaczynała się lekcja, dziewczynka wpadła do sali i usiadła obok Fili. Na jej twarzy widniał szeroki uśmiech.

— Już dobrze? — szepnęła Fila.

— Niesamowite — odparła dziewczynka. — Nie mogę w to uwierzyć. — Uniosła lewą dłoń. Skóra nie miała żadnej skazy, nawet czerwonych śladów w miejscach, gdzie były brodawki. — Znikły!

— Dziwna rzecz, te brodawki — rzucił Tim.

Sebastian spojrział na Filę i puścił do niej oko.



Zaraz po powrocie do domu, Tim pospiesznie przebrnął się ze szkolnego mundurka, wyjął z garażu swój rower górski i popedałował ile sił w nogach w stronę Brampton. Postawił rower pod latarnią przed zakładem fryzjerskim, przypiął ramę do latarni blokadą.

Na poczcie spytał o drogę, a następnie udał się główną ulicą. Między pubem Pod Białym Jeleniem a piekarnią ze staromodnym, pomalowanym na złoto szyldem firmy Hovis nad drzwiami znalazł wąski zaułek wybrukowany kocimi łbami. Pokonał pięćdziesiąt metrów i tuż za niewiel-

m zakładem naprawy kosiarek, przycinarek do żywopłotów oraz pił łańcuchowych, znalazł Peelings Lane.

Była to stara uliczka, gdzie od stu lat niewiele się zmieniło. Środkiem płynęła brudna woda, Tim domyślił się, że to dawny rynsztok. Po obu stronach mieściły się wiekowe robotnicze domy z cegły. Kilka odnowiono, ale większość stanowiły istne rudery; farba łuszczyła się na drzwiach, cegły były wyszczerbione, a kanały ściekowe popękane. W miejscach, gdzie latem spływał deszcz, wisały kosmyki oślizłych glonów. Parapety porastały gdzieś kępi mchu.

Dom pod numerem czternastym wyglądał na kompletną ruinę. Szyby w większości okien były potłuczone i brudne, a dostępu do zbutwiałych drzwi bronił przedpotopowy, zarzewiały zamek. Tim zajrzał przez okna. W pokojach nie dostrzegł żadnych mebli, deski podłogowe wypaczyły się, wilgoć i pleśń trawiły ściany. Boczna furka wisząca na jednym zawiasie, na której przybito plastikowy numer 14, prowadziła do miniaturowego ogródka, w rogu którego stał od dawna nie używany ustęp pozbawiony dachu. Ogród pełen był śmieci i obumierających chwastów.

Tim, uważając, żeby nie zahaczyć dżinsami o gwóźdź wystający z gołej ramy okiennej, wdrapał się do domu. Wewnątrz pachniało kocim moczem, grzybem i zawilgłym tynkiem. Ostrożnie wspiął się na schody, sprawdzając kolejno każdy stopień, nim przeniósł na niego ciężar całego ciała. Dwa pokoje na górze były puste, podobnie jak te na dole, nie licząc zwałów zeschniętych liści, które przywiał wiatr. W jednym rogu poniżej pokaźnej dziury w dachu piętrzyły się odchody ptaków i nietoperzy.

Tim chciał już schodzić na dół, kiedy wpadło mu w oko coś na podłodze. W pierwszej chwili myślał, że to kawałek

folii aluminiowej, która przyfrunęła tu wraz z liśćmi. Schylił się i znalazł na podłodze srebrny, prostokątny kawał zabrudzonego metalu długości około dwóch centymetrów i szerokości jednego. Przypominał mu aluminiowy znaczek, jaki przyczepia się do obroży psom, był jednak grubszy i cięższy. Kiedy wytarł go do czysta, okazało się, że jest na nim wytłoczony symbol EE3 .

Schował znalezisko do kieszeni i opuścił dom.

Kiedy wyszedł przez furtkę na Peelings Lane, spotkał staruszka, który niepewnym krokiem zmierzał w jego stronę. Miał na głowie spłaszczoną tweedową czapkę i prowadził na smyczy skudłonego teriera szorstkowłosego. W wolnej ręce taszczył torbę z zakupami, z której sterczała marchewkowa nać.

— Przepraszam pana — zagadnął Tim. — Mógłby mi pan powiedzieć, kto tu mieszka?

— Lepiej pilnuj swego nosa, chłopcze! — zawołał ostro mężczyzna. — Nikt tu nie mieszka. Prócz tych parszywych kotów. Dom świeci pustkami od co najmniej piętnastu lat.

— A kto mieszkał tu wcześniej? — spytał uprzejmie Tim.

— Nic ci do tego — odparł podejrzliwie staruszek. — Po co ci to wiedzieć?

Tim myślał.

— Mam takie zadanie domowe ze szkoły. Ustalamy, kto wcześniej mieszkał w tutejszych domach, by dowiedzieć się, ile dawnych rodzin wciąż żyje w naszym miasteczku.

— Ach tak! W takim razie — powiedział udobruchany mężczyzna — dobrze trafiłeś. Wszystkich pamiętam. Ten dom... Jaki to numer... numer... — Spojrzał na koniec uliczki, by odliczyć budynki, ignorując numer na furtce. — Po numerem czternastym mieszkali... — zawiesił głos.

Szczerze mówiąc, nie pamiętam, by ktokolwiek tu mieszkał. Jak się nad tym zastanowię, sądzę, że nie było tu żadnych lokatorów przez całe moje życie. A mam już siedemdziesiąt trzy lata i mieszkam tu od urodzenia. Pewnie stoi pusty i tyle.

— Ale przecież musi mieć właściciela — powiedział Tim, schylając się, by pogłaskać kundla, wiedział, że zjedna tym sobie staruszka. — Każdy dom ma jakiegoś właściciela.

Kundelek wcisnął łepkę w dłoń Tima. Sierść miał szorstką i tłustą.

— Lubisz psy? — zapytał staruszek.

— Tak — odparł Tim, by podtrzymać rozmowę. — Jak się wabi?

— Towser — odparł właściciel, a wracając do tematu, dodał: — Różnie bywa. Kiedy ktoś umrze, a nikt nie wie, kto jest właścicielem domu, i nie ma żadnej rodziny albo nie wiadomo, gdzie jej szukać, to potem taki dom stoi i popada w ruinę. Jeszcze jedna taka rudera stoi w Brampton od lat. Kiedyś był tam sklepik. Starsza pani, jego właścicielka, wyniosła się. Do Australii! Tak przynajmniej gadają. I od tamtej pory wszelki ślad po niej zginął. Pewnie podobnie było i w tym przypadku. Może kiedyś rada miejska każe go zburzyć.

Tim ciągle głaskał Towsera, coraz bardziej brudząc sobie dłonie. Temu psisku, pomyślał, przydałaby się kąpiel. Jednak Tim wiedział, że tak długo, jak będzie interesował się psem, jego właściciel będzie mu przychylny.

— A teraz mieszkają tam tylko te przekłete kociska — ciągnął staruszek. — Brudasy jedne! Nie żeby jakieś wyrosnięte. Wygłodzone, żylaste żebraki. Chytre jak lisy. I zaciekle. Złośliwe jak diabli! Agresywne. Jak cię taki ga-

gagatek ugryzie, to zrozumiesz, o czym mówię. A Tows — ożywił się na ten temat — to szczurołap pierwsza klasa. Po mistrzowsku łapie szczury. Żaden mu się nie wymknie. Jest odważny jak dziesięć innych terierów razem wziętych. Ale woli nie zadzierać z tymi **kotami**. Nie mam mu tego za złe. Jak to mawiają, odwaga winna iść w parze z rozwagą. Tyczy się to nie tylko psów, ale także ludzi. Wierz mi — dodał na zakończenie, **nachylając** się w stronę Tima, jakby nie chcąc, by **usłyszał** go koty — gdybym był młodą mamą z **niemowlakiem** w wózku, nie zostawiłbym swojej pociechy bez **opieki** w ogrodzie w tej okolicy. Koty dopadłyby malucha, to pewne jak amen w pacierzu.

Tim ujrzał kątem oka jakiś ruch w oddali przy **murze** ogrodu. W tym samym momencie Towser zaczął węszyć — Pojawił się jeden gagatek! — zauważył **staruszek** — Chodź, Towser! Wracamy.

Bez pożegnania staruszek pociągnął psa na smyczy i obaj oddalili się uliczką na tyle szybko, na ile wiek **pozwalał** mężczyźnie.

Kot był niewielki, nie wyróżniał się niczym **szczególnym** prócz tego, że lewą przednią łapę miał białą. Nie **zbliżył** się do Tima, stał tylko, przyglądając się chłopcu, niby bez zainteresowania, jak to koty potrafią. Tim poczuł się jakoś nieswojo. Rozejrzał się po **Peelings Lane** i przekonał się, że w zasięgu wzroku nie ma żadnej innej żywej istoty. Znalazł się tu sam na sam, pomyślał, z jednym z zabójczych kotów z **Brampton**.

Po chwili kot przysiadł, podwinął ogon i zamknął ślepią.

Tim ruszył uliczką. Przy niewielkim warsztacie, z zaplecza którego dobiegały odgłosy zapalania kosiarki do trawy, obejrzał się za siebie. Kot szedł za nim. Tim miał nadzieję,

zwierzę chce tylko sprawdzić, czy intruz opuści jego **wir**. Dopiero, kiedy chłopiec minął drzwi pubu Pod **Białym** Jeleniem, zadowolony kot zadarł wysoko ogon i **zawrócił** w stronę Peelings Lane.



— Jeśli Scrotton wybierze się kiedyś na wagary — **powiedział** Tim, kiedy szli później z Filą i Sebastianem przez **Rawne** Groundn ku Edenowi — nauczyciel ścigający **wagarowiczów** będzie miał niezłe zdziwko, gdy trafi na **Peelings** Lane, a Scrotton dostanie porządne cięgi od dyra.

— Nikt się nie dowie, jeśli pójdzie na wagary — **zauważyła** Fila — bo to Yoland sprawdza obecność i tylko on **ujawnia** wagarowiczów. Wystarczy, że wpisze Scrottonowi obecność i wszystko zostanie w tajemnicy.

— A jeśli chodzi o ten dom — **ciągnął** Tim — to nie zdziwiłbym się, gdyby Scrotton naprawdę tam mieszkał. **On** jest taki brudny, jak wnętrze tej rudery. Wszędzie śmierdzi kotami, piętrzą się stopy kup nietoperzy i stare liście...

— Nie mieszka tam — **uciął** kategorycznie Sebastian. — **Przypuszczam**, że budynek jest sanktuarium.

— Sanktuarium? — **powtórzyła** Fila. — **Myślałam**, że to określenie kościoła albo czegoś takiego.

— W całej Anglii — **wyjaśnił** Sebastian — znajdują się miejsca, gdzie zło znajduje swoje schronienie. Najczęściej są to jaskinie lub dziuple w drzewach, ale zdarzają się i budynki. Za czasów ojca mego zwano je templum **maleficarum** — nietykalne chudoby zła.

— **Jaskinie**, to rozumiem — **zauważył** Tim. — Są trwałe, ale domy? Mogą się zawalić lub zostać odremontowane...

— Scotton podał ten adres, bo wie, że to templum **leficarum** i nikt go nie tknie — powiedział Sebastian. — **Śli** wróćcie tam za dwadzieścia lat, zastaniecie **budynę** dokładnie w takim stanie jak dziś, będzie go chronić **kołej**ny zły duch, który tam zamieszka.

Tim **poczuł**, jak cierpnie mu skóra. Mógł przecież, po myślał, wpaść na takiego ducha, kiedy szedł po **schodach**. Wolał porzucić tę myśl.

— A jeśli chodzi o koty — dodał Sebastian — są one strażnikami sanktuarium. Pilnują, by wszyscy **ciekawscy** trzymali się z dala. Masz wiele szczęścia, że nie starłeś się z żadnym z nich. Są wyjątkowo nikczemne.

— Ale widziałem jednego — wyznał Tim. — Szedł **za** mną, kiedy stamtąd odchodziłem.

— Czy jego lewa przednia łapa była biała?

— Tak — potwierdził Tim i poczuł na rękach gęsią **skórkę**.

— To musiał być strażnik — potwierdził Sebastian. Ale nie obawiaj się, na pewno nie tropił cię poza s\ terytorium.

Minęli dębową ławkę, a kiedy doszli do rzeki, ruszyli wąską ścieżką wzdłuż jej brzegu.

— A teraz — powiedział Sebastian — pokaż mi ten i przedmiot, który tam znalazłeś.

Tim wyjął metalowy prostokącik.

— To pewnie nic takiego. Najwyżej **jakaś** plomba z gazomierza czy licznika elektrycznego. Nic więcej. — Podał znalezisko Sebastianowi.

Sebastian wziął przedmiot do ręki i przystanął. Przyjrzał mu się bacznie, a następnie za pomocą żółtawej szmatki wyjętej z kieszeni zaczął go mocno pocierać między palcem wskazującym a kciukiem. Po chwili metal błyszczał **ję**nowy.

!— Czy znalazłeś coś jeszcze? — spytał.

Tylko odchody nietoperzy i suche liście... — odparł **Im**. — Oczywiście żadnego śladu, który wskazywałby na o, że ktoś tam mieszka. Tam nie ma nawet łazienki. A za **bikację** służy waląca się kamienna buda w ogrodzie.

Wskazał na znaną blaszkę. — Co to takiego?

Słońce zbliżało się do horyzontu, cienie się wydłużały. Na polach, po drugiej stronie rzeki, kilka centymetrów nad **trawą** unosiła się lekka mgiełka.

— Stop platyny, srebra i złota — oświadczył Sebastian.

Metal taki określa się mianem białe złoto.

— Ale co to? — dociekała Fila.

— To magiczny **klucz**. Kiedy rzuca się czary, do każdej części zaklęcia potrzebny jest klucz, który pełni funkcję katalizatora, koniecznego do rozpoczęcia reakcji.

— Co oznacza ten znak na nim? — spytała Fila.

— To alchemiczny symbol określający piec do topienia.

— Ale skąd się wziął czarodziejski klucz w tej ruderze w Brampton?

— Jak przypuszczam — powiedział Sebastian — zgubił go Scrotton, który tam był.

— Skoro tak — podsunął Tim — to po niego wróci, a my możemy go śledzić...

— Przybędzie tam nocą — przerwał mu Sebastian — nie damy rady czekać na niego, leżąc w zasadzce przez wiele godzin.

— Nie mamy co prawda jego, ale mamy klucz — podsumowała Fila.

— Bez trudu zrobi sobie nowy — odezwał się lekceważąco Sebastian, zamachnął się i wrzucił blaszkę w sam środek rzeki. Odbiła się od powierzchni trzy razy niczym płaski kamień i poszła na dno.

— Co ty robisz! — zawołał Tim. — Przecież musi to być wiele warte...!

— Jest skażone złem — odparł Sebastian, wzruszając ramionami — ma wartość niematerialną i wcale nie chcę go posiadać.



Rozdział piąty

Wodwo

Tim wciągnął spodenki i sprawdził, czy sznurówki butów sportowych są porządnie zawiązane. Wokół niego trzydziestu chłopców z siódmej klasy kłębiło się w szatni, przebierając się w stroje gimnastyczne. Żartowali przy tym i prowadzili hałaśliwe rozmowy. Była to ich pierwsza lekcja WF-u, oczekiwali jej więc z niecierpliwością.

Nie bacząc na harmider, Tim skupił całą uwagę na Scrottonie, który zaszył się w kącie pomieszczenia, by się przebrać. Do połowy zasłaniała go szafka na sprzęt gimnastyczny. Mimo to Tim zauważył, że ma zszargane, mocno zabrudzone ubranie.

— Czemu Scrotton się chowa? — szepnął do Sebastiana, który miał na sobie jego zapasowy strój.

— Gdy lekcja się skończy — powiedział Sebastian — stań tak, by dobrze go widzieć. Sam zrozumiesz.

Jeden z nauczycieli WF-u dmuchnął w gwizdek.

— W szeregu zbiórka! — zawołał ostro niczym sierżant.

Zapadła cisza, wszyscy się ustawili, by następnie udać się za nim do sali gimnastycznej. A tam czekał już na nich tor przeszkód złożony z drabinek, lin, kozła, równoważni i materacy obok długich ław. Nauczyciel zademonstrował uczniom, w jaki sposób mają pokonać tor. Biorąc kolejne przeszkody, krzyczał, jakie ćwiczenia wykonuje. Inny na-

uczyciel stał przy koźle, by pomagać go przeskoczyć słat szym uczniom.

Rozległ się kolejny gwizdek.

— Ustawić się w szeregu na końcu sali! — nakazał wojskowy głos. — Biegiem!

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Scotton ustawił się przed Timem, a Sebastian za nim.

— Dobry jesteś — burknął Scotton, odwróciwszy się, nim zaczęli ćwiczyć.

— Nie wiem — odparł Tim. — W podstawówce nie mieliśmy sali gimnastycznej.

— A ja jestem mistrzem — rzekł arogancko Scotton.

— Nie wątpię — odparł sarkastycznie Tim.

Znów rozległ się gwizdek i uczniowie ruszali w odstępach co pięć sekund. Kiedy nadeszła kolej Scottona, nauczyciel stojący na czele szeregu zawołał:

— Ruszaj, chłopcze! Start!

Ale Scotton ani drgnął. Przyglądał się wnikliwie przyrządom, jakby planował, jak je pokonać.

— Do dzieła! — znecierpliwiał się nauczyciel. — Nie ma się czego bać. Pokazywałem, co macie robić.

Wówczas Scotton powiedział potulnie:

— Tak jest, proszę pana. Muszę się tylko zastanowić.

Po tych słowach zrobił rozbieg z nieprawdopodobną prędkością. Okazał się zdumiewająco zwinny. Jedna z drabinek stała pod kątem prostym do ściany. Inni chłopcy musieli wspinać się na jej szósty lub siódmy szczebel, wyciągali ręce, przyciągali linę, oplatali o nią nogi, zjeżdżali w dół na rękach, a następnie biegli po ławie. Większość chłopców pędziła do drabinki, ostrożnie pokonując kilka szczebli i niepewnie wyciągając rękę po linę.

Scrotton podszedł do ćwiczenia zupełnie inaczej. Podbiegł do drabinki, wskoczył z podłogi na siódmy szczebel, a następnie dał susa na linę i zsunął się po niej zaskakująco szybko. Gdy znalazł się na ławie stojącej poniżej, ruszył po niej niemal sprintem. Gdy dotarł do końca ławy, bez chwili przerwy biegł dalej, wkrótce natknął się na swego poprzednika i musiał poczekać chwilę, nim pokonał kolejną przeszkodę. Nauczyciel przy koźle nie musiał mu pomagać, na materacach wykonał trzy czy cztery wzorcowe fikołki, a kiedy dotarł do równoważni, wskoczył i przebiegł po niej, jakby znajdowała się tuż nad ziemią. Wkrótce znalazł się na końcu szeregu.

Tim, który ruszył za nim, nie potrafił dotrzymać mu kroku, choć bardzo się starał. Sebastian pokonał tor przeszkód **nieśpiesznie**.

— Niezłe tempo — Tim niechętnie pochwalił Scrottona, kiedy dobiegł na koniec szeregu.

— Jasne — chełpił się Scrotton. — Mówiłem ci, że jestem dobry w te klocki.

Zajęcia trwały dalej. Przy każdym ćwiczeniu jeden nauczyciel stawał przy urządzeniu, by asekurować niedoświadczonych i chronić ich przed kontuzją. Scrotton obywatel się bez pomocy i asekuracji. Był zwinny, szybki i diabelnie zręczny. Tim widział, jak nauczyciele spoglądali na siebie ze zdumieniem.

WF dobiegł końca, Tim postarał się dotrzeć do szatni jako pierwszy. Ustawił się tak, by widzieć szafki od tyłu. Sebastian schował się za nim. Pojawił się Scrotton, a ponieważ myślał, że nikt go nie obserwuje, pośpiesznie zdjął podkoszulek i jak najszybciej się ubrał. Jednak Tim zauważył wąski pasek mocno skudlonych włosów biegnący wzdłuż jego kręgosłupa. Ramiona były równie kosmate.

Ręce również miał ciemne od włosów, były one jed-
znacznie krótsze, jakby je przystrzyżono.

— Małpolud! — szepnął ktoś za plecami Tima.

Kiedy odwrócił się, stał za nim chłopiec, który pie-
szego dnia szkoły ostrzegał go przed Scottonem.

— Szkoda, że nie widziałeś go w podstawówce — cią-
gnął. — Wspinał się na każde napotkane drzewo i bujał na j-
jego gałęziach niczym obleśny, mały Tarzan. Od **najmłod-**
szych lat nauczyciele zganiali go z drzew.

— Wiesz, gdzie on mieszka? — spytał Tim.

— Nie. Nigdy nie widziałem jego rodziców, nie pojawili
się na żadnej wywiadówce, ani niczym takim. Śmialiśmy
się, że nie urodził się, tylko powstał z proszku. — Chłopiec
uśmiechnął się. — Wystarczyło dodać wody, zamieszać
i gotowe.

Przez resztę poranka Tim i Sebastian postanowili nie
obserwować Scottona, żeby nie wzbudzić jego podejr-
zeń.

Scotton był niezdarny. Nie umiał spokojnie usiedzieć
na miejscu, stukał palcami w blat ławki, kiwał stopą. Nie
potrafił się na niczym skupić dłużej niż przez minutę.
Kiedy zapisywał coś w zeszycie, trzymał swój tandetny,
plastikowy długopis między drugim a trzecim palcem,
zamiast między wskazującym a kciukiem, przy czym rękę
miał tak wygiętą, że końcówka długopisu była skierowa-
na w jego stronę. Okropnie **gryzmolił**, a kiedy zadawano
mu trudne pytanie, wystawiał język, zwilżał wargi i mar-
szczył brwi, w czym przypominał Fili **legwana**. Zauważy-
ła też, że często wkłada dłoń pod koszulę, by podrapać
się po brzuchu.

Z bliska jego skóra była ziemista, kark pokrywały krosty
z czarnymi wągrami. Brudne paznokcie były długie, zro-

rowaciale i popękane i przypominały szpony. Skóra za uszami chłopaka była szara i łuszczyła się. Ubranie miało niechlujne, buty zszargane, a szpara przy podeszwie wypełniona była wyschniętym błotem.

Fila zauważyła, że Scrotton nie ma wielu rzeczy, które posiadają inni uczniowie, choćby komórki ani nawet zegarka. Za piórnik służyło mu stare pudełko po cygarach zamykane sparciałą gumką, na wieczku którego widniał napis Cuba Corona. Miał stary kalkulator Casio na baterie Nloneczne, w obudowie zlepionej taśmą klejącą.

Podczas gdy Fila prowadziła śledztwo w sprawie Scrottona, Sebastian postanowił sprawdzić, co się da zrobić w kwestii Yolanda. Ponieważ kierownik działu chemików miał podwójną lekcję chemii z najstarszą klasą w laboratorium, która miała potrwać do przerwy śniadaniowej, Sebastian uznał, że nie opuści on raczej swej pracowni. Odczekał więc, aż na dobre zacznie się lekcja, zwolnił się na chwilę i udał do pokoju nauczycielskiego.

Zastukał delikatnie w drzwi i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Wewnątrz paru nauczycieli siedziało przy okrągłym stole i sprawdzało prace uczniów. Ktoś czytał gazetę rozłożony w sfatygowanym fotelu, na oparciu którego stał kubek z herbatą.

Przy długiej ścianie znajdowały się duże drewniane przegródki opatrzone nazwiskami nauczycieli na karteczkach w zaśnieżonych, mosiężnych ramkach. Sebastian podszedł do nich spokojnie i szybko odnalazł przegródkę Yolanda. Właśnie miał zacząć w niej myszkować, gdy nauczyciel w fotelu opuścił gazetę.

— A ty co tu robisz, chłopcze? — zapytał.

Sebastian musiał coś wymyślić na poczekaniu, a ponieważ wpadła mu w oko przegródka obok Yolanda, powiedział:

książkę.

— Jej przegródka jest tu — wskazał nauczyciel. — **A n** przyszłość nie wchodzi tu, jak do obory. Zaczekaj za drzwiami, aż cię ktoś zawoła.

Po tych słowach wrócił do lektury.

— Dziękuję, proszę pana — odparł Sebastian i bez żenady dalej grzebał w przegródce Yolanda.

Nie znalazł tam nic ciekawego: jakieś sprawdziany ósmej klasy, kilka podręczników, pudełko ołówków i flamastrów, notatki do lekcji i wydruki z zadaniami egzaminacyjnymi.

W czasie długiej przerwy Fila kupiła Sebastianowi **kanapki** z tuńczykiem i ogórkiem oraz kartonik soku pomarańczowego. Sebastian ugryzł kanapkę, przeżuł starannie kęs i połknął. Następnie zerknął na napis na opakowaniu.

— Co to takiego: tuńczyk? — spytał.

— Taka duża morska ryba — wyjaśniła Fila.

— A ogórek?

— Warzywo — odparł Tim po chwili namysłu — **ale** mów ciszej. Jeśli ktoś się dowie, że nie słyszałeś o ogórku, weźmie cię za dziwoląga.

— Smakuje? — spytała Fila.

Sebastian pomyślał chwilę i zaczął:

— Smak tej przekąski znajduje jako lekko pikantny...

— Pychota — przerwał mu Tim.

Sebastian uśmiechnął się i powiedział:

— Pełen odlot.

W tym momencie Yoland pojawił się w stołówce ze sprawdzianami ósmej klasy, które Sebastian widział w jego przegródce. Gwar nieco przycichł, by po chwili rozbrzmieć z jeszcze większą mocą. Yoland wybrał stół w kącie

mieszczenia, przyniósł sobie kawę, usiadł i zaczął sprzedawać klasówki.

- Ma dyżur — powiedziała Fila.

— To świetnie! — ucieszył się Tim. — Nie wyjdzie stąd przez kolejne czterdzieści minut.

Wysoki, chudy Yoland o pociągłej twarzy poruszał się z istic owadzią precyzją, przypominając Fili bladozieloną wielką modliszkę, którą widziała w programie przyrodniczym. Jego ręce były zakończone niezwykle długimi, kościstymi palcami ze schludnymi, przyciętymi paznokciami. Wyglądały tak nienagannie, jak wypolerowane przez manikiurzystkę. Siwiejące włosy były gęste po bokach głowy, nos i podbródek szpiczaste, rozbiegane oczka wiecznie wypatrujące, czy nie dzieje się coś wartego uwagi. Nosił doskonale skrojony garnitur w prążki, czym się wyróżniał, ponieważ większość nauczycieli chodziła w ciuchach na luzie, miał też krawat z herbem kolegium. Jego nogi były długie i patykowate, a za przylegające do głowy uszy zaczesywał gładko włosy. Nauczyciel miał wygląd pedanta, typowego naukowca, którego frapują skomplikowane szczegóły.

Kiedy przechadzał się po sali, kroczył wyprostowany, jakby połknął kij, nie pochylał się, nogi szły pierwsze, a za nimi podążał tułów. Głowę odwracał zawsze szybkim ruchem, niczym zaniepokojona jaszczurka.

Za każdym razem, gdy podczas obchodu zbliżał się do ich stolika, wisiorek na szyi Fili drżał.

Kiedy skończyli drugie śniadanie, Sebastian zaproponował, by wyszli na boisko. Oddalili się od szkolnego budynku na ile tylko się dało. Kilkusetletni kasztanowiec stał na skraju boiska, trawa pod nim usiana była kasztanami.

— Skoro Yoland potrzebuje asystenta, planuje coś poważnego — dedukował Tim.

— Chciałem, byśmy tu przyszli i porozmawiali o Scrottonie — oznajmił Sebastian. Rozejrzył się wokoło, by uwnić się, że nic nie doleci do niepowołanych uszu.

Tim przypomniał sobie, jak kolega z klasy porównał Scrottona do Tarzana, a także to, jak radził sobie na WF-ie. Zerknął jeszcze w górę na gałęzie kasztanowca. Scrottona nie było nigdzie widać.

— Po obejrzeniu pokazu zwinności Scrottona w sali gimnastycznej — zaczął Sebastian — jestem pewny, że potwierdzają się przypuszczenia mego ojca, Scrotton to wodwo.

— Wodwo... co? — zdumiał się Tim.

— Wodwo — powtórzył Sebastian. — To od dawna nie używane angielskie słowo, które bardzo trudno wyjaśnić. To jest — lub raczej było — stworzenie, które żyło w kniei.

— Małpolud z lasu! — zażartował Tim zarzucając rękę nad głowę, chwytając się za brodę i chrząkając.

— Żart Tima może być bliższy prawdy, niż się wydaje — powiedział Sebastian. — Wodwo nie jest w pełni człowiekiem ani zwierzęciem. Posiada przebiegłość i instynkt dzikiego zwierzęcia, aczkolwiek — ciągnął Sebastian, — w przypadku Scrottona, który wiele przebywa wśród ludzi, nabrał ludzkich cech i rozwinął swą inteligencję. Ponadto, jako asystent, posiadał szeroką wiedzę o alchemii i magii. Ten wodwo, jest — w przeciwieństwie do innych — niezwykle niebezpieczną istotą.

W tym momencie dostrzegli Scrottona po drugiej stronie boiska. Chwytał za gardło drobnego, chudziutkiego chłopca i dźgał go w ramię.

— Jak widzicie — zauważył Sebastian — czasami ludzka strona jego natury słabnie, a bestia bierze w nim górę.



Rozdział szósty

Norą i księgą

Nazajutrz po południu Fila, Tim i Sebastian obserwowali z okna biblioteki Scrottona, który wyszedł przez bramę poza teren szkoły, niosąc swą sfatygowaną torbę. Gdy tylko znikł im z pola widzenia, podążyli za nim w bezpiecznej odległości.

Szybkim krokiem opuścił teren zabudowany i ruszył drogą prowadzącą do Brampton. W miejscu, gdzie droga i rzeka biegły obok stromego pagórka porośniętego drzewami, Scrotton raptem skręcił w ledwie widoczną ścieżkę, prawdopodobnie wydeptaną przez sarny i lisy. Nie zwolnił kroku, nawet gdy zbocze zrobiło się strome. Fila, Tim i Sebastian ukryli torby w gąszczu jeżyn i przemykali się za nim dalej wśród drzew, starając się nie stąpać na leżące na ziemi gałązki. Najwyraźniej Scrotton nie zdawał sobie sprawy z ich obecności, wspinał się dalej pod górę, nie zbacając ze ścieżki. Wiewiórki, zakopujące tu i ówdzie orzechy, nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. Bażanty, dziobiące wśród opadłych liści, na moment uniosły głowy i wróciły do żerowania.

— Zwróćcie uwagę — powiedział po cichu Sebastian — zwierzęta się go nie lękają, gdyż przynależy do ich świata.

Trzysta metrów od podnóża wzgórza rósł rozłożysty dąb. Tim oszacował, że ma co najmniej tysiąc lat. Scrotton

zszedł ze ścieżki i skierował się prosto ku drzewu, szuraj przy tym nogami, by nie zostawiać śladów.

Nieopodal leżał okazały pień powalonego buku. Sebastian szybko schował się za nim i dał znak Timowi i Filu by zrobili to samo. Pod dębem znajdowało się coś, co **glądało** na borsuczą norę. Ziemia między korzeniami była świeżo poruszona. Obserwowali, jak Scotton **przykuc** i wrzuca do dziury swoją torbę. Następnie zwinnie **nicz** wąż wślizguje się do środka. Widzieli, jak jego buty **nikn** w mroku jamy.

— A cóż to takiego? — szepnęła Fila.

— Nie mam pojęcia — odparł po cichu Tim. — Al najwyraźniej zszedł pod ziemię.

— To jego kryjówka — rzekł cicho Sebastian.

— Czemu nie mieszka w tym starym domu? — spytał Tim.

— W domach czuje się nieswojo — wyjaśnił Sebastian — A tu jest bezpieczny.

— Co robimy? — spytała Fila.

— Musimy uzbroić się w cierpliwość — odparł Sebastian. — Niebawem opuści kryjówkę. Za godzinę, dwie za padnie noc, a on wyruszy na żer.

Nie minęło dziesięć minut, gdy Scotton znów się pojawił. Najpierw wystawił na zewnątrz głowę i rozejrzał się niczym płochliwe zwierzę, które ocenia, czy może bezpiecznie **wyjść**. W końcu wydostał się z nory. Nie miał już na sobie szkolnego mundurka, tylko ubłocone dżinsy i brudną brązową bluzę sportową. Odwrócił się i ruszył w górę wzgórza, przeszedł przez grzbiet na drugą stronę i znikł w gęstym lesie.

— Teraz nadarza się sposobność — uznał Sebastian.

— Stań na straży, **Filu**. Daj nam znać, jeśli wróci. Tylko po cichu. Nie spłosz go. Chodź ze mną, Tim.

Przy wejściu Sebastian dał Timowi coś, co wyglądało, kulka granatowej gumy do żucia wielkości wiśni.

Ssij to przez cały czas, gdy będziemy w środku. — **Poleczek** zrobił mu się wypukły, gdy drugą kulkę włożył sobie do ust. — A teraz chodźmy do kryjówki wodwo.

Już dwa metry od wejścia było ciemno jak w grobie, przez otwór sączyło się tylko nikłe popołudniowe słońce. Tim zamrugał, by wzrok przywykł do ciemności. Nic to **lednaknie** pomogło. Gdy tylko włożył kulkę gumy do ust, zobaczył wszystko, jak przez wojskowy noktowizor. Mrok nory momentalnie rozjaśniło blade światło.

— Ekstra! — zawołał. — Co to za чудо?

— Wyciąg z marchewki — odparł Sebastian — i kilka innych ingrediencji, których i tak nie znasz.

Tunel miał około metra wysokości i tyle samo szerokości, po około czterech metrach skręcał pod kątem prostym. Ściany były z ziemi, gdzieniegdzie podtrzymywały je **połężne** korzenie dębu, wytarte w miejscach, gdzie Scotton ocierał się o nie, przechodząc. Za zakrętem korytarz ciągnął się jeszcze przez co najmniej osiem metrów. Ziemia pod stopami była gładka i twarda jak skała, natomiast na suficie podtrzymywała ją gęsta sieć drobnych korzeni, niektóre z nich zwisały niczym wąsy.

Na końcu tunelu znajdowała się większa komora, sufit był tu wzmocniony **przeplatającymi** się ze sobą patykami, a w ścianach wykuto półki, na których Scotton trzymał podręczniki. W jedną wnękę wcisnął swój szkolny mundur. Na końcu znajdowała się duża sterta wyschniętych liści i paproci służąca za legowisko. Obok **stała** powyginana aluminiowa miseczka z obrzydliwą wodą.

— On naprawdę żyje jak zwierzę — zauważył Tim. — Od jak dawna może tu mieszkać?

— Kilka wieków — odparł Sebastian.

— Kilka wieków! — zdumiał się Tim. — I nikt go **nie** odkrył?

— Niby czemu? Wszyscy sądzą, że to borsucza nora. i

— A co z myśliwymi? Ludźmi z psami? Przecież **polują** na borsuki. A przedstawiciele ministerstwa **rolnictwa**? Traktują borsuki gazem przekonani, że zwierzęta zarażają było gruźlicą.

— Oczywiście — przyznał Sebastian — ale Scrotton **nie** jest borsukiem. Zgładził każdego psa, który wdarł się do jego nory, a czasem i człowieka, który był razem z nim. W lesie można pewnie **znaleźć** wiele **szkieletów**...

Tim uczył skurcz w brzuchu. Do tej pory uważał **wyprawę** za fajną przygodę, ale teraz powiało grozą. Zaniepokoił się o Filę stojącą na czatach.

— Długo to potrwa? — spytał nerwowo Sebastiana.

— Nie więcej niż parę minut — powiedział Sebastian i zaczął grzebać w łożu z liści i paproci. Natrafił na drewnianą szkatułkę wzmocnioną zmatowiałymi mosiężnymi wspornikami i zamkiem zabezpieczonym starą, ale dobrze naoliwioną kłódką.

— Dobra! Zmykamy stąd! — ponaglał go Tim. — Możemy to otworzyć w domu.

— Wykluczone — oznajmił Sebastian, kładąc szkatułkę na ziemi. — Jeśli ją zabierzemy, Scrotton dowie się, że znalazła się w naszym posiadaniu. Przedmiot wezwie go do siebie. Jestem bardziej niż pewien, że teraz mówi mu, iż ktoś dobiera się do szkatułki pod jego nieobecność.

— No to co robimy? — spytał spanikowany Tim.

— Otwieramy — odparł Sebastian. — Najszybciej, jak się da.

– Przecież nie mamy klucza – powiedział Tim, roz-
kładając się gorączkowo dookoła.

Sebastian zamknął oczy i chwycił kłódkę oburącz. Roz-
gi się metaliczny trzask i zamek puścił.

– Zręczny jesteś! – zawołał Tim.

– To mechanizm z jedną tylko dźwignią – odparł Se-
bastian. – Nie wymaga szczególnych umiejętności.

Po otwarciu szkatuлки, Sebastian wyjął niewielką książ-
kę oprawną w skórę, na okładce której widniały plamy
pleśni, a grzbiet pękał ze starości.

– Co to? – spytał Tim, który momentalnie zapomniał
o całym strachu.

Sebastian otworzył księgę na chybił trafił, przerzucił kil-
ka stron, nim oświadczył:

– To zbiór zaklęć znany jako „Księga Gerberta d’Auril-
laca”.

– Czyja?

– Niebawem powiem ci o nim więcej – odparł Sebastian.

Tim podszedł bliżej, żeby zajrzeć do szkatuлки. Sięgając
ręką, spytał z przejęciem:

– Co tam jeszcze jest?

– Niczego nie dotykaj! – skarcił go Sebastian, odsu-
wając dłoń Tima. – Scrotton nie może się dowiedzieć, że
złożyliśmy mu wizytę.

Ostrożnie odłożył książkę na miejsce.

Tim oniemiał, gdy zobaczył, co jeszcze kryje szkatułka:
czaszkę jagnięcia, krowie zęby, rudobrunatną lisią kity, skórę
węża i jak się domyślił na podstawie koloru – dwa zasuszone
wronie skrzydła. Dopiero w momencie gdy Sebastian zaczął
zamykać szkatułę Tim zauważył przedmiot wielkości piastki
dziecka, czarny, cały naszpikowany cienkimi gwoździami.

– A to co?

— To serce — odparł Sebastian.

Timowi odjęło mowę. Ujrzał w wyobraźni leśniczego i jakiegoś człowieka na spacerze ze swymi psami w pogodnie popołudnie. Zaraz potem przypomniał sobie o F schowanej za zwalonym pniem, nieświadomej że podkry się do niej Scotton.

— Ludzkie serce? — spytał ze ściśniętym gardłem.

— Nie — odrzekł Sebastian. — To serce psa.

— Czemu jest poprzebijane gwoździami?

— Ma go chronić — wyjaśnił Sebastian — przed **wszyscy** **kimi** zwierzętami tego gatunku.

Zamknął szkatułkę i włożył w stertę liści. Na **czworakach** ruszyli ku wyjściu z nory.

Gdy doszli do zakrętu, Sebastian nakazał Timowi, **że** zaczekał, sam zaś ruszył przodem, by zawiadomić Fil i sprawdzić, czy Scotton nie pojawił się w pobliżu.

Tim niechętnie wyraził zgodę. Usiadł na twardej ziemi: oparł się plecami o ścianę i kurczowo objął rękoma **kolana**.

Po chwili odniósł dziwne wrażenie, że ktoś go z tyłu obserwuje. Spojrzał w głąb tunelu ku komorze, ale niczego nie zauważył. Gdy zerknął w drugą stronę, ujrzał kontury Sebastiana na tle rozświetlonego wejścia do tunelu.

I wtedy coś mokrego musnęło mu kark. Sięgnął ręką, myśląc, że to kropla wody **skapnęła** z góry. Natrafił palcami na coś cienkiego, miękkiego i wilgotnego: co znikło pod jego dotykiem. Obejrzał się, dostrzegł jednak tylko niewielki otwór w ścianie korytarza.

— Droga wolna? — spytał teatralnym szeptem.

Sebastian nakazał mu gestem, by się nie ruszał.

Gdy tylko Tim dał znak, że rozumie, ku jego przerażeniu, coś oślizgłego spadło mu na głowę, stoczyło się, przez moment owinęło się wokół jego ucha i zaraz spadło na ziemię.

W mgnieniu oka sufit tunelu zaroił się od olbrzymich **ł**źownic, które wystawały z otworów niczym koszarne **o**zdoby choinkowe. Lśniące od śluzu, różowe i brązowe **w**ily się na wszystkie strony w poszukiwaniu chłopca i **w**yczuwając jego woń w powietrzu, wskazywały ciałami w je-
o stronę, jakby sobie przekazywały, gdzie się **z**najduje.
iść robaków **w**isiała nad nim i dotykała jego głowy. Dwie
oderwały się od sufitu i wplątały mu się we włosy. Chwycił
je i wyrwał, ale na ich miejsce natychmiast pojawiały się
nne. Obrzydliwy śluz oblepił mu dłonie.

Łamiąc polecenie Sebastiana, poczołgał się Wjego stronę.
Ledwie do niego dotarł, zaalarmowała ich Fila. Przebiegli
w kucki do zwałonego buku, przeskoczyli pień i przywarli
do ziemi. Niecałą minutę później Scrotton zbiegł ze wzgó-
rza, momentami przemieszczając się na czworakach, ni-
czym szympans. Przystanął przy wejściu do tunelu, roze-
jrzał się bacznie dookoła i znikł wewnątrz. Oczekali pięć
minut, a następnie ostrożnie, ale bardzo szybko dobiegli do
ścieżki, zabrali **p**lecaki spod krzaków i pośpiesznie ruszyli
do domu.



— Powiedz w końcu, kim jest ten d'Aurillac? — spytał
Tim, kiedy oboje z Filą usiedli wieczorem na taboretach
w podziemnej komnacie Sebastiana.

Sebastian przeciągnął się, skrzyżował ręce na piersi
i opierając się na stole zaczął opowieść.

— Gerbert d'Aurillac przyszedł na świat w górach Owernii
we Francji w dziesiątym wieku. Tajemnicą pozostaje dokład-
na data jego narodzin, pierwotne nazwisko, a także jego
przeszłość, uważa się jednak, że pochodził z niskiego stanu.

W połowie owego wieku został benedyktyńskim mnichem w klasztorze Świętego Geralta w Aurillac, stąd wzięło się jego imię. Jakies dziesięć lat później opat wysłał do Hiszpanii, by studiował **quadrivium**, czyli cztery przedmioty: arytmetykę, muzykę, astronomię oraz geometrię. Po naukach w bibliotekach katedry Vic oraz klasztoru Ripoll, udał się do Kordoby, stolicy południowej Hiszpanii pozostającej we władaniu muzułmańskich Arabów. Byli niezwykle światli w matematyce, astronomii i astrologii, posiadali bibliotekę złożoną z tysięcy ksiąg.

— Czegoś tu nie rozumiem — wtrąciła Fila. — Skoro był chrześcijańskim mnichem, czemu zapuścił się na **ziemię** muzułmanów?

— W owych czasach — wytłumaczył Sebastian — chrześcijanie i muzułmanie nie byli jeszcze wrogami, poróżniły ich dopiero wyprawy krzyżowe.

— No i co z tą jego księgą? — niecierpliwił się Tim.

— W Kordobie — ciągnął Sebastian — Gerbert uczył się u słynnego muzułmańskiego czarownika, którego **czarodziejska** moc opierała się na zaklęciach, zapisanych w księdze trzymanej pod kluczem w żelaznym kufrze. Kiedy Gerbert dowiedział się o tym, uwiódł córkę magika i obiecał, że zabierze ją daleko i poślubi, wystarczy iż ona pomoże jemu zdobyć księgę. Białogłowa odurzyła swego ojca jakąś miksturą, zabrała mu klucz, otworzyła kufer i wręczyła księgę zaklęć Gerbertowi.

— A potem żyli długo i szczęśliwie? — podsunęła Fila.

— Bynajmniej — ciągnął Sebastian. — Gerbert uciekł, porzucając dziewczę. Kiedy jej ojciec odzyskał przytomność, wściekł się i zorganizował pościg, Gerbertowi udało się jednak zbiec.

— Co za palant — zauważył Tim.

— Obawiam się, że to jeszcze nie wszystko — dodał Sebastian. — Mówią, że Gebert modlił się do szatana, by ocalił go przed czarownikiem, że zaprzedał duszę diabłu, **ta** co szatan przyrzekł mu jeszcze większą moc, niż dawała księga zaklęć. Do końca życia Gebert posiadał ponoć ludzką głowę, podarunek szatana, z którym wielokrotnie rozmawiał, poznając wiele nowych tajemnic zła, którymi uzupełniał księgę.

— I Scrotton ma tę księgę — podsumował Tim.

— W Roku Pańskim 983 — ciągnął Sebastian — papież Otto II mianował Geberta opatem słynnego klasztoru, zaś w 999 został on obwołany papieżem Sylwestrem II.

— Ale jazda! — entuzjasmował się Tim. — Papież, który zaprzedał się szatanowi i posiadał osobistą księgę diabelskich zaklęć!

— Co gorsza — wyszeptała Fila — skoro **ma ją** Scrotton, to i Yoland jest jej właścicielem.

Sebastian nie odzywał się przez kilka minut. W końcu wstał i powiedział:

— Teraz już jestem pewien, że Yolandowi wcale nie zależy na stworzeniu homunkulusa ani udoskonaleniu aurum potabile. Do tego zbędna jest owa księga.

— O co mu więc chodzi? — spytał Tim.

— Tego jeszcze nie wiem — wyznał Sebastian — ale możecie być pewni, że jego zamiary są gorsze i ambitniejsze niż zakusy Malodora.



Pierwsze usprawiedliwienie świetnie wyszło Timowi. Wzorując się na piśmie swojej mamy napisał: *Proszę usprawiedliwić dzisiejszą nieobecność Sebastiana w szkole. Syn cierpi*

na silną niestrawność. Z poważaniem, Anna Gillette. Pote po kilkukrotnym przeciwczeniu podpisu, pomylił się i podpisał imieniem Annette, musiał więc zacząć od początku. Gdy w końcu zwolnienie było gotowe, złożył je i wsunął do koperty, na wierzchu której napisał: W.P. Yoland.

— Jeśli Yoland będzie pytał, powiem mu, że twoja mama poprosiła mnie o przekazanie usprawiedliwienia.

— Jesteś pewien, że to wystarczy? — spytał Sebastian, gdy czekali z **Timem** na Filę, która kończyła zakładać mundurek szkolny.

— Spoko — odparł Tim. — Nikt tego nie sprawdzi. Przynajmniej, jeśli nie powtarza się takiego numeru za często. Wtedy mogą zadzwonić do rodziców. Ale jeden raz? Nie ma o czym mówić! A teraz — ciągnął — **pamiętaj**. Tata wyjechał w interesach, a mama, po podwiezieniu nas do szkoły, idzie do fryzjera. Jeśli telefon w domu zadzwoni trzy razy, potem zamilknie i zadzwoni jeszcze raz, to znaczy, że Scrotton jest w szkole.

— Jeżeli jednak zadzwoni dwa razy i potem znów dwa, jest nieobecny — dokończył Sebastian.

— Dobra! — rzekł Tim, sprawdzając, czy bateria w jego komórce jest naładowana.

Pół godziny później Fila i Tim przekroczyli szkolną bramę dziesięć kroków za Scrottonem, który był jak zwykle niechlujny i niósł swoją sfatygowaną torbę sportową zarzuconą na ramię. Tim przystanął przy stojaku na rowery i wykonał umówiony **telefon**. Gdy znalazł się w klasie, położył usprawiedliwienie na dzienniku na stole laboratoryjnym.

W Rawne Barton Sebastian przemienił się we wronę i pofrunął w stronę lasu. W dziesięć minut **był** przy dębie.

Przysiadł na grubym konarze i zakrakał trzykrotnie. Nie można było wykluczyć, że Scrotton pozostawił wartownika, zwłaszcza gdy zorientował się, że ktoś ostatnio złożył wizytę w jego kryjówce. Sebastian nie dostrzegł jednak żadnego powodu do niepokoju, sfrunął więc na ziemię i ruszył zawadiackim wronim krokiem. Na moment zainteresowała się nim wiewiórka, słysząc jednak od czasu do czasu jej kwilenie oraz turkotanie i widząc, jak zbiera gałązki, suche liście i kawałki kory, Sebastian uznał, że gryzoń buduje gniazdko w pobliskim jesionie i chce je ochronić przed inną wiewiórką, która zakopywała orzechy.

Zadowolony, że Scrotton nie zostawił żadnej straży, schował się za dębem, gdzie na powrót przybrał ludzką postać i podszedł do wejścia do nory. Włożył do ust kawałek niebieskiej gumy i wszedł do środka. By uniknąć spotkania z dżdżownicami, przeczołgał się szybko na łokciach do komory Scrottona, gdzie z posłania ze starych roślin wygrzebał szkatułkę i otworzył kłódkę. Bardzo ostrożnie wyjął księgę zaklęć i zaczął ją czytać, szybko przebiegał wzrokiem archaiczny tekst. Co jakiś czas unosił wzrok i rozglądał się, by upewnić się, że nadal jest sam.

Zaklęcia spisane głównie po łacinie i w średniowiecznym francuskim obejmowały szeroki wachlarz zagadnień od zwykłych klątw, rzucanych na pojedyncze osoby, po złożone rytuały, które miały rzekomo moc zgładzenia całego narodu lub obalenia królestwa. Sebastian znalazł jedno zaklęcie, które szczególnie go zainteresowało. Składał się na nie skomplikowany czteroetapowy proces, **jednak** nie to zwróciło jego uwagę. Strona była założona suchym liściem dębu.

Sebastian nauczył się zaklęcia na pamięć, następnie włożył księgę do szkatułki, zamknął ją, schował na miejsce i zaczął przeszukiwać norę centymetr po centymetrze.

Tymczasem w gimnazjum Bourne End Tim i Fila — a także Scotton — mieli podwójną lekcję geografii o **ryce**. Przez pierwsze 45 minut oglądali film wideo. W polowie Fila trąciła Tima. Scotton był wyraźnie **niespokojny**! Wiercił się na miejscu, nieustannie przekładał książki i długopis, stukał stopami w szczebel krzesła.

On wie, napisała Fila do Tima w swoim zeszytcie.

Tim kiwnął głową.

W końcu odezwał się dzwonek na przerwę. Na ten sygnał Scotton poderwał się z **miejsca**, jakby siedział na rozżarzonych węglach i ruszył pędem w stronę drzwi.

— Cóż to za **manieri**?! — zawołała za nim nauczycielka geografii. — Dzwonek jest dla **nauczyciela**, a nie...

Scotton był już za drzwiami i biegł korytarzem.

— Pędzi do lasu! — szepnął Tim. — Musimy go powstrzymać. Weź moje książki.

Tim ruszył za Scottonem, gdy ten jednak skręcił do swojej szafki, Tim skierował się przez szkolne boisko ku głównemu wyjściu. Wiedział, że podczas zajęć lekcyjnych tylko tędy można opuścić teren szkoły: wszystkie pozostałe wejścia są zamknięte.

Po minucie Scotton pojawił się na boisku niosąc torbę. Tim pobiegł w jego kierunku, wpadł na niego z impetem i przewrócił go. Scotton padł jak długi na beton.

— Nie lubię cię — powiedział głośno, gdy Scotton się pozbierał. — **Jesteś** obrzydliwy, śmierdzisz jak kupa gnoju, dokuczasz słabszym od siebie i — dodał na koniec, na wypadek, gdyby poprzednie obelgi okazały się za słabe, by go rozzłościć — **jesteś** zarozumiałym, obrzydliwym kurduplem.

Scotton rzucił torbę na ziemię i skoczył, zaciskając pięści. Wymierzył Timowi cios w głowę. Timowi udało się

bić unik, ale i tak oberwał porządnie w ramię. Scotton rócił się i znów na niego natarł, wskoczył Timowi na zbiet z zjadłością lamparta atakującego antylozę. Tim poczuł na karku gorący, cuchnący oddech Scottona, który zaplął swe przykrótkie nóżki wokół jego talii, zaś rękoma objął jego klatkę piersiową. Przez moment Timowi prze-
mknęła myśl, że gdyby Scotton nie miał butów, to pewnie zapląłby palce stóp, jak małpa, by wzmocnić uchwyt.

— Wydaje ci się, że jesteś taki mądrała? — wybełkotał Scotton Timowi do ucha, pryskając przy tym śliną na jego policzek i ucho. — Jesteś ciemna masa! Nic nie wiesz!
- Scotton splunął i ciepła, lepka ślina spłynęła Timowi po karku za kołnierz. — Jesteś ignorantem!

— A ty idiota — odciął się Tim i sięgając rękoma za siebie, złapał napastnika za kołnierz i napierając do przodu starał się go przerzucić nad głową, jak to widział na pokazach zapaśniczych w telewizji. Scotton zaparł się jednak mocno nogami i nic nie wyszło z manewru Tima, który znalazł się na przegranej pozycji. Jego jedyną szansą było przygwożdżenie Scottona. Gdy próbował się obalić, Scotton przechylił się w drugą stronę, by nie stracić równowagi.

Tłum przepychających się chłopców i dziewcząt zdążył zebrać się wokół walczących. Większość kibicowała Timowi. Niektórzy wykrzykiwali obelgi pod adresem Scottona z tłumu, gdzie byli bezpiecznie anonimowi. Nadeszła Fila i próbowała dostać się do Tima, jednak zbita masa uczniów była nie do przebycia.

W pewnej chwili Tim poczuł ostre zęby Scottona na swojej szyi. Jeszcze chwila, a napastnik przegryzie mu aortę szyjną i Tim wykrwawi się na śmierć, nim przyjedzie karetka.

— Dostyc tego! — zawołał ktoś. — Macie przestać w t chwili!

Scrotton nie puszczał Tima, ale przestał macać zęb tętnicę.

Wyrósł przed nimi nauczyciel, który dyżurował na boi ku, w dłoni trzymał filiżankę z kawą. Większość najwyraź niej wylał, pędząc co tchu w stronę zbiegowiska.

— Przestańcie! W tej chwili! Rozdzielić się! — Trąci nogą torbę Scrottona. — Czyje to?

— Moje — odparł Scrotton.

— Moje, proszę pana! — warknął nauczyciel. — Weź ją i chodźcie obaj ze mną.

Niebawem Tim i Scrotton stali przed biurkiem dyrek- tora. Nauczyciel dyżurny opowiedział o zajściu. Doktor Singall odchylił się na fotelu i przyjrzał obu chłopcom.

— Takiego zachowania nie tolerujemy w gimnazjum Bour- ne End — zaczął groźnie. — Nie życzę sobie bójek. Scrotto- nie, do końca dnia będziesz siedział na krześle przed tym gabinetem pod moim czujnym okiem, a nauczyciele zadadzą ci pracę. W czasie przerwy śniadaniowej będziesz towarzy- szył panu Taylorowi podczas dyżuru. W ten sposób, z dala od siebie, trochę ochłoniecie. — Spojrzał na Tima. — Ty, Ledger, wracaj do klasy, a jutro rano przyniesiesz mi wypra- cowanie na 300 słów o tym, dlaczego nie toleruję tu bójek.

Rozległ się dzwonek na lekcję.

— I zapamiętajcie sobie — oświadczył na koniec doktor Singall — jeśli się to powtórzy, wezwę waszych rodziców. A teraz odmaszerować.

— No i co? — Fila spytała Tima, gdy spotkali się na korytarzu przed kolejną lekcją.

— Scrotton jest załatwiony — odparł. — Uwiązany jak pies na łańcuchu do nauczyciela lub krzesła przed gabinetem dyra.

— A co z tobą?

— Mam tylko naskrobać wypracowanie. Najwyraźniej **Wro** nie przepada za Chłopcem z Lasu.

Wieczorem, kiedy rodzeństwo odrobiło pracę domową, **Wro** lim napisał karne wypracowanie, Fila zastukała w panel. Potem wszyscy troje zeszli do komnaty Sebastiana.

Kiedy Tim opowiedział, co się wydarzyło w szkole, Sebastian uśmiechnął się i powiedział:

— Zachowałeś się szlachetnie, **Timie**, narażając się na poważne niebezpieczeństwo. Lepiej nie zadzierać ze Scrottonem, bo na pewno zatopiłby zębiska w twojej szyi, gdyby mu nie przeszkadzono.

— Jeśliby mu się udało — powiedział Tim — wykrwa-
wiłbym się na śmierć.

— Zaiste — przytaknął Sebastian. — Tak oto zaskar-
biłeś sobie mą dozgonną wdzięczność. Gdyby przyłapał
mnie w lesie, pewnie potraktowałby mnie tak, jak chciał
ciebie.

— Ale na pewno by nie... — zaczęła Fila.

— Ależ tak — przerwał jej Sebastian. — Nie zapominaj-
cie o tym, że jest wodwo i ludzka moralność jest mu obca.
On nie rozróżnia dobra od zła. Tak jak każde zwierzę,
walczy o przetrwanie.

— A jak udał ci się rekonesans w norze Scrottona? —
spytał Tim.

Sebastian rozłożył arkusz grubego papieru.

— Oto zaklęcie, na którym, jak mniemam, skupił swe
wysiłki Yoland — oświadczył. — Nauczyłem się go na
pamięć z książki i przetłumaczyłem na współczesny angielski.
Zwie się: *Jak zniewalać umysły wielu*.

— To znaczy — powiedział Tim — że za pomocą tego
zaklęcia Yoland może kontrolować umysły innych?

— W rzeczy samej — potwierdził Sebastian. — W ch obecnej może mieć moc zagładania do duszy innych, posiadał jednak w tej umiejętności pełnej kontroli. **Zakłęc** mu to umożliwi.

Sebastian złożył kartkę i dla bezpieczeństwa schował w jednym z foliałów ojca.

— Skąd wiesz, że to właściwe zakłęcie? — spytała Fil

— Primo — odparł Sebastian — Scrotton zaznaczył stronę. Secundo, jest to czterostopniowe zakłęcie, **wy** gające czterech kluczy. Jeden z nich znalazłeś, **Timie**, w derze. Tertio, gdy dokładnie przeszukałem norę, **znalaz** **łem** trzy pozostałe ukryte w ziemi na suficie.

Sebastian wyjął z kieszeni kolejne kartki papieru i rozłożył je na stole. Na każdej z nich znajdował się **narys** wany przez niego symbol ezoteryczny.


— Takie znaki są wryte na kluczach — zaczął.

Pierwszym symbolem był: © .

— Ten — wyjaśnił Sebastian, — odnosi się do boskość i mocy. U chrześcijan przekształcił się w aureolę. **Jakkol** wiek nie chodzi tu tylko o boskość Naszego Pana, ale także o władcę mocy ciemności.

Na drugiej kartce widniało: 0 .

— Jako pierwsi — rzekł Sebastian — użyli go starożytni Grecy, przedstawiał świat. Do dziś wykorzystują go astrologodzy, jako symbol świata, w którym żyjemy.

Ostatni to: .

— A ten — zawiesił głos dla większego efektu — to symbol istoty ludzkiej duszy.

— Z czego zrobiono klucze? — zainteresował się Tim.

— Pierwszy ze złota, drugi ze srebra, a ostatni z platyny.

— A klucz pieca znaleziony przez Tima, składał się ze wszystkich trzech metali — zauważyła Fila. — Ten pewnie był najważniejszy?

- Piec, moc, świat i dusza — wyliczył na głos Tim.
Wymieszaj je wszystkie w kotle, dodając oko nietoperza
raz palec ropuchy i co **otrzymamy...?**
— Nawet bez twoich wymyślnych ingrediencji — odparł
bastian — wybujała i przerażająca ambicję.

Rozdział siódmy

Dom jak każdy inny — bynajmniej!

Dom Yolanda — odezwał się Tim, gdy usiedli przy stole w jadalni — nie będzie taki łatwy do spenetrowania. — Ugryzł jabłko. — Nory Scottona strzegły tylko dżdżownice. — Wzdrygnął się na samo wspomnienie. — Nie było tam pozamykanych drzwi ani okien. Choć, gdy jesteśmy w szkole, Yolanda też w niej jest i nie może się niepostrzeżenie wymknąć, nie mam pojęcia, jak możemy to wykorzystać. Nie będziemy ryzykować kolejnego lipnego usprawiedliwienia, nie możemy sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Scotton na pewno doniósł swemu panu, że ktoś przeszukał jego norę, Yolanda skojarzy, że akurat tego dnia Sebastiana nie było, doda dwa do dwóch i wyjdzie mu 193.

— Dwa plus dwa to cztery — poprawił Sebastian zdumiony arytmetyką Tima.

— A jeśli nawet dostaniemy się do środka — wtrąciła Fila — skąd mamy wiedzieć, że Yolanda nie ma systemu ostrzegawczego, tak jak Scotton.

— Zapewne ma — przytaknął Sebastian, co bynajmniej nie uspokoiło Fili.

Godzinę później, podczas zajęć w bibliotece, rozwiązanie samo wpadło im w ręce.

W połowie lekcji pojawił się uczeń z dziewiątej klasy, który podał bibliotekarce karteczkę. Rzuciła na nią okiem ogłosiła:

- Komunikat dyrektora. Z powodu nadzwyczajnego zebrania rady pedagogicznej, zajęcia kończą się dzisiaj dzień wcześniej. Uczniowie są obowiązani opuścić teren szkoły najpóźniej do godziny 16.00. Szkolny autobus przyjedzie wcześniej. Jedynie zawodnicy, biorący udział w treningu piłkarskim, mogą zostać w szkole i poczekać na sali gimnastycznej. Trening powinien się rozpocząć o godzinie 17.15.

— Wiecie, co to znaczy? — szepnęła Fila z książki o historii mody. — Póki trwa narada, Yoland nie opuści szkoły. A więc mamy czas do piątej piętnaście.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Tim.

— Rusz głową, durniu! — fuknęła Fila. — Trening nie rozpocznie się przed 17.15, a więc do końca zebrania.

Zaraz po lekcji Tim zadzwonił z komórki do mamy i spytał, czy mogą z Filą i Sebastianem pójść po szkole do kina. Mama się zgodziła i powiedziała, że odbierze ich o ósmej spod Burger Kinga. Podwiezie też Sebastiana.

— Super! — ucieszył się Tim i rozłączył się.

Na ścianie przy sekretariacie wisiał plan miasta i okolicy. Za pomocą kolorów oznaczono na nim ulice oraz rejon, skąd pochodzili uczniowie. Tim szybko znalazł ulicę Keatsa, na przedmieściach, po drugiej stronie miasteczka, tuż za granicą rejonu, który obejmowała szkoła.

— Powinniśmy się rozdzielić — uznał Tim. — Nasza trójka mogłaby niepotrzebnie przyciągnąć uwagę.

— Poza tym — dodała Fila — jeśli Yoland spotka nas w drodze powrotnej, jednej osobie będzie się łatwiej wytłumaczyć niż wszystkim.

Każde z nich prześledziło i zapamiętało inną trasę.

Gdy po ostatniej lekcji rozległ się dzwonek, Sebas nie spieszył się z wyjściem. Chciał się upewnić, że **Yola** idzie do auli, gdzie miało się odbyć zebranie nauczyci Fila sprawdziła, że Scrotton zmierza do swej nory, zaś T ruszył z tłumem innych uczniów wracających do dom przez miasto. Im dalej byli od szkoły, tym bardziej s rozpraszali.

Przecznicę przed ulicą Keatsa Tim wstąpił do **skle** na rogu, kupił sobie czekoladę, stanął przed wejście i zaczął niespiesznie jeść, póki pozostali do niego dołączyli.

Fila spojrzała na zegarek.

— Czwarta dwadzieścia — powiedziała. — **Umawia** się na czterdzieści minut.

Ruszyli ulicą Keatsa. Była to zaciszna podmiejska uli ka wzdłuż której rosły złotokapy i **lipy**. Większość **budy** ków pochodziła z lat 30. i 40. XX wieku, były też piętrow bliźniaki ze ścianami pokrytymi tynkiem kamyczkowym, jaki był w modzie w latach **60.**, i kilka domków parterow ych z tych samych lat. Ogródki były wypielegnowane, starannie utrzymane kwietniki, przystrzyżone żywopłoty, skoszone trawniki i świeżo pomalowane furtki. Przy więk szości domów znajdowały się garaże, ulokowane na końcu krótkich betonowych **podjazdów**.

Pod numerem czterdziestym siódmym mieścił się ni czym nie wyróżniający się parterowy dom. Miał dach kryty ciemnym łupkiem i pomalowane na biało ściany. Drzwi frontowe i okna były wyraźnie nowe, z podwójnymi szy bami.

Rozejrzeli się dookoła, czy nikt ich nie obserwuje i po jedynczo wśliznęli się przez furtkę do ogrodu. Torby uło-

I pod ostrokrzewem i ruszyli na obchód domu wąską rową alejką, która go okalała. Przy każdym kroku kawiarki chrzęściły pod stopami.

- Sprytny system wczesnego ostrzegania — zauważył im.

Wokół ogrodu rósł wysoki żywopłot z ligustru, przez który na pewno nie mogli ich widzieć sąsiedzi.

Zasłony we wszystkich oknach, prócz jednego, były odłożone. Zobaczyli więc, że w salonie znajduje się kanapa, niski stolik ze szklanym blatem, fotel i telewizor. Przy ścianie stał regał z fachową literaturą. W jadalni dostrzegli nowoczesny stół z czterema krzesłami, natomiast w sypialni mieściło się podwójne łóżko, komoda, szafa i dwa krzesła. Kuchnia była ascetyczna — kuchenka gazowa, lodówka i pralka zamontowana pod blatem kuchennym. Przy ścianie stolik, a przy nim dwa krzesła.

— Wiecie co — zauważyła Fila — to mieszkanie nie wygląda mi na... , sama nie wiem, zamieszkałe. Nie ma tu jakichkolwiek obrazków czy ozdób.

— Widać, że nie jest pedantem — powiedział Sebastian jakby na wytłumaczenie.

— Mniejsza ze schludnością Yolanda — rzekł Tim. — Jak się dostaniemy do środka? — Wskazał na klamki okienne. — Nawet one są zamykane na klucz. — Spojrzał na Sebastiana. — A może zrobisz swoje kłódkowe czary mary?

— Obawiam się, że nic z tego — odparł Sebastian. — By sztuka się udała, muszę chwycić zamek w dłoń.

— No to jesteście ugotowani — stropiła się Fila. — Nie wejdziemy do środka bez wyważenia okna czy drzwi.

Nim skończyła mówić, Tim wyruszył na kolejny obchód domu. W miejscu, gdzie do budynku przylegał stary garaż,

rósł wysoki i gęsty krzak **budlei**. Stożkowate główki kwiatowe właśnie wydawały nasiona. Rozchylił gałąź by spojrzeć, co kryje się za nimi. Ujrzał niewiele okienko w drewnianej ramie, parapet zbutwiał, farba słuściła, zaś szyba była mocno zabrudzona. **Przyłó** twarz do szyby, by zajrzeć do garażu i wrócił do **poz** stałych.

— Znalazłem wejście! — obwieścił z szerokim **uśmiechem**. — Do garażu prowadzi okienko, a dalej są drzwi domu.

— Trochę ciasne — zauważyła Fila, widząc okno. — I co **wcinałeś** tę czekoladę?

Tim sprawdził okno. Klamka była zamknięta.

— I znów wracamy do punktu **wyjścia** — westchnęła Fila

— Patrz i ucz się — rzekł z wyższością Tim.

Krawędź szyby przy klamce była pęknięta, a kit, **któ** ją trzymał, wysychł i wypadał kawałkami.

— Nikt nie zauważył dodatkowego pęknięcia — uznał Tim i wziął szpiczasty kamień spod budlei, przymrużył oczy i delikatnie stukał w miejscu, gdzie pęknięcie stykało się z ramą. Po niecałej minucie w szybie zrobiła się **dziura**, na tyle duża, by przełożyć przez nią palec wskazujący i **ot-**worzył klamkę.

— Bingo! — szepnął. — Podsadźcie mnie. Wejdę **do** środka i otworzę wam drzwi od ogrodu.

Fila zagryzła wargi, gdy brat przecisnął się przez okno i znikł jej z oczu.

Garaż był pusty poza wielkim kartonowym pudłem, w którym znajdowało się nowe okno, najwidoczniej mające zastąpić zbutwiałe okienko, przez które przeszedł Tim, jakimiś ogrodowymi narzędziami oraz starym stołem. Tim zamknął za sobą okienko, by zatrzeć wszelkie ślady, ze-

zył na podłogę, starając się nie nadepnąć na linię naryszowaną ledwie widoczną kredą: wolał nie zostawić tu cisków swoich stóp. Drzwi do domu były zamknięte na lek, na szczęście mechanizm był zepsuty i wystarczyło e mocniej szarpnąć, by się otworzyły.

Serce waliło mu jak młotem, gdy Tim wszedł do domu Yolanda i zamknął za sobą drzwi garażowe.

Pospiesznie przemierzył krótki kuchenny korytarzyk I otworzył drzwi do ogrodu, by wypuścić Filę i Sebastiana.

— Teraz twoja kolej, Sebastianie — oznajmił. — Pokaż, na co cię stać. Od czego zaczynamy?

— Wedle mojej opinii — odparł Sebastian — wskazane by było rozpocząć od izby, w której zasłonięte kotary nie pozwalają światłu słonecznemu wnikać do środka.

— A mówiąc po ludzku? — spytał sarkastycznie Tim.



Otworzyli drzwi do pomieszczenia, które wyglądało na drugą sypialnię i weszli do środka. Nikłe światło dzienne sączyło się przez zasłonięte kotary. Pokój był umeblowany, jak gabinet. Przy ścianie stała niewielka szara, metalowa szafka na dokumenty z dwiema szufladami, do jednego z jej boków przymocowano tablicę korkową. Przyczepiono na niej papiery związane ze szkołą, starannie ułożone w plik. Tim ostrożnie pociągnął jedną z szuflad. Na szczęście nie była zamknięta.

— Co jest w środku? — spytał Sebastian.

Tim szybko przejrzał teczki. Znalazł w nich stare arkusze egzaminacyjne, wskazówki dla nauczycieli, jak przeprowadzać doświadczenia chemiczne, programy rad pedagogicznych, wieści ze związku zawodowego nauczycieli,

akta dawnych uczniów, wytyczne ministerstwa edu oraz okólniki miejscowych władz szkolnych.

— Nic specjalnego — odpowiedział w końcu. — I szkolne śmieci.

Naprzeciw szafki na dokumenty stało staromodne drewniane biurko, a na nim nowiutki komputer z czternastocalowym monitorem TFT, kompaktowa drukarka laserowa i skaner. Przed biurkiem pyszniło się nowiusieńkie krzesło! biurowe.

— Carramba! — zawołał Tim z podziwem. — Niezła zabaweczka! Wy pomyszkujcie po domu, a ja zajmę się tym sprzęciorem.

Niewiele czasu zajęło Sebastianowi i Fili przeszukanie reszty domu. Sypialnia była wręcz ascetyczna, pod łóżkiem nie walały się żadne walizki, do których można by zajrzeć, w szafie znaleźli zaledwie kilka ubrań. Szuflady były nawpół puste. W kuchni znajdowało się niewiele jedzenia. W drzwiach lodówki stał tylko litr mleka, pięć jajek i pół kostki masła. Jedyne bochenek chleba w pojemniku na pieczywo obficie porosła pleśń.

— Podejrzewam, że jada głównie na mieście — zauważyła Fila.

— Nie odczuwa specjalnej potrzeby, aby jeść — odezwał się Sebastian. — Podobnie jak ja.

— To znaczy, że nie musisz jeść?

— Spożywam jadło przyrządzone przez twą matkę i nic ponadto. To mi w zupełności wystarcza.

— Zwierzęta zapadające w sen zimowy gromadzą w organizmie duże ilości tłuszczu — powiedziała Fila. — Pewnie z tobą jest podobnie.

— Otóż nie — odparł Sebastian. — Jeśli pamiętasz aqua sporiferum przyrządzone przez mego ojca, nie tylko

wprowadza mnie w stan hibernacji, ale także spowalnia wszelkie funkcje organizmu. W związku z czym mam zmniejszone zapotrzebowanie na pokarm.

— A więc, cokolwiek zażywa Yoland, też nie musi jeść?

— Poniekąd. Jego eliksir nie jest tak skuteczny, jak mikstura przyrządzona przez mojego ojca, w związku z tym znaleźliśmy w jego kuchni produkty spożywcze, to znaczy — poprawił się Sebastian — jedzenie.

Fila uśmiechnęła się.

— Tak lepiej. Wystarczy, jak powiesz żarełko.

Poszli dalej. Salon był tak samo oszczędnie urządzone, jak kuchnia, podobnie zresztą jadalnia. Nawet w łazience znajdowały się jedynie podstawowe środki do higieny ciała — gąbka, kostka mydła ze smoły węglowej, butelka szamponu z odżywką w jednym, szczoteczka do zębów, tubka pasty, maszynka do golenia i opakowanie pianki.

Kiedy wrócili do gabinetu, zastali Tima odchylonego na krzesło przed biurkiem.

— Komputer chroni hasło — oznajmił ponuro. — Próbowałem je złamać, ale...

Uniósł do góry ręce na znak swej bezradności.

Sebastian spojrzał Timowi przez ramię. Cursor migał, a na ekranie wyświetlony był komunikat, że system czeka na hasło administratora.

— Spróbuj **astromel** — posunął Sebastian.

— A co to znaczy? — spytała Fila, gdy Tim wklepał wyraz i nacisnął enter.

— To stare francuskie słowo, często wykorzystywane w zaklęciach przez Gerberta d'Aurillaca — wyjaśnił Sebastian. — Niewykluczone, że Yoland czując się bezpiecznie w XXI wieku, wykorzystał słowo, którego nikt dziś nie używa.

Na ekranie wyskoczył komunikat: Błędne hasło. Sprawdź nazwę użytkownika i hasło.

— Pudło! — obwieścił Tim.

— W takim razie — powiedział Sebastian — spróbuj ablanathanalba.

— Abła... co? — zdumiał się Tim. — Język sobie może połączyć.

— Zaraz ci przeliteruję — rzekł Sebastian. — To stażytne słowo pochodzące z czasów Pana Naszego, niezwykle często używane w czasach mego ojca.

— A co znaczy? — zainteresowała się Fila.

— Lepiej, byście nie wiedzieli — powiedział Sebastian i podał je po literce Timowi.

Tim wklepał hasło do komputera. Gdy nacisnął enter natychmiast pojawił się pulpit Microsoft Windows.

— Sezamie, otwórz się! — mruknął pod nosem zadzwolony. — Ile mamy czasu, siostrzyczko?

— Dwadzieścia minut — odparła Fila.

Tim skoncentrował się na katalogach Yolanda. Przeglądał je najszybciej jak potrafił. Było ich ze sto, a każdy krył do dwudziestu podkatalogów. Część z nich była poświęcona sprawom szkolnym, ale większość zawierała zawile dane naukowe, głównie z dziedziny fizyki jądrowej i chemii. Były nie tylko po angielsku, ale także w innych językach europejskich, a także po chińsku i po japońsku.

— Nie ma mowy, żebym to wszystko skopiował w dwadzieścia minut — zauważył. — A nawet, gdyby się udało i tak bym nic z tego nie zrozumiał.

— A Internet? — podsunęła Fila. — Zajrzyj do jego katalogu Ulubione.

— Świetna myśl, siostrzyczko! — podchwycił Tim.

— Dziewczyna ery komputera.

– Czasem zachowujesz się jak pajac, Timie — odcięła
liść poirytowana Fila.

Tim kliknął na przeglądarkę Yolanda. Na liście znajdo-
wało się ponad dwieście stron internetowych.

— Wybacz, siostruniu — przeprosiła ją. — Włącz drukarkę.

— Myślisz, że sobie poradzę? — parsknęła Fila, wcis-
ając guzik zasilania.

Urządzenie ani drgnęło. Fila przyklękła. Drukarka nie
była włączona do gniazdka. Wgramoliła się pod biurko
i włożyła wtyczkę do kontaktu. Drukarka zawarczała. Tim
kliknął myszką i urządzenie połknęło pierwszą kartkę.

— Spójrz tutaj! — zawołała Fila z głową wciąż pod biur-
kiem. — Tu jest nie tylko kontakt.

Sebastian i Tim zajrzeli pod biurko. Obok gniazdka znaj-
dowała się wysłużona, podrapana, brązowa dyplomatka ze
skóry z zaśnieżonymi klamerkami z mosiądzu. Obok niej
mieścił się w ścianie niewielki sejf z zamkiem szyfrowym.

— Do jego otwarcia nie wystarczy już jedno magiczne
słowo — zmartwiła się Fila.

— Przydałby się dynamit — zauważył Tim.

— Dynamit? — spytał Sebastian.

— Środek wybuchowy, proch.

— Acha! — zawołał Sebastian. — Słyszałem. Roger Ba-
con, mnich i alchemik żyjący przed czasami mego ojca
dowiedział się o podobnej rzeczy z Orientu. Za rządów
Królowej Dziewicy, istniały fabryczki produkujące go,
a wiedzy jak to robić, dostarczył niemiecki mnich, Bert-
hold Schwarz.

— Daruj sobie wykład — ucięła cierpko Fila. — Co ro-
bimy?

Tim wsunął się pod biurko i przygnębiony, zaczął kręcić
tarczą zamka szyfrowego. Mechanizm pstrykał jak szalony

zegar, gdy zapadki wewnątrz to unosiły się, to opa
W końcu przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

— Kiedy poznałeś Yolanda — powiedział — był od ci-
bie jakieś trzydzieści lat starszy. Zgadza się? Miałeś **wtedy**
z dziesięć lat? No nie?

— Mniej **więcej**.

— Urodziłeś się w 1430 roku. Tak więc w 1440 Yolanda
miał koło trzydziestki. A więc urodził się w okolicach roku
1410.

— **Tak...**

— A jaki ma to związek z ceną jajek? — spytała Fila. j
Tim nic nie odpowiedział, tylko zaczął obracać tarczą
zamka raz w jedną, raz w drugą stronę.

— 1410... 1409...1408...1407... — mówił na głos. Przy
1406 zatrzymał się, spojrzął na Sebastiana i oznajmił:

— Kiedy go poznałeś, Yolanda miał trzydzieści cztery lata.
Sebastian i Fila schylili się. Sejf był otwarty.

— Ale **jak...?** — zaczęła Fila.

— Bułka z masłem. Yolanda, jak każdy naukowiec, to
człowiek niezwykle skrupulatny. Mieliśmy zakodować na-
sze szafki w szkole numerem, który jest dla nas ważnym
rokiem. Sam powiedział, że może to być rok urodzenia.
A co może być od tego ważniejsze? **Więc...**

— **Quod** erat demonstrandum — powiedział Sebastian.
— A w tłumaczeniu — dodał, spoglądając Timowi prosto
w oczy: — „Co było do **udowodnienia**”, co świadczy o tym,
że rozwiązanie okazało się niezwykle proste.

Tim mrugnął i zaczął wyjmować z sejfu niewielkie kase-
tki wielkości książek. Fila układała je na biurku, a Sebas-
tian otwierał.

W pierwszym znalazł złotą biżuterię i pięć złotych su-
werenów. Żadna z tych rzeczy nie była jednak cała. Biżu-

ria została pocięta obcęgami, a ze złotych monet odcięto kilka fragmentów. W drugim pudełku znajdowała się srebrna biżuteria, podobnie zniszczona, zaś w trzecim olbrzymia platynowa brosza z brylantami. W większość kamieni szlachetnych wydłubano, zaś cenny metal pocięto na kawałki podobnej wielkości.

— Spójrz na to — powiedziała Fila, tocząc kamienie palcem po pudełku. — Nie są cudowne?

— Najlepsi przyjaciele dziewcząt — powiedział Tim i schylił się po ostatnie pudełko pozostałe w sejfie.

Choć było tej samej wielkości, co inne, ważyło znacznie więcej. Tim musiał wyczołgać się tyłem spod biurka i podał znalezisko Sebastianowi, który położył je obok pozostałych pudełek i podniósł wieczko. W środku leżało kilkanaście magicznych kluczy, każdy z nich owinięty w kawałek papierowej chusteczki.

— Zrobił je z biżuterii i monet — zauważył Tim.

— W istocie tak było — przyznał mu rację Sebastian, licząc klucze — i zamierza wytworzyć ich jeszcze więcej. Tu jest tylko trzynaście. Ponieważ do każdego zaklęcia potrzebne są cztery, musi je robić w wielokrotnościach czterech.

— Więc musi zrobić w sumie szesnaście — powiedziała Fila.

— Lub dwadzieścia... — dodał Sebastian.

— ...albo dwadzieścia cztery czy dwadzieścia osiem — ciągnął Tim.

Prócz czarodziejskich kluczy pudełko zawierało kilkadziesiąt starych złotych monet, każda w plastikowym woreczku.

— A to co? — zawołał Tim, wysuwając jedną z nich z torebki na dłoń.

Nie miała bowiem jaskrawego blasku jak nowe złoto, za to posiadała intensywny połysk. Po jednej stronie królew-

ska postać stała na statku z mieczem w jednej a **tar** w drugiej dłoni, na rewersie zaś wybito krzyż, cztery rony i cztery koronowane lwy.

— To złote noble — wyjaśnił Sebastian. — Już **W** o nich wspominałem. Waluta z czasów mego ojca. Te chodzą z okresu rządów króla Henryka VI.

— Ile są warte? — spytał Tim, który chciał z **powrot** umieścić monetę w woreczku i włożyć ją do pudełka. **J** nak nie udawało mu się. Wyglądało na to, że moneta **prz** warła do skóry.

— Nie mogę się jej pozbyć — stwierdził **zaniepokojon**

— Ciągnie ją do siebie — rzekł Sebastian — a ciebie **niej**. Taki był zamiar Yolanda: każdy kto będzie miał w **re** **ku** te monety, będzie nimi urzeczony. Czyste złoto **ci** zauroczyło, skradło ci serce, niczym kochanka. Pozwól, cię od niego uwolnię.

Sebastian wyszeptał kilka słów, oderwał monetę od **dł** ni Tima, umieścił ją w plastikowej torebce, a następnie w pudełku.

— Dlaczego tobie się to udało — spytała Fila — skoro Tim nie mógł sobie poradzić?

— Nie mam zamiłowania do złota — odparł Sebastian — i powiadomiłem o tym monetę. Czar, jak sami widzieliście, momentalnie przestał działać.

— Ja też nie mam zamiłowania do **złota...** — powiedział Tim.

— Tak ci się wydaje — przerwał Sebastian — ale czyż nie spytałeś mnie o wartość monet?

— A czemu miałem nie spytać? — przyznał Tim, uśmiechając się zawstydzony. — Byłem ciekaw, co mógłbym za to kupić.

Schylił się, by schować pudełko w sejfie wraz z pozostałymi trzema, uważając, by ułożyć je w odpowiedniej kolejności. Gdy jego głowa znalazła się na poziomie blatu biurka, spojrzął w dolny prawy róg monitora.

— A niech mnie! — prawie zawył. — Już sześć po piątej!

Zamknął sejfi przekręcił zamek szyfrowy. W tym momencie skończyło się drukowanie. Wyciągnął wtyczkę drukarki z kontaktu, po czym wyłączył komputer, a twardy dysk przestał turkotać i zatrzymał się. Tim wyjął z drukarki zadrukowane kartki, zgiął je na pół i schował za koszulę.

— Gotowi? — spytał.

— Kółka krzesła — zauważyła Fila.

Tim spojrzął w dół. Kółka, na których jeździło krzesło, wyżłobiły — pod ciężarem Yolanda — dziury w dywanie. Tim dopasował jedno do drugich.

— Gotowe! — powiedział, upewniając się, czy klawiatura znajduje się w takim samym położeniu, jak na początku ich wizyty. — Zmykamy!

Zwrócili się w stronę drzwi. Fili zaparło dech. Cała podłoga ruszała się od wielkich karaluchów ponad pięciocentymetrowej długości, ich zakręcone czułki wysuwały się i drżały, starając się wyczuć w powietrzu wibracje. Grzbieity im lśniły, jakby były zrobione z polerowanego mahoni. Choć była ich taka masa, nie wydawały żadnego dźwięku.

Z gardła Fili wydobył się pisk. Na ten dźwięk czułki przestały się poruszać, owady obróciły się w stronę źródła dźwięku i zadygotały.

Liczba karaluchów rosła w oczach. Po chwili stały już piętrowo i balansowały jedno na drugich. Wyglądały jak groteskowe miniaturowe wojsko. Dźwięk, jaki wydawały, przypominał cichy szelest, gdy starały się nie spaść jeden z drugiego.

— I co teraz? — szepnęła wylękniona Fila, drżały jej ręce, twarz zbladła.

— Idź powoli w stronę okna — polecił jej Tim.

— Nie! — zakazał Sebastian. — Jeśli wyjdziemy oknem, nie uda się nam go z zewnątrz zamknąć i Yoland się zorientuje, że ktoś tu był. Musimy opuścić jego dom drzwiami.

Zastępy karaluchów ruszyły przed siebie, owady, które początkowo były na wierzchu, spadały i niknęły wśród tych na dole. Wyglądało to tak, jakby ohydna, brązowa, żyjąca fala toczyła się po podłodze połykając wszystko, co napotka na drodze.

Tim wzdrygnął się.

Na ten ruch wszystkie karaluchy zwróciły swe groteskowe głowy w jego kierunku.

— Nie możemy nic zrobić — powiedział z rezygnacją! Tim, cofnął się o dwa kroki i ruszył z rozbiegu ku owadom.

Jak jeden mąż karaluchy wzbity się w powietrze, całą chmarą obleciały go, uderzały w niego, smagały mu twarz. Najmniejsze starały się wedrzeć do uszu i nosa. W pokoju słychać było obłąkańczy furkot ich skrzydeł. Tim rozgniewał je na koszuli oraz marynarce i odgarniał z policzków. Chwytał je garściami i gniótł. Czuł, jak miazga z ich kleistych wnętrzności cieknie mu po skórze.

Fila pisnęła, ale podążyła za nim. Karaluchy oblepiały jej twarz, lądowały we włosach, zbiegały w dół i szukały drogi, by dostać się pod ubranie. Miały odnóża z ostrymi wypustkami. Czuła, jak drapią i łaskoczą ją w plecy, klatkę piersiową i gramolą się w dół ku brzuchowi. Zaciśnęła mocno usta i odganiała je rękoma, by przedrzeć się przez ohydny chmurę.

Korytarz wypełnił się syczącą chmurą karaluchów. Tim przybliżył się do niewyraźnego zarysu drzwi frontowych

I kwadracika szyby, przez który przezierało światło dzienne, które w karaluszej mgle miało kolor sepii.

Sebastian szedł za Filą, młóćąc rękoma w powietrzu. Rozczapierzył dłonie niczym wiosła i zbijał nimi karaluchy na ziemię.

W końcu dotarli do drzwi frontowych. Tim namacał klamkę i zaczął się z nią mocować. W końcu mu się udało i przyciągnął drzwi do środka. Karaluchy, które znalazły się za drzwiami niczym w pułapce, uderzały w szybkę i lądowały na ścianie, a następnie uciekały pod lustro wiszące nad stojakiem na parasole.

Tim wyskoczył do ogrodu i zataczając się, ruszył do furtki. Tuż za nim podążali Sebastian i Fila. Ubrania wszystkich były umazane wnętrznościami rozgniecionych owadów. Fila miała we włosach resztki brązowych skrzydeł i lśniących tułowi. Pozostałe przy życiu karaluchy spadały na ziemię i śpieszyły z powrotem do domu.

— Ktoś musi zamknąć frontowe drzwi — powiedziała Fila, oglądając się przez ramię.

— Zajmę się tym — zaoferował się Tim.

Wrócił ostrożnie krótką ścieżką i z wahaniem sięgnął klamki. Wnętrze domu wyglądało tak, jakby nic się nie stało. W zasięgu wzroku nie było choćby jednego rozkwazzonego karalucha, chociaż obok drzwi do kuchni jeden owad przeciskał się przez szczelinę w ścianie, niosąc szczątki poległego pobratymcy.

Tim zamknął drzwi, podszedł do ostrokrzewu, wziął swoją torbę, uśmiechnął się i powiedział:

— Mały pikus!

— Mama nie będzie zachwycona — stropiła się Fila.
— Jak się jej wytłumaczymy?

— Zajęcia z gotowania. Zupa wykpiła — podrzucił Tim.

- Przecież zajęcia z gotowania zaczynają się dopiero feriach.
- Skąd ma to wiedzieć?
- Nie lubię okłamywać mamy — stwierdziła Fila.
- W takim razie — rzekł Tim — powiedz jej, że wła
maliśmy się do domu naszego nauczyciela, gdzie zaatakowa
wały nas jego ulubieńcy: karaluchy. Czasem lepsze jest
niewinne kłamstewko niż gorzka do przełknięcia prawda.



Rozdział ósmy

Linie mocy

W całej pracowni chemicznej porozstawiane były szklane zlewki i probówki z różnymi cieczami. Obok leżały bloczki z papierkami lakmusowymi i butelki z wkraplaczami zawierające wskaźniki kwasowości. Uczniowie w okularach ochronnych sprawdzali każdą próbkę pod względem alkaliczności lub kwasowości. Zapisywali wyniki w zeszytach i dawali do sprawdzenia Yolandowi.

Fila obserwowała, jak koledzy kolejno podchodzą do stołu laboratoryjnego, by wręczyć wychowawcy zeszyt. Yoland szybko poprawiał błędy czerwonym długopisem, wpisywał ocenę do swego notesu i oddawał uczniowi zeszyt.

Fila zauważyła, że każdy wracający na miejsce przez kilka pierwszych kroków miał mętny wzrok.

— Zagląda wszystkim w głąb duszy — szepnęła do Tima.

Brat kiwnął głową, wziął zeszyt, by dać zadanie do sprawdzenia.

— Uwważaj! — szepnęła za bratem Fila, kiedy wstawał z miejsca. — Masz przy sobie **pstrykawkę...**?

Tim pomacał się po kieszeni i kiwnął głową.

— Co jest, Ledger? — spytał Yoland. — **Jakieś** problemy?

— Nie, wszystko w porządku, proszę pana — odparł Tim, starając się nie spoglądać nauczycielowi w oczy. Rękę trzymał na **pstrykawce** w kieszeni.

— Jak rozumiesz pojęcie pH?

— To skala od zera do czternastu, na podstawie **kt** mierzymy kwasowość roztworu — odparł Tim.

— A jeśli ciecz ma pH siedem, to co to znaczy? — ciągnął Yolanda. — Czy ma odczyn kwasowy, czy może inny?

— Siedem **oznacza...** — zaczął Tim, ale Yolanda mu **p** rwał.

— Uprzejmość wymaga, młody człowieku — **powied** ostro — by patrzeć na swego rozmówcę.

— Tak jest — odparł Tim, spojrzał **Yolandowi pros** w oczy i dokończył: — Siedem to pH obojętne.

— A trzynaście?

Tim czuł, jak wychowawca świdruje go wzrokiem. **Mi** wrażenie, że mężczyzna chce zyskać na czasie, by **wnikn** w głąb jego umysłu. Timowi przemknęło przez myśl, tak właśnie może się czuć królik hipnotyzowany przez **gr** nostaja albo wąż mamiony przez mangustę. Musiał się **p** rzadnie skupić, by dać odpowiedź.

— Mocno zasadowy, proszę pana.

— Jak barwi się papierek lakmusowy w roztworze kw; **sowym?**

Tim starał się za wszelką cenę niweczyć wysiłki Yolanda. Czuł, że nie potrafi odwrócić wzroku od nauczyciela. Usiłował pomyśleć o czymś, co oderwie jego myśli od tej potyczki na spojrzenia i nie pozwoli Yolandowi zagłębić się w jego myśli.

Z podstawówki pamiętał, że najlepszym sposobem na zagłuszenie myśli jest wyobrażanie sobie wymiotów. Nie jakąś drobną rzygowinkę na podłodze, ale talerz pełen materii, na wpół strawionej fasoli, przeżutych karbowanych frytek, pogryzionych pieczarek, żółtka jajka i skórek pomidora. A na brzegu talerza egzotyczny sos i musztarda. Przy

nikim obrazie, jak wydawało się Timowi, żadna inna myśl nie ma szans. Nie raz upiekła mu się bura dzięki tej metodzie. Przy takich myślach jego twarz robiła się biała jak kreda i zdenerwowany nauczyciel zaczynał go żałować.

Mimo to Yoland nie przestawał i krok za krokiem zakradał się do jego wnętrza. Tim to czuł. Miał takie odczucia, jak wtedy, gdy myszkowali w barku taty i kosztowali równych trunków. W żyłach płynął rozgrzewający rum, trochę kręciło mu się w głowie.

— Czerwony — odparł z trudem.

Musiał wyzwolić się z mocy Yolanda. Im dłużej to trwało, tym silniejszy był wpływ nauczyciela. Ale Tim nic na to nie mógł poradzić. Chwycił pstrykawkę w kieszeni między palcem wskazującym a kciukiem. Nacisnął.

Cisza.

Chusteczka zaczepiła się o blaszkę.

— Dobrze — pochwalił go Yoland. — A pH trzy?

Grzebał w kieszeni, żeby uwolnić pstrykawkę.

— Silnie kwasowe, proszę pana — odpowiedział, odzyskując nad sobą nieco kontroli. Miał nadzieję, że próba dobiega końca.

Pomylił się. Yoland nadal przygważdżał go wzrokiem.

— Dobrze się czujesz, chłopcze? — spytał nauczyciel, wciąż wpatrując się w Tima. — Czego szukasz w kieszeni?

— Chustki, proszę pana — odparł Tim. — Zemdliło mnie. Ale już mi lepiej.

Nadal nie udawało mu się oddzielić pstrykawki od chustki. Był zrozpaczony. Yoland spoglądał na niego coraz przenikliwiej.

Gdzieś w pracowni rozległo się donośne pstryknięcie. Yoland momentalnie oderwał wzrok od Tima. Hipnotyczny uchwyt natychmiast zelżał.

— Kto to zrobił? — spytał Yoland.

Twarz Fili pojawiła się nad blatem stołu.

— Spadł mi ołówek, proszę pana — odparła, pokaz
Yolandowi zgubę.

Wychowawca nic nie powiedział, zerknął tylko na
czenie Tima, pchnął zeszyt w jego stronę po biurku i
lecił:

— Wróć na miejsce i zacznij czytać rozdział o właściw
ściach kwasów. — Rozejrzył się po klasie. — Kto następni

— Dzięki, siostruniu — powiedział cicho Tim, gdy wr
cił do ławki. — Mało brakowało.

— Ale...? — spytała szeptem Fila.

— Nie idź teraz do niego. Udawaj, że jeszcze nie skoń-
czyłaś. Próbował na mnie swoich sztuczek — wyznał Ti

— To czemu nie pstrykałeś? — spytała Fila.

— Nie mogłem — wyszeptał Tim. — Pstrykawka za
plątała się w chustkę.

— Nie pozwoliłeś mu... — zaczął Sebastian.

— Jasne! — odpowiedział Tim. — Skoncentrowałem si
na czymś innym.

— Tym co zwykle? — spytała Fila.

Tim uśmiechnął się i kiwając głową, powiedział:

— Rzygowiny. Mam nadzieję, że przypadł mu do gust
mój paw.

— Rzygowiny? — zastanawiał się na głos Sebastian.

— Paw?

— Taki żargon — szepnęła Fila.

— Potem ci wyjaśnię — obiecał Tim. — Podczas dru-
giego śniadania.



- Czym oddychasz? — spytał Tim, gdy Sebastian zaknął drzwi do swej komnaty w podziemiach. — Spójrz na świecę. Ani drgną, więc nie ma tu przeciągu, a mimo to powietrze nie cuchnie stęchlizną. Mało tego, świece żywią mnóstwo tlenu — dodał. — A jak się wypalają, idziesz nowe? Trudno jest cokolwiek buchnąć z supermarketu...

Sebastian nic nie odpowiedział, ale uśmiechnął się tajemniczo.

— Sebastianie — rzekła niepewnie Fila. — Chcę cię o coś spytać. Co takiego jest w Rawne Barton, w tej okolicy, co przyciąga... — Nie wiedziała, jak to ująć. — No, wiesz, Malodora i Yolanda...

Na te słowa Sebastian podszedł do półki i wziął skórzaną teczkę, którą położył na stole, a następnie wyjął z niej mapę narysowaną na pergaminie, który aż trzeszczał podczas rozwijania.

— Ta mapa przedstawia okolicę w promieniu około pięciu mil od domu — wyjaśnił. — Zobaczcie, pewne budynki i charakterystyczne punkty są naniesione, ale próżno tu szukać jakichkolwiek nazw.

— Więc na niewiele się przyda — uznał Tim.

— Wręcz przeciwnie — obruszył się Sebastian. — To niezwykła mapa.

Z szuflady pod blatem stołu wyjął szklaną linijkę. Miała co najmniej metr długości i dziwną podziałkę opisaną arabskimi i greckimi cyframi. Położył ją na mapie.

— Zwróćcie uwagę — ciągnął Sebastian — jak wiele punktów na mapie lokuje się wzdłuż tej linii — trzy kościoły, starożytna osada na szczycie wzgórza sprzed czasów Naszego Pana, skrzyżowania trzech dawnych traktów szpiczaste wzgórze i wielki dom.

— Wszystko w jednej linii — podsumował Tim.

— Nie w jednej linii, a na linii — poprawił go Sebastian.

— To linia łącząca miejsca prehistoryczne, obdarzone właściwościami magicznymi, tędy płyną siły natury. — Zwrócił się do Tima. — Dysponujesz współczesną mapą tej okolicy?

Kilka minut później przykucnęli w sypialni Fila nad rozłożoną mapą Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego. Szklana linijka leżała obok.

— Spójrzcie — wskazał Sebastian — do dziś widoczna jest ta linia. Kościoły to dawne budowle, powstały, jak wiele wiejskich świątyń, w miejscach pogańskiego kultu, osada na wzgórzu jest tu określona jak fort z epoki żelaza, jedna z dróg nazwana została Rzymskim Traktem, zaś dom...

— To Rawne Barton! — zawołała Fila.

— Zgadza się — potwierdził Sebastian.

— To dlatego — uzupełnił Tim — Rzymianie wykopali tu święte źródło...

— ...a twój ojciec — podchwyciła Fila — zbudował dom...

— Właśnie tak — powiedział Sebastian. — Ale to nie wszystko.

Położył szklaną linijkę na współczesnej mapie, wziął ołówek z biurka Fila i zaczął kreślić jeszcze inne linie. Kiedy skończył, jednaście linii schodziło się i kończyło na Rawne Barton, wiele innych przecinało dom.

— Jesteśmy w samym środku tarczy! — zawołał Tim.

— Jak daleko one biegają? — spytała Fila.

— Jedne mają po kilka kilometrów — wyjaśnił Sebastian — inne mogą mieć ponad sto.

— Siły natury biegają tymi liniami, tak jak prąd przewodami elektrycznymi? — spytał Tim.

— Poniekąd — odparł Sebastian.

Jak się domyślam, siły są największe, tam gdzie linie
■ przecinają — zgadywała Fila.

- Tak — odparł Sebastian.

— Jeszcze nie w łózkach? — rozległ się zza drzwi głos
■ tana Ledgera. — Już po jedenastej. Niebawem godzina
duchów.

— Co on o tym może wiedzieć — szepnęła Fila.

— Tylko skończymy pracę domową z geografii, tato! —
l i yknął Tim.

— Daję wam pięć minut — odparł tata. — A potem
marsz do łóżka. Jutro trzeba wstać do szkoły.

Rozdział dziewiąty

Klub Atomu

Fila i Tim musieli wyjechać na weekend do ciotecznej babki Joanny, która — jak uważał Tim — z pewnością nie była kandydatką do brytyjskiego tronu, za to mogła być oskarżona o czary. Miała kota perskiego o przebiegłym spojrzeniu żółtych oczu, zaś jej przepis na irlandzką potrawkę — Tim nie miał co do tego wątpliwości — zawierał paluszki skowronków, uszy ślimaków i lisie nosy.

Na potwierdzenie podejrzeń brata Fila znalazła wśród książek kucharskich ciotecznej babki foliał zatytułowany: *Dworskie posiłki na uroczyste dni*, w którym znajdowały się przepisy na takie potrawy jak: *jellie of pyke*, *conygus w graueye z siruppe oj honeye*, *sparwes w aspic* oraz *trype de motoun*. By zabić czas podczas wizyty, Tim nie bez trudu przetłumaczył potrawy na: szczupaka w galarecie, królika w sosie lub miodowym syropie, wróble w bulionie wołowym oraz owcze flaczki. Za nic jednak nie potrafił zgadnąć, czym może być *whyte wortys*.

— Założę się, że Sebastianowi ta potrawa przypadłaby do gustu — uznał.

Dopiero w niedzielę wieczorem wrócili do Rawne Barton. Pan Ledger po wejściu do kuchni od razu podszedł do panelu, by wyłączyć system alarmowy. Zauważył, że miga jedna z kontrolki.

— Coś uruchomiło alarm podczas naszej nieobecności oznajmił. — Pewnie mysz lub pająk. Zadzwoń do firmy ochroniarskiej, choć gdyby to było coś poważnego, zapewne zadzwoniliby do mnie na komórkę. — Przyjrzał się tablicy elektronicznej i zawyrokował: — To było w salonie.

— Sprawdź — zaoferował się Tim i natychmiast pożalował swych słów. Rodzice zawsze zamykali drzwi do wszystkich pomieszczeń na czas nieobecności. Intruz, czy cokolwiek to było, wciąż może tam tkwić skulony w kącie, niewidoczny dla czujników, nieruchomy, przyczajony...

Ze strachem nacisnął klamkę do salonu i ostrożnie uchylił drzwi. Nie zauważył przez szparę nic niepokojącego. Otworzył więc drzwi szerzej.

Nie zauważył żadnych śladów. Nawet magazyn samochodowy, który przed wyjazdem rzucił na podłogę obok fotela był otwarty na stronie, którą czytał. Obejrzał dokładnie okna. Żadne z nich nie było uszkodzone ani otwarte, na parapecie jednego z nich dostrzegł niewielką plamę zaschniętego błota, w której tkwił bukowy liść.

— Mysz albo pająk — potwierdził, gdy wrócił do kuchni, gdzie jego mama zabrała się do przygotowywania kolacji.

— Macie jeszcze coś zadane? — spytała pani Ledger.

— Odrobiliśmy w piątek — odparło chórem rodzeństwo.

— W takim razie — powiedziała, gdy pan Ledger oddalił się do salonu, gdzie włączył telewizor — kolacja za kwadrans.

Fila i Tim poszli na górę. Sebastian siedział na łóżku Fili. Wyglądał na wycieńczonego. Był przygarbiony i pobladły.

— Nic ci nie jest? — zaniepokoiła się Fila.

Sebastian nie odpowiedział. W drzwiach pojawił się Tim.

— Sios... — zaczął, ale gdy zobaczył Sebastiana, spy

— Co się stało?

— Przez prawie całą waszą nieobecność broniłem dor

— odparł Sebastian słabym głosem.

— Przed czym? — dopytywała Fila.

— Przed wodwo — odparł Sebastian.

— Wodwo! — zawołał Tim. — To znaczy, że Scrotton tu był?

— Tak. Zeszłej nocy przez kilka godzin usiłował wdrzeć się do domu. Nie udało mu się, ale kiedy próbowa otworzyć okno, uruchomił alarm.

— Myślisz, że Yolanda go przysłała? — spytała Fila.

— To prawdopodobne — potwierdził Sebastian. — Dla Yolanda nie jest to normalny dom. Jakkolwiek mniema że Scrotton miał sprawdzić, czy nie dzieje się tu coś nie zwykłego. Jego oczom ukazał się jednak niczym nie wyróżniający się dom mieszkalny.

— Gdyby dostał się do środka — przeraził się Tim — znalazłby wydruk ulubionych stron swego pana.

— Jak udało ci się go powstrzymać? — spytała Fila.

Sebastian uśmiechnął się znacząco i rzekł:

— Księga braciszka d'Aurillaca zawiera więcej, niż potrafi dostrzec Scrotton. Kiedy w końcu pojawili się mężczyźni w mundurach z mocnymi latarkami i dwoma wielkimi psami, Scrotton czmychnął.

Na korytarzu rozległy się kroki, które zbliżały się do drzwi pokoju Fili.

— Mama idzie — ostrzegł Tim. — Lepiej się schowaj, żeby uniknąć śledztwa, jak się tu znalazłeś tuż po naszym powrocie.

Ledwie wypowiedział te słowa, pani Ledger zapukała i spytała:

¹ — Mogę wejść, Filu?

Fila już **zamierzała** ją jakoś powstrzymać, ale Sebastian rozpułynał się jak kamfora.

Gdy mama pojawiła się w drzwiach, Tim przecisnął się obok niej i wrócił do swego pokoju, gdzie siadł do komputera. Gdy czekał na uruchomienie systemu, spojrzął przez okno i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Po zewnętrznej stronie szyba była pomazana smugami zaschniętego błota. Nie było wątpliwości, że zostawiły je dłonie należące do kogoś, kto chciał się dostać do środka.



Sebastian pierwszy zauważył ogłoszenie. Napisane nie-nagannym pismem Yolanda, wisiało na tablicy ogłoszeniowej w skrzydle chemicznym. Jego treść brzmiała:

Klub Atomu



***Od najbliższego poniedziałku Klub Atomu będzie się spotykał
co tydzień w czasie przerwy śniadaniowej w laboratorium
chemicznym numer 1.***

Członkami mogą zostać uczniowie klas pierwszych i drugich.

Interesujesz się chemią?

Przyłącz się!

Tego nie zobaczysz na zwykłej lekcji.

— I co wy na to? — spytał Tim.

Sebastian uważnie przyjrzał się ogłoszeniu, nim odpowiedział:

— Trudno powiedzieć, ale źle mi to pachnie.

— Tak czy siak — uznała Fila — musimy się zapisać.

Tak więc w poniedziałek dwanaścioro członków Klubu Atomu, w tym Fila, Tim i Sebastian — a także Scotton — usiedli półkolem przy stole laboratoryjnym. Po drugiej stronie stał Yoland przy skomplikowanym modelu cząsteczki złożonym z dużych kolorowych koralików i prętów.

— Młodzi chemicy — zaczął — zapewne wiecie, że pierwiastki radioaktywne mają okres połowicznego rozkładu. To czas potrzebny na to, by promieniotwórczość zmniejszyła się o połowę. Powiedzmy, że mamy kilogram cukru, ale co godzinę ubywa pięćdziesiąt procent. Po godzinie mamy 500 gramów, po kolejnej 250, następnie 125 i tak dalej.

— A co się dzieje, kiedy nie zostaje już nic? — spytała Fila.

— Dobre pytanie — odparł Yoland. — Podczas rozpadu pierwiastek się zmienia, czasem w inny pierwiastek. Na przykład podczas rozpadu uranu 238 przekształca się w tor 234 . Z czasem jednak nie pozostaje nic.

— A ile to trwa? — spytał inny uczeń.

— To zależy — odrzekł Yoland. — Okres połowicznego rozpadu izotopu węgla 14 wynosi 5730 lat, zaś półokres uranu 238 to cztery i pół miliarda lat.

— Co to takiego ten izotop? — spytał ktoś.

— Izotop to inna postać pierwiastka — wyjaśnił Yoland.

— Czy istnieją izotopy, które mają krótki półokres? — spytał Tim.

— Jak najbardziej — odparł Yoland. — Pewne pierwiastki mają bardzo krótki półokres. Rubid 94 ma niecałe trzy

sekundy. Jako że niebawem koniec przerwy — powiedział
I spoglądając na zegar — przed końcem dzisiejszego spo-
tkania chciałbym wam pokazać coś jeszcze.

Po tych słowach Yoland sięgnął po stojący na stole la-
boratoryjnym aparat, który przypomniał Timowi ładowarkę
do akumulatora samochodowego. Z przodu urządzenia
znajdowało się kilka przełączników, tarcza i przewód, pro-
wadzący do czujnika, który wyglądem przypominał alumi-
niowy pojemnik na cygaro.

— Oto — wyjaśnił Yoland — licznik Geigera. Służy do
mierzenia promieniowania radioaktywnego. — Włączył
przrząd. Zapaliła się mała czerwona lampka. — Jak wi-
dzicie — powiedział, machając czujnikiem w powietrzu
— w tej klasie nie ma w zasadzie żadnego promieniowania
radioaktywnego. Istnieje co prawda tak zwane promienio-
wanie naturalne emitowane przez ziemię i substancje
w niej zawarte. Na przykład granit wyraźnie promieniuje,
jednak poza tym jesteśmy wolni od promieniowania. Nie
mniej jednak... — Spojrzał na Scottona. — Mogę cię pro-
sić o pomoc, Scottonie?

Scotton bez słowa znikł na zapleczu, by po chwili po-
jawić się z dużym pojemnikiem z lśniącej stali. Na holu
widniał znak ostrzegający o materiale radioaktywnym;
czarne śmigło. Z ruchów ucznia można było wywnioskować,
że kanister jest ciężki, on jednak bez trudu postawił
go na stole.

— Ten pojemnik — wyjaśnił Yoland — jest pokryty od
wewnątrz ołowiem. Ponieważ promieniowanie radioaktywne
zwykle nie może się przedrzeć przez ten metal, służy
on za ekran ochronny. — Przesunął pojemnik na środek
stołu. — Wewnątrz znajduje się pierwiastek promienio-
twórczy — ciągnął. — Promieniowanie radioaktywne jest

groźne, więc musimy być niezwykle ostrożni. Podobnie ogień, pierwiastki radioaktywne są dobrym sługą, ale złym panem.

— Tak jak Scrotton — powiedział pod nosem Tim.

— Wewnątrz znajduje się polon 212. Powszechnie używa się go w szpitalach do leczenia nowotworów. Promieniowanie radioaktywne niszczy żywe komórki.

— Możemy go zobaczyć? — spytał chłopiec, siedzący przy skraju stołu.

— Wykluczone! — odparł szorstko Yoland. — Byłoby to wielce niebezpieczne.

— Dużo go tam jest? — spytała dziewczynka siedząca obok.

— Kawałek pierwiastka ma mniej więcej wielkość sześciu ziaren soli — odpowiedział Yoland, — i jest zatopiony w bloku przezroczystego plastiku.

— A po co? — spytał ktoś.

— Dzięki temu — wyjaśnił Yoland — nie można go zgubić. Pomyślcie sobie, jak łatwo zgubić ziarnko soli.

— A co by było, gdyby... — ciągnął chłopiec, ale Yoland mu przerwał.

— Szkoła, a przynajmniej to skrzydło, musiałyby być zamknięte i trzeba by wezwać NUOR, Narodowy Urząd Ochrony Radiologicznej, by przeczesał cały budynek. Tak więc — powiedział, uśmiechając się dobrotliwie — niech wam przypadkowo nie przyjdzie nic do głowy. Jest schowany w sejfie w pracowni chemicznej. I tam pozostanie.

A ja znam szyfr, pomyślał Tim, unikając wzroku Yolanda.

— A teraz — powiedział Yoland — odsuńcie się wszyscy od stołu. Otwórz pojemnik, Scrottonie.

Scrotton chwycił pojemnik i powoli odkręcił zakrętkę. Yoland przysunął czujnik w pobliże otworu. Scrotton szyb-

kim ruchem uniósł zakrętkę. Licznik Geigera zaczął trzeszczeć jak szalony, wskazówka na tarczy skakała to w jedną, to w drugą stronę. Yoland przysunął czujnik bliżej pojemnika, sygnał dźwiękowy o wysokim tonie stał się niemal nieprzerwany.

— Zakręć pojemnik, Scottonie.

Scotton wykonał polecenie. Licznik Geigera momentalnie zamilkł.

— Tak więc — powiedział Yoland — zapoznałem was z cudami energii nuklearnej. Gdyż promieniowanie radioaktywne to energia. To ona zasila słońce, porusza wszechświatem, jest samym sercem stworzenia.

Dzwonek obwieścił koniec przerwy śniadaniowej, a tym samym koniec pierwszego spotkania Klubu Atomu.

Sebastian milczał, gdy szli na kolejną lekcję.

— Coś cię gryzie? — spytał Tim, gdy ustawiali się przed klasą.

Sebastian nie odezwał się.



Słabe jesienne słońce odpływało wieczorem znad pól Rawne Barton. Zachód słońca był wspaniałym widowiskiem, podczas którego na tle pomarańczy i purpury widać było sylwetki drzew nad rzeką, jakby namalowanych tuszem. Zmrok zapadał prędko, cienie stawały się coraz bardziej rozmyte.

Tim siedział przed komputerem. Pilotował przez galaktykę pojazd kosmiczny w kształcie litery Y, starając się omijać pojazdy nieprzyjaciela, asteroidy i miny podłożone w przestrzeni galaktycznej, które wyglądały jak powiększone ziarnka pyłku. Jego pojazd już ucierpiał nieco w wal-

kach i musiał się dostać do statku macierzystego przy S
cji 4, by uzupełnić paliwo. W misji wcale nie pomagał f;
że dżojstikowi brakowało jednej z przyssawek, który
zwykle był przytwierdzony do blatu.

Statek macierzysty właśnie pojawił się, jako **niewielk**
kropeczka w cyberprzestrzeni, kiedy drzwi do pokoju **Tim**
gwałtownie otworzyły się i Fila wpadła do środka.

— Czy ty się kiedyś nauczysz pukać, siostrzyczko?
— rzucił Tim zgryźliwie, spoglądając przez ramię.

— Mniejsza z tym! — Fila podeszła do okna. — **Wyłącz**
monitor. Natychmiast!

— Czemu?

— Żeby nie było widać w oknie naszych **sylwetek**,
— zirytowała się i powtórzyła: — **Wyłącz go!**

Tim nacisnął wyłącznik. Monitor zgasł, a w pokoju **zro**
biło się ciemno.

— A teraz spójrz!

Tim podszedł do siostry stojącej przy oknie.

— Na co? — powiedział. Jego wzrok nie przestawił się
jeszcze z intergalaktycznej nocy na ziemskie światło.

— Tam, na brzegu rzeki. Widzisz?

Tim zmrużył oczy. W rzece odbijała się resztką zach
dzącego słońca.

— Drzewa, trawa, lecąca **wrona**... — Coś poruszyło si
na brzegu rzeki. — Owca.

— To nie owca — zaprzeczyła Fila. — Owce chodzą.

— No cóż, tej się znudziło chodzenie.

Ledwie wypowiedział te słowa, kształt schował się za
dąb.

— Co to do diabła było? — zawołał Tim.

— To już piąty. Dwa schowały się za tamtym dębe
i jeszcze dwa za kasztanowcem po **lewej**.

— Wołajmy Sebastiana! — polecił siostrze Tim.

Wpadli do pokoju Fila. Tim wyglądał przez okno, a dziewczynka zastukała w panel. Bezskutecznie. Zapukała mocniej. Nadal nie było słychać, by Sebastian wspinał się w górę. Zastukała jeszcze natarczywiej. Nic.

— Nie ma go tam — wyjąknęła przerażona.

— Doskonałą porę wybrał sobie na przechadzkę! — obruszył się Tim. — Co robimy?

Wyjrzał za okno. Sześć ciemnych, bezkształtnych postaci ruszyło w mroku ławą w kierunku domu. Kuliły się, niemal czołgały wśród traw.

- Powiemy **tacie**...? — zaczęła Fila.

- Niby co? Tato, grupa upiorów chce zaatakować nasz dom. Nawet nam nie da dokończyć. A echo jego śmiechu będzie grzmiało jeszcze przez wiele tygodni.

— Możemy nie przeżyć, by opowiedzieć komukolwiek tę historię — rzekła Fila.

— Zresztą — dodał Tim, nie zwracając uwagi na melodramatyczny ton siostry — co takiego robi, czego my nie możemy? Zaprosi ich na filiżankę kawy czy kufel piwa?

Szpaler postaci na zewnątrz dzieliło od rowu już tylko pięćdziesiąt metrów. Tim zmrużył oczy i skupił się na osobie, która była najwyraźniej przywódcą, znajdowała się bowiem nieco z przodu.

— To Scrotton! — zawołał, a po chwili dodał — Nie, to sześciu Scrottonów! On się skopiował!

Fila poczuła, że uginają się pod nią nogi, spociły jej się dłonie i ścierpła skóra.

— Skoro nie ma tu Sebastiana... — zaczęła, ale brat jej przerwał.

— Spójrz!

Po jego słowach pojedyncza postać wynurzyła się z rowu i zaczęła się przemieszczać w stronę szpaleru. Poruszała się powoli, każdy ruch był przemyślany.

— To przecież Seb... — wyszeptał Tim.

Na ten widok, wśród Scrottonów zapanowało poruszenie. Zaczęli przeskakiwać z nogi na nogę, wymachując rękoma jak szaleni w górę i w dół. Dopiero teraz Tim zauważył, że każdy z nich trzyma gruby kij.

— Nie ma żadnych szans — wyszeptała Fila. — Sześciu na jednego, a do tego oni są uzbrojeni.

— Nie mamy wyjścia — postanowił Tim. — Wkładaj buty.

— Idziemy się przejść — rzucił, gdy mijali kuchnię.

— Wracajcie niebawem — powiedziała mama, unosząc głowę znad prasowania — i bądźcie ostrożni. Robi się ciemno. Nie idźcie nad rzekę. Moglibyście wpaść do wody.

Zatrzymali się na chwilę w garażu, żeby oczy przywykły do mroku. Tim uzbroił się w sierp do przycinania żywopłotu. Wygięte ostrze lśniło, bo tata niedawno je ostrzył. Fila znalazła zardzewiałe widły.

Pospieszyli na palcach do furtki prowadzącej na pole, przykucnęli, otworzyli bramkę i znaleźli się na polu. Po lewej stronie Scrottony zatrzymały się półkolem wokół Sebastiana. Każdy wymachiwał kijem, wydając dzikie odgłosy niczym żaby w stawie podczas godów.

— I co teraz? — myślał na głos Tim. — Atakujemy?

W tym momencie Sebastian zaczął stopniowo posuwać się do przodu. Scrottony warczały pod nosem i irytowały się coraz bardziej.

— Do dzieła — szepnął Tim. — Wykorzystamy element zaskoczenia.

Wstał, ułożył sierp w dłoni i ruszył pędem w agresorów **Scrottonów**. Fila biegła kilka kroków za nim.

Szereg Scrottonów obrócił się z wojskową precyzją w ich **Krone**, zamarł na chwilę, jakby zbierając siły, a następnie ruszył na nich. Przez moment Tim wahał się, ale oboje **Filą** dobrze wiedzieli, że nie było już odwrotu. Musieli **stoczyć** walkę.

W mgnieniu oka dopadł ich pierwszy Scrotton. Tim **zamachnął** się, ale chybił. Napastnik zaatakował Filę. Ona wbiła przed sobą rękojeść wideł w ziemię i skierowała narzędzie w stronę przeciwnika. Scrotton wbiegł z rozpędu na widły, zęby zatopiły mu się głęboko w piersi. Krew **trysnęła** na ubranie Fili. Dziewczynka krzyknęła. Wodwo syknął jak rozjuszona jaszczurka, wijąc się na widłach, wyszarpnął je z ziemi i starał się je wyrwać z piersi.

Tymczasem drugi Scrotton rzucił się na Tima. Chłopiec zamachnął się sierpem i poczuł, jak ostrze zatapia się w ramieniu aż po samą kość. Scrotton jęknął i wyrwał Timowi z rąk narzędzie. Wymachiwał nim w powietrzu z taką łatwością, jak dyrygent batutą, wreszcie uniósł je nad głową.

Tim obserwował niczym w filmie w zwolnionym tempie, jak sierp idzie w górę, a ostre niczym brzytwa ostrze zwraca się w jego stronę. Chciał zrobić unik, ale jego nogi **były** niczym zatopione w cemencie. Uniósł ręce, by się bronić lub odeprzeć cios, przypominając sobie tatę odgarniającego jednym ruchem młode drzewka na swej drodze. **Otworzył** usta do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden **dźwięk**!

Scrotton, stojący przed Filą, w końcu wyrwał sobie z piersi widły. Chwycił je niczym oszczep i zamachnął się na Filę.

Sierp spadł na trawę obok Tima. Scrotton stał nie dalej niż metr od chłopca. Charczał niezrozumiale i opadł na

kolana. Stopniowo jakby uchodziło z niego powietrze. Scrotton obok Fili również zachowywał się jak przebiegły balon. Trzy pozostałe Scrottony też się kurczyły. **Pr** jednego. Tamten stał hardo przed Sebastianem. **Spoglą** na niego oczami **przypominającymi** węgielki, które raz **rzyły** się jasno, to znów gasły.

Fila z **Timem** chwycili broń i podbiegli do Sebastiana

— Uważajcie — powiedział Sebastian, stojąc w rozkroku podpartszy się pod boki — wodwo to wcielone zło.

Przed nimi stał Scrotton umazany błotem, **najego** twarze perlili się pot, we włosach sterczały gałązki i suche liście

— Pożałujecie, żeście ze mną zadarli — groził im, utkwony oczy w **Timie**, warga wyginała mu się jak u **wścielego** psa.

Sebastian nie odezwał się. Uniósł tylko lewą rękę, a po niej pojawił się stożek tak ciemny, jak najczarniejsza noc

Na ten widok Scrotton wydał z siebie odrażający, **prze**nikliwy pisk, niczym nietoperz, który zaplątał się nogą **lu**ogonem w pułapkę. Sebastian podszedł do niego, **cał** Scrotton skrył się w owym stożku. Miotał się, by się wyrwać, ale nie było już dla niego ucieczki.

— **Filu**, weź mnie za prawą dłoń i nie puszczając mnie dotknij głowy Scrottona — polecił Sebastian. — Ale sam nie wchodzić w całości w ciemność.

Fila wykonała polecenie, ale kiedy dotknęła **palcami** włosów Scrottona, ogarnęło ją obrzydzenie i cofnęła rękę.

— Nie bój się — uspokoił ją Sebastian. — Nie zrobi **ci** nic złego.

Fila zebrała się w sobie, zamknęła oczy i wepchnęła dłoń w brudne włosy Scrottona. Między palcami poczuła tłuszcz i pot, **obślizgłe**, jak podgrzana oliwa z oliwek.

— Nie ruszaj się — polecił jej towarzyszy.

Raptem jakaś siła popłynęła od Sebastiana przez rękę Fila. Miała wrażenie, jakby prąd elektryczny napiął jej **mięśnie** i ściągnął. Pod jej dotknięciem Scrottonem zaczęły wstrząsać konwulsje.

— Pospołu nasze moce powinny dać mu radę — szepnął Sebastian.

Po kilku sekundach puścił dłoń Fila. Od razu moc przestała płynąć i Scrotton opadł niczym ciało, z którego usunięto szkielet.

— Co z nim zrobimy? — spytał Tim. — **Nie** możemy go tu zostawić.

— Jak każde stworzenie — odparł Sebastian, gdy Fila ocierała dłoń o mokrą od rosy trawę — odnajdzie drogę do nory.

Cała trójka wróciła do domu, Tim niósł kosę i widły. Pani Ledger akurat siedziała z mężem w salonie.

Przemknęli przez drzwi niezauważeni i weszli na górę. Fila przebrała się, gdy tylko znalazła się w swoim pokoju i namoczyła w zimnej wodzie ubranie pobrudzone krwią. Plamy, jak zauważyła, były bardzo słabe, jakby krew była rozrzedzona. Kiedy skończyła, ukryła miskę pod łóżkiem. Pojawili się Sebastian i Tim.

— Spapraliśmy to! — poskarżył się Tim Sebastianowi. — Teraz Yoland będzie wiedział, że **zwałchałeś** się z nami, po tym jak daliśmy wciroy jego asystentowi.

— Wręcz przeciwnie — odezwał się Sebastian. — Scrotton niczego nie będzie pamiętał z dzisiejszego wieczora.

— Akurat! — obruszył się Tim. — Właśnie stoczyliśmy walkę z ciemnymi mocami!

— Właśnie że tak — odpowiedział z uśmiechem Sebastian. — Wyczyściłem jego pamięć krótkotrwałą. Jego mózg to mało skomplikowany organ. To nie było trudne.

— A pięciu pozostałych Scrottonów... — zaczęła niwnie Fila. — Czy to były homunkulusy...?

Na te słowa uśmiech Sebastiana zrzędł.

— Tylko w pewnym sensie. Tak naprawdę to automaty, repliki nie posiadające własnej świadomości. Powstały tylko na tę potyczkę.

— Kto je stworzył? — spytała bojaźliwie Fila.

— Jest mi znana tylko jedna osoba, która posiada tę umiejętność... — odpowiedział Sebastian.

— Malodor — wtrącił Tim.



Rozdział dziesiąty

Chmury się zbierają

O d godziny Tim **siedział** w swym pokoju przy biurku i surfował po Internecie. Zaglądał do genealogicznych baz danych i spisów ludności, przeszukiwał rejestry parafialne, katedralne i uniwersyteckie, zaglądał też na strony bibliotek i muzeów. W końcu o dziesiątej opuścił pokój, niosąc przejrzyście zadrukowaną kartkę formatu A4, zapukał do drzwi Fili, odczekał chwilę i wszedł do środka. Dziewczynka siedziała przed toaletką w **szlafroku**, wypróbując różne fryzury za pomocą miękkich lokówek.

— Co za postęp — pochwaliła brata. — Zapukałeś.

Tim pokazał jej kartkę.

— Zawołaj go! — polecił.

Gdy Sebastian wyłonił się zza panelu, Tim obwieścił:

— Poszperałem trochę w przeszłości Yolanda. — Usiadł na krześle, z którego Fila właśnie zgarnęła ciuchy. — Wygląda na to — zaczął, spoglądając na kartkę — że Yolanda, lub ktoś o tym samym nazwisku, żyje w tej okolicy od wielu pokoleń. Jednak — ciągnął — zauważyłem coś dziwnego. Bywają długie okresy, gdy zapiski o nim milczą, a potem znów objawia się nie wiadomo skąd. Na przykład, nie ma żadnego **śladu** po Yolandzie w latach 1450–1661, po czym znów się pojawia jako pracownik aptekarza w 1665 roku. Następnie znika aż do lat 1682-1700.

- Zdożyłeś tę całą wiedzę za pomocą kompute
- spytał Sebastian.
- Użyłem Googli — wyjaśnił Tim.
- Googli? — powtórzył Sebastian.
- To wyszukiwarka internetowa. Za jej pomocą zn duje się informacje w sieci. Musiałem trochę posurfow
- Posurfować? — zdziwił się Sebastian.
- Posurfować po necie, po cyberfalach. Kiedyś to zr zumiesz.
- Zdumiewające! — bąknął oniemiały Sebastian.
- Tim wrócił do wydruku.
- W 1703 wymieniono w dokumentach niejakiego Y landa, który przez sześć lat parał się zegarmistrzostwem Potem słuch o nim zaginął aż do 1899 roku, gdy pojawił si jako właściciel sklepu jubilerskiego w Brampton. Zaciąg nał się na pierwszą wojnę światową w 1914, podczas któr zginął w okopach. Między 1939 a 1942 figuruje w doku mentach jako kierownik apteki w Brampton. Zginął, gd niemiecki bombowiec rozbił się o ten budynek. Jego obec ny życiorys łatwo prześledzić. Nasz gagatek urodził się 3 kwietnia 1949 roku w Brampton. Łatwo się domyślić, jał adres wpisano mu do metryki: Peelings Lane 14. Jego imi i nazwisko to: Brian Alan Yoland. Jako matka wpisana jes Margaret Yoland, zaś rubryka „ojciec” jest pusta.
- Może jego mama nie była zamężna — podsunęła Fila.
- Miała męża — zakomunikował Sebastian i dodał — w pewnym sensie.
- Co to znaczy? — spytała Fila.
- Jej mąż nie był człowiekiem z krwi i kości — odparł Sebastian.
- Nie był z krwi i kości...? — zdumiała się Fila, ale uświadomiła sobie, że wcale nie chce znać odpowiedzi.

— Narieczona Frankensteina — powiedział Tim grubym głosem — w roli głównej Boris Karloff.

Tim chwycił palcami dolne powieki i pociągnął je w dół obnażając białka oczu.

— Zamknij się, Tim! — zareagowała ostro Fila. — Co masz na myśli?

— Wszyscy Yolandowie na przestrzeni wieków rodzili się z łona kobiet — wyjaśnił Sebastian — zaś z ich ojcami było wręcz przeciwnie.

— To znaczy? — dociekała Fila.

— Matka Yolanda, a właściwie wszystkie matki Yolandów, nie wiedziały, kim byli ojcowie ich dzieci — odparł Sebastian.

— Po prostu pewnego dnia odkrywały, że są w ciąży.

— No, to jak u licha ...? No, wiesz — powiedział Tim, zażenowany kierunkiem, jaki obrała ich rozmowa.

— Powiedzmy, że za sprawą czarów — odparł wymijająco Sebastian. — Czarna magia. Czego jeszcze dowiedziałeś się, Timie?

Tim opanował emocje i czytał dalej:

— Po podstawówce poszedł do gimnazjum, które zamknęto, gdy utworzono Bourne End. Następnie chodził do Kolegium Metron w Oksfordzie, gdzie studiował chemię. A teraz będzie najlepsze! Jako student napisał pracę na temat: Chemia piętnastowiecznej alchemii. Po ukończeniu studiów znów znikł, by pojawić się po dwa i pół roku w 1974 jako nauczyciel w swej dawnej szkole. Kiedy ją zamknięto, przeniósł się do naszej szkoły. W 1982 roku awansowano go na kierownika pracowni chemii, kiedy jego poprzednik zginął pod lawiną podczas wycieczki narciarskiej do Austrii. Nigdy się nie dowiedział, co się stało ze wszystkim.

Fila wzięła od Tima wydruk i zauważyła:

— Od początku do dziś każdy kolejny Yoland był jubilerem lub chemikiem.

— A więc zawsze był związany z chemią lub z metalami szlachetnymi — dodał Tim. — Czyli z alchemią.

— To nie są kolejni Yolandowie. To ten sam Yoland od zarania. Każdy kolejny niemowlak przejmował duszę jednego i tego samego człowieka.

— Chcesz przez to powiedzieć — podsunęła Fila — że to dusza z odzysku, że nie ma kolejnych pokoleń Yolandów, tylko jeden?

— Dokładnie tak — potwierdził Sebastian — a lata, w których się pojawiał, nie są przypadkowe. W 1665 roku wielka epidemia dżumy nawiedziła kraj. Koniec XVII wieku przyniósł wojnę ze Szkocją i wrzenie społeczne w Anglii. W 1703 wydarzył się największy sztorm w dziejach, podczas którego zatonąła połowa statków handlowych naszego kraju, wiele osób utonęło lub zostało zamordowanych przez rozbójników.

— Rozbójników? — zdziwił się Tim.

— Tych którzy przeczesywali plaże w poszukiwaniu szczątków statków — wyjaśnił Sebastian — najpierw ratowali rozbitków, a potem ich mordowali, by przejąć ładunek. To były ciężkie czasy. W 1914 — ciągnął — rozpoczęła się pierwsza wojna światowa. Zaś w 1939 druga.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że Yoland maczał palce w tych wszystkich okropieństwach? — spytała z niedowierzaniem Fila.

— Nie — odparł Sebastian. — Musiałbym się budzić wówczas za każdym razem, a tak przecież nie było. Jakkolwiek to niezwykły zbieg okoliczności, że akurat wtedy się zjawiał.

— Czy nie budzisz się tylko wówczas, gdy pojawia się de Loudac? — spytał Tim. — Mówiłeś...

— To w zasadzie prawda. Jednak każde wielkie **złó** może innie wybudzić.

— Więc Yoland wcale nie musi być **przyczyną**... — zaczęła Fila.

— ...że obudziłeś się tym razem. — skończył Tim.

— Tak — odparł z zadumą Sebastian. — A **nie**...?

— Co robił Yoland za każdym razem, kiedy pojawiał się na świecie? — zainteresował się Tim.

— Jak mi nie mam — odparł Sebastian — prowadził badania, obserwował najgorsze ludzkie cechy i zachowania.

— I myślisz, że przybył teraz, by zrobić użytek z tej wiedzy?

Sebastian spojrział na Filę, Tima i znów na Filę.

— Moim zdaniem — powiedział powoli — Yoland od dawna przygotowywał się do tego, co zamierza teraz uczynić.

— ...to znaczy? — spytał Tim.

Sebastian nie odpowiedział.



Nazajutrz, kiedy opuszczali laboratorium chemiczne po porannym sprawdzeniu listy, Fila poczuła na karku dotyk czyjejś dłoni. Tępe, grube paznokcie przesunęły się po jej skórze. W ułamku sekundy łańcuszek, na którym umocowany był wisiołek, zacisnął się na jej gardle i wbił w ciało.

— Zabieram tę błyskotkę — szepnął ktoś za jej plecami.

Mocnym szarpnięciem Scrotton zerwał łańcuszek. Fila poczuła, jak wisiołek odbija się od obojczyka. Nie zwalnając kroku, Scrotton szedł do drzwi na korytarz. Zwinął łańcuszek w dłoń i wsadził do kieszeni.

Tim i Sebastian szli przed nią w gromadzie uczniów zmierzających do wyjścia, nie mogli więc nic zrobić. Fila,

która podążała tuż za Scrottonem, rzuciła się na nie Uderzyła go otwartą dłonią w ucho. Zachwiał się. Pr zamachu zarzuciło ją, zahaczyła torbą o stojak z probó kami przygotowanymi na kolejne zajęcia i zrzuciła go ziemię. Szkło się potłukło, zaś drewniany stojak rozpa na drobne kawałki.

Tim, Sebastian oraz pozostali uczniowie stanęli jak wryci i odwrócili się w jej stronę. Nikt nie odezwał się ani słowem. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

— I co? — powiedział groźnie Yoland, podchodząc do Fila

— **Bardzo** przepraszam, proszę pana — odezwała się nieśmiało Fila, spuszczając wzrok.

— Widzę, że lekceważysz moją przemowę na początku semestru — zauważył zjadliwie Yoland.

Nachylił się i spojrzał Fila prosto w oczy. Poczuela, że chce się dobrać do jej duszy, namacała więc w kieszeni pstrykawkę i nacisnęła blaszkę. Yoland momentalnie odwrócił wzrok, Fila poczuela, że jego wpływ słabnie.

— Ależ słuchałam pana uważnie. To był wypadek.

Fila wiedziała, że nie ma sensu mówić, jak było naprawdę. I tak uwierzyłby w wersję Scrottona, poza tym może Scrotton wykonywał tylko jego polecenie, kradnąc wisiołek. Całe zajście mogło być ukartowane.

— Wypadki nie zdarzają się ot, tak — cedził dalej Yoland. — Musi im w tym pomóc czyjaś bezmyślność. — Wyprostował się. — Za karę trafisz do kozy i napiszesz wypracowanie na 300 słów o znaczeniu bezpieczeństwa w laboratorium. Wedle regulaminu szkolnego możesz odbyć karę po zajęciach lub podczas godzinnej przerwy na drugie śniadanie. Wybór należy do ciebie.

Zza drzwi Tim i Sebastian pokazali Fila, żeby wybrała drugi wariant.

— Wolę przerwę, proszę pana — powiedziała Fila.

— Doskonale. Masz się tu stawić dokładnie o 12.30 — nakazał jej Yoland. — Zjedz wcześniej.

— Scotton ukradł mi wisiołek — poskarżyła się Fila, gdy tylko opuścili laboratorium. — Chciałam go odzyskać, ale...

— Nie martw się — powiedział Sebastian z bladym uśmiechem — nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Nie uszło mojej uwagi, że Yoland często spędza przerwę śniadaniową na zapleczu laboratorium chemicznego. Odbywając karę, sprawdzisz, co on tam robi.

— Ale klejnot należał do królowej Joanny — przypomniała sobie Fila.

— Głowa do góry — uspokoił ją Sebastian. — Wisiołek umie o siebie zadbać.

Przez całą przerwę przed południem Scottona nie było nigdzie widać. Pojawił się dopiero tuż przed lekcją matematyki. Zajął miejsce w ostatniej chwili przed przybyciem nauczycielki — szorstkiej osoby noszącej tweedowe spodnice i ciężkie buciorzy.

Kiedy rozdawała uczniom zestawy zadań, Scotton uśmiechnął się znacząco do Fili, która w zamian przesłała mu gniewne spojrzenie.

— Nie zwracaj na niego uwagi — poradził jej Sebastian po cichu. — Skup się na zadaniach.

Fila doszła do czwartego zadania, kiedy zaleciało jej spalenizną. Rozejrzała się dookoła. Tim był zajęty pracą. Sebastian zauważył jej spojrzenie i skinął w stronę Scottona zgarbionego nad ławką. Z tego, jak marszczy brwi i wystawia język, można się było domyślić, że kiepsko mu idzie.

Fila zauważyła jakiś ruch w okolicy jego stóp. Przyjrzała się bacznie. Palił się lewy but Scottona. Niewielkie pło-

mienie lizały krawędzie podeszwy i powoli pięły się w górę ku brzegowi spodni. Uczniowie zaczęli chichotać.

— Co się dzieje? — spytała nauczycielka, odwracając się od tablicy, na której pisała odpowiedzi do zadań. **Wciągnęła** powietrze nosem. — Mam wrażenie, że coś się pali.

— To Scrotton, proszę pani — powiedziała dziewczynka siedząca na końcu klasy, krztusząc się od **śmiechu**. — Scrotton się **pali**.

Płomienie zaczęły trawić mu spodnie, tymczasem **on** rozpaczliwie starał się je zdusić. Przy każdym ruchu kłęby dymu wylatywały mu z rękawów marynarki.

Nie myśląc ani chwili, matematyczka złapała gaśnicę wiszącą nad **jej** biurkiem, wyrwała blokadę, skierowała dyszę na Scrottona i powiedziała głośno:

— Zamknij oczy i usta, chłopcze.

Ledwie Scrotton wykonał jej polecenie, zalał go strumień gęstej piany pod ciśnieniem, która spowiła go od stóp do głów.

— I po krzyku! — powiedziała nauczycielka, stojąc przed Scrottonem, gdy dym się rozwiął. — Jestem ciekawa, jak do tego doszło?

— Nie mam pojęcia, proszę pani — odparł opryskliwie Scrotton.

— A ja **wiem!** — rzekła na to nauczycielka. — Papierosy. Zapałki. Wiesz, co regulamin szkolny mówi o paleniu.

Scrotton spojrział żałośnie na swoje stopy i wciąż tłący się but.

— Wstań! — nakazała Scrottonowi i zwróciła się do reszty klasy: — Siedźcie tu spokojnie i pracujcie. A tobą zajmie się dyrektor. — Po tych słowach wyprowadziła z klasy Scrottona i zamknęła za sobą drzwi. W klasie rozległy się przyciszone rozmowy.

— Jak to się stało? — szepnęła Fila.

— Oka nie wolno kraść jego prawowitemu właścicielowi — wyjaśnił Sebastian. — A jeśli do tego dojdzie, klejnot mści się na złodzieju.

Nie podnosząc się z miejsca, Sebastian nachylił się i zaczął macać w pianie, która spłynęła ze Scrottona. Gdy wyprostował się, miał w dłoni wisiołek — wciąż przyczepiony do zerwanego łańcuszka.

— Oddam go na naprawy — powiedziała Fila, gdy Sebastian przekazał jej zgubę.

— Nie ma takiej potrzeby — rzekł Sebastian.

Złapał dwa zerwane końce łańcuszka między palec wskazujący a kciuk. Gdy puścił, łańcuszek znów był cały.



Fila usiadła w ławce, a gdy Yoland zobaczył, że zaczęła pisać karne wypracowanie, udał się na zaplecze i zamknął za sobą drzwi. Po kilku minutach Fila usłyszała cichy, a jednak wyraźny szum, który przypominał jej bzyczenie dobiegające z gniazda dzikich pszczół, które Tim **znalaził** w dziupli na skraju Rawne Ground. Gdy stanęła na szczeblu stołka, udało jej się zajrzeć na zaplecze przez wyciąg laboratoryjny.

Yoland stał przed skraplaczem, gromadząc parę unoszącą się z lśniącej, niebieskiej cieczy gotującej się w kolbie nad palnikiem bunsenowskim. W kolbie było coś jeszcze prócz płynu. Miała wrażenie, że w parze latają maleńkie, czarne muszki. W pewnym momencie chemik za pomocą pipety zaczerpnął ze zlewki niewielką ilość przedestylowanej cieczy i wlał ją do próbówki z czerwonym proszkiem. Gdy oba składniki zmieszały się, ciecz zaczęła się

pienić. Yoland lekko wstrząsnął próbką i rozgrzał ją palnikiem, by wylać otrzymaną ciecz w kolorze krwi płytkę Petriego.

Gdy Fila przesunęła się nieco w bok, zobaczyła, że stole za nim w srebrnym stojaku z zaciskaczem nad trójnikiem znajduje się wielka retorta. Zobaczyła, że w retor poruszyło się coś czarnego, szamocząc się, jakby w naczy było za ciasno. Od wewnątrz retorta była zamglona, jak zaszła parą. Przypomniały jej się okna klasy podstawów w deszczowe, chłodne dni. Raptem do ścianki retorty przylgnęło ...oko. Idealnie okrągłe, niczym ptasie, białe z czarną jak węgiel źrenicą. Ale to jeszcze nic. Oko było obdarzone czymś w rodzaju inteligencji. Czuła, że ją zauważyło. Wnętrze retorty ożyło. Do szkła przywarły pióra i sierść, jakby coś starało się wydostać ze środka. Przez moment widzi dziób, szpiczaste ucho i jasnożółty szpon, podobny do krukowego. Szybko usiadła na stołku i wzięła długopis w dłoń.

Pośpiesznie napisała karne wypracowanie, wzięła głęboki oddech, by się uspokoić, podeszła do drzwi na zaplecze i nie zwracając uwagi na wywieszkę, zapukała. Weszła do środka, nie czekając na zaproszenie.

— Skończyłam, proszę pana — oznajmiła.

Yoland podskoczył, pośpiesznie umieścił próbkę w stojaku. Jednocześnie starał się zasłonić przed Filą płytkę Petriego. Nie zrobił jednak tego na tyle szybko, by dziewczynka nie zdążyła zauważyć, że na płytce znajduje się złoty magiczny klucz. Nad nim unosiło się kilka much, wielkości plujek, o połyskujących tułowiami i przezroczystych skrzydłach. Na widok Fili, znikły w cieczy. Retorty nie było w zasięgu wzroku.

— Połóż pracę na półce — powiedział oschle Yoland — i wyjdź stąd. Tu nie wolno przebywać uczniom.

Fila, zadowolona, że może opuścić zaplecze i uwolnić się od towarzystwa Yolanda — stale miała w pamięci armię jego karaluchów — wyszła pośpiesznie i dokładnie zamknęła za sobą drzwi.

Gdy napotkała Tima i Sebastiana, opowiedziała im o wszystkim, co widziała.

— Wiesz może, co on robił? — spytała Sebastiana.

— Nasycił klucz odpowiednimi właściwościami

— A więc — zauważył Tim — niebawem zacnie przedstawienie.



W głębi garażu stał stary rower górski pana Ledgera. Ponieważ od dawna już na nim nie jeździł, Tim spytał, czy mógłby go podarować Sebastianowi. Tata się zgodził, więc Fila i Tim starli rdzę z obręczy kół, naoliwili łożyska oraz łańcuch, dopompowali opony i zawołali Sebastiana.

— Jest twój — powiedział z satysfakcją Tim.

Mile zaskoczony Sebastian rzekł:

— Co za wspaniałomyślny gest. Nie wiem, co powiedzieć...

Odgłosy kroków zapowiedziały przybycie państwa Ledgerów.

— Więc okazuje się, że jednak nie masz roweru — zagała pani Ledger.

— Wygląda jak nowy — zauważył pan Ledger. — Spisaliście się na medal, bliźniaki. Mam nadzieję, że będzie ci się dobrze jeździło, Sebastianie.

— Dziękuję z głębi serca, proszę pana — powiedział Sebastian. — Ma wdzięczność nie zna granic. Jeszcze nigdy nie byłem właścicielem tak wspaniałego środka lokomocji.

Tim skrzywił się.

Pan Ledger uśmiechnął się i **powiedział**:

— Nie nazywaj mnie panem. Przecież nie jestem twoim nauczycielem. Mów mi Steve.

— A mnie Sandra — dodała pani Ledger.

Tim i Fila spojrzeli po sobie. Sebastian promieniał radością.

— Jestem szczerze wzruszony tym, jak serdecznie traktujecie mnie wasza rodzina oraz waszą hojnością wobec me skromnej osoby.

Tim znów się skrzywił i starał się wytłumaczyć, dlaczego Sebastian używa tak kwiecistego języka:

— On dużo czyta.

— Więc warto, byście brali z niego przykład, moi mili! — powiedział pan Ledger. — Moglibyście czytać powieści zamiast „Rynku Komputerów” czy „PC Puls”.

Kiedy państwo Ledger wrócili do domu, Tim z Sebastianem wybrali się na przejażdżkę. Początkowo Sebastian miał trochę problemów z utrzymaniem równowagi. Latem **przejechał** się raz rowerem wyścigowym pana Ledgera, kiedy wraz z rodzeństwem udali się do Brampton na poszukiwania de Loudaca, ale było to jego jedyne doświadczenie z jednośladem. Tamten rower był leciutki w porównaniu z tym, górskim, teraz musiał korzystać ze wszystkich dwunastu przerzutek, by nadażyć za **Timem**.

Kiedy następnego dnia po południu wracali na rowerach ze szkoły, Sebastian był już niezłym rowerzystą. Nie przerażały go pojazdy nadjeżdżające z przeciwnika: nawet ciężarówki ani białe furgonetki, które mijały go w niewielkiej odległości, nie robiły na nim **najmniejszego** wrażenia. Nie tracił równowagi na wybojach, przejeżdżał ostrożnie przez studzienki i kratki kanalizacyjne. Nauczył się także pochy-

łać, biorąc zakręty. Udawało mu się nawet, choć niedługo, jechać bez trzymanki.

Około kilometra za miastem natknęli się na Scottona, zmierzającego do swej nory. Szedł szybko, ręce zwisały mu luźno wzdłuż tułowia, głowę pochylał do przodu. Kiedy go mijali, skrzywił się szyderczo do Fila i krzyknął coś do niej niezrozumiale. Fila pomachała mu przyjaźnie i uśmiechnęła się. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Scottona. Podniósł z ziemi wyschnięty krowi placek i cisnął w jej stronę. Placek poszybował niczym frisbee, nim jednak doleciał do celu, Fila była już daleko, uderzył więc w żywopłot.

Pokonali jeszcze jakieś półtora kilometra i dotarli do miejsca, gdzie od drogi odchodzi ścieżka, prowadząca do nory Scottona. Nieopodal, na skraju asfaltu, leżały dwa martwe borsuki. Trawa wokół głów zwierząt była mokra od krwi, białe paski na ich pyszczkach także były nią umazane, a głowy mocno poranione. Tylne łapy zmiążdżyły przejeżdżające samochody.

— Biedne borsuki — powiedziała, zmartwiona tym widokiem Fila.

— Te zwierzęta nie zginęły pod kołami samochodów — zauważył Sebastian. — Przyjrzyjcie im się uważnie

Tim obejrzał bliższe zwłoki. Zwierzę miało rozszarpane gardło.



Drzwi prowadzące do podziemnej komnaty stały otworem. Dębowy stół, stojący na środku, był książkami. Jedne były otwarte, inne pozaznane pakami kolorowego papieru. Miały różną wielkość

rozmiarami dorównywały Biblii, inne ilustrowanym kszereczkom dla dzieci. Większość była oprawna w skórę.

Sebastian nie odezwał się ani nawet nie spojrzął, gFila i Tim weszli do środka. Studiował księgę z pękniętym grzbietem, z okładek sypały się drobinki skóry które zbierały się na wypolerowanym blacie niczym kurz. Co jakiś czas notował coś na pergaminie za pomocą złotego pióra, które maczał w porcelanowym kałamarzu.

Tim przeszedł obok regału z książkami. Na jednej z półek zauważył trochę współczesnych pozycji. Wziął jedną. Okazało się, że nosi tytuł: „Kwarki, kwazary i stan światła”. Autor był profesorem amerykańskiego uniwersytetu. Na każdej stronie było tyle tekstu co i równań matematycznych.

— Rozumiesz to wszystko? — spytał Tim.

Sebastian uniósł tylko dłoń.

— Daj mi jeszcze chwilę, Tim — powiedział.

Fila przeszła na drugą stronę komnaty. Szkolna marynarka Sebastiana wisząca na haku dziwnie wyglądała tuż obok jego starej, ręcznie tkanej peleryny. Na łóżku leżały w nieładzie baranie skóry, pod którymi spał. Z poduszki sterczały ostre dudki gęsich piór, którymi była wypchana.

— Skończyłem — powiedział w końcu Sebastian.

— Przyłączcie się do mnie.

Fila i Tim usadowili się przy stole.

— Sytuacja wygląda tak — zaczął Sebastian. — Yoland pragnie szerzyć zło za pomocą skradzionych dusz. Chce dopiąć swego, wykorzystując czary z księgi Gerberta d'Aurillaca, z pomocą Scrottona, a także jego... jak byście dziś powiedzieli, klonów.

— Po co to robi? — spytała Fila.

— Przypomnijcie sobie Malodora. Chciał stworzyć istotę, która wykona każde jego polecenie. Ostatecznie zbudowałby ich więcej i stał się potężny...

— ...gdybyśmy nie zrobili z nim porządku! — wtrącił Tim.

— Z Yolandem — ciągnął Sebastian — jest w pewnym sensie podobnie, zamiast jednak tworzyć posłuszne sobie istoty, chce tak przekabacić ludzi, by byli mu bezgranicznie oddani i wykonywali każdy jego rozkaz.

— O co im chodzi? — zauważyła Fila. — Są żądni władzy...? Zupełnie tego nie rozumiem.

— Czyż władza nie jest od zarania dziejów ambicją człowieka? — odparł Sebastian. — Za czasów mojego ojca monarchowie i arystokraci walczyli o władzę. Czyż współcześni prezydenci i politycy różnią się czymś od nich? Chodzi im o dumę czy chwałę, czasem bogactwo, jednak za tym wszystkim kryje się żądza władzy. Jednak w przypadku Yolanda to nie wszystko. Nie chodzi mu tylko o władzę, ale przede wszystkim chce szerzyć zło, na tej samej zasadzie, co ksiądz, który pragnie promować dobro.

Złociste światło świec padało z góry na ich twarze

— A ty musisz pokrzyżować mu szyki — podsumował Tim.

— Nie możemy dopuścić, by dopiął swego — rzekł Sebastian.

— A jeśli jednak mu się uda? — spytała nieśmiało Fila

Sebastian zamknął księgę, która leżała przed nim, spojrzął na Filę oraz Tima.

— Nie wolno nam nawet tak myśleć, moi drodzy. Po nadto obawiam się, że nie zdołam stanąć mu na drodze. Zaklęcia, których zamierza użyć, są bardzo złożone i nadzwyczaj skuteczne i niebezpieczne. Może się okazać, że nie okiełznam..

— Nie możesz się poddawać! Musisz przynajmniej spróbować — wybuchnęła Fila.

— Taki właśnie mam zamiar — oznajmił stanowczo Sebastian — ale potrzebna mi pomoc. Są na tym świecie tylko dwie osoby, którym bezgranicznie ufam.

— Jasna sprawa — zapewniła Fila.

— Poprzednio też ci pomogliśmy — przypomniał Tim. — I tym razem możesz na nas liczyć. Prawda, siostruniu?

— Oczywiście — potwierdziła Fila, jednak po plecach przeszedł jej dreszcz. Uświadomiła sobie, że właśnie zobowiązała się wziąć udział w czymś, o czym bała się nawet pomyśleć.

— Nim mnie wesprzecie, musicie się odpowiednio przygotować. Tym razem — zapewnił Sebastian — i wy b dziecie posiadać moc.

— Moc? — powtórzył jak echo Tim.

— Moc — potwierdził z powagą Sebastian. — Tym **razem** będziecie uzbrojonymi punitorami.

— Uzbrojeni? — ucieszył się Tim. — W miecze, tarcz i kusze...?

— Niezupełnie — odparł Sebastian. — Wyposażę was w nieco inną broń.



Rozdział jedenasty

Być punitorem

im jest punitor? — spytała Fila.

— Słowo to pochodzi z łaciny — **wyjaśnił** Sebastian — i określa osobę, która każe lub mści się za uczynione zło.

Sebastian zebrał ze stołu wszystkie książki i odłożył je na półki. Następnie postawił przed Filą i **Timem** po wypolerowanym kielichu ze srebrną pokrywką. Naczynia pokrywały misterne runy. Zdjął pokrywki, które zadzwoniły o krawędzie niczym miniaturowe cymbałki.

— Zapewne znane jest wam powiedzenie, że „kara powinna być sprawiedliwa” — ciągnął Sebastian. — Musicie o tym pamiętać — dodał. — Punitorzy nie tylko karzą, ale robią to sprawiedliwie. Bronią dobra przed złem.

Po tych słowach Sebastian wstał, podszedł do rzędu półek skrytych w mroku i wziął kolbę o smukłej szyjce z korkiem z matowego szkła. Gdy wrócił, rodzeństwo zobaczyło w świetle świec, że naczynie zawiera ciemnoturkusową ciecz.

Sebastian ostrożnie nalał po odrobinie do obu kielichów.

— Jak się domyślam — z niepokojem zauważyła Fila — by zostać punitorami, musimy to wypić?

— Bynajmniej — wyprowadził ją z błędu Sebastian. — Macie tylko umoczyć wargi. Gdybyście połknęli miksturę...

- Więc to trucizna? — zląkł się Tim.
- Niezupełnie — odparł wymijająco Sebastian.
- Co poza tym...? — spytał Tim.
- Musicie mieć czyste serca — wyjawił Sebastian — al oboje takie właśnie macie.

Timowi zaczęły się przypominać wszystkie występki, jakie popełnił w życiu, zupełnie jakby leciały na telepromp-terze w studiu telewizyjnym. Na przykład, jak wlał gin do akwarium stryjecznej babki Joanny i upił jej *skalary*. Na przyjęciu z okazji siódmych urodzin rodzeństwa przywią-zał warkocze Rebeki do oparcia krzesła. Innym znów ra-zem zadzwonił do pubu i powiedział, że zaparkowany przed nim samochód o rejestracji R2D2 błyska światłami i wyje, o czym barman poinformował wszystkich klientów. Za pierwsze dwa grzeszki tata pozbawił go kieszonkowego na dwa miesiące, a także zabrał piloty do telewizora i od-twarzacza DVD. Natomiast nikt nie dowiedział się, kto był autorem telefonicznego żartu.

Sebastian zaśmiał się pod nosem, gdyż domyślił się, co chodzi po głowie Timowi.

— Nie masz się czym martwić — powiedział. — Dzie-cięce psoty się nie liczą.

Następnie wziął pałeczkę z brązu i dotknął nią kieli- chów, które wydały przy tym dźwięk niczym maleńkie dzwoneczki.

— Jesteście gotowi — spytał — by uroczyście i szczerze oddać się walce w imię dobra?

— Tak — potwierdziło rodzeństwo jednym głosem.

Sebastian zaczął mamrotać coś po łacinie. Fila ani Tim nic z tego nie rozumieli, tylko czasami wyłapywali własne imiona i parę słów, których znaczenia mogli się domyślać: *justitia, diabolus, maligno...*

Po chwili Sebastian zamilkł i przesunął kielichy po blacie w ich stronę.

— Pamiętajcie — ostrzegł ich ponownie — macie **tylko** umoczyć wargi. Nie oblizujcie ich. — Przy każdym kielichu położył kwadratowy skrawek ciemnozielonego jedwabiu. — Wytrzyjcie nim usta do sucha.

Ostrożnie ujęli kielichy w dłonie. Gdy mikstura dotknęła warg, poczuli, jak pieni się na skórze, niczym oranżada w proszku.

— Przedziwne! — powiedział Tim, gdy otarł usta.

Sebastian wziął kielichy i chlusnął resztką cieczy na **ścianę**. Gdy płyn zderzył się z kamieniami, komnatę rozświetliło jasne światło i kaskada pomarańczowych iskier spadła na podłogę.

— Fantastyczne! — zawołał Tim.

— Nie musimy wypowiedzieć słów jakiejś przysięgi? — spytała Fila.

— To, że nie baliście się dotknąć mikstury, jest jednoznaczne z gwarancją waszej wierności — wyjaśnił Sebastian.

— Więc już jesteśmy punitorami? — spytał Tim.

Sebastian kiwnął głową, zabrał jedwabne serwetki, umieścił je w glinianym naczyniu i zapalił. Gwałtownie spłonęły, skrząc się i sycząc.

— Skąd mamy wiedzieć, jaką posiadamy moc? — spytała Fila. — Czy możemy to jakoś wypróbować?

— Nie jest to konieczne — odparł Sebastian. — Wasza moc będzie objawiać się w zależności od potrzeby. Gdy zetkniecie się z potężnym złem, wasza moc będzie **wielka**. Gdy będziecie mieć do czynienia z niegodziwością mniejszego formatu, odpowiednio słabsza będzie wasza moc, wystarczająca jednak, by stawić czoła przeciwności. Musicie pamiętać o jednym: będziecie zwalczać zło, ale nie bę-

dziecie przed nim bezpieczni. Dlatego też przygotowałem dla was talizmany, ale one dadzą wam ochronę tylko w pewnym stopniu.

Sebastian podał Fili i Timowi po cienkim krążku o średnicy około dwóch centymetrów z dokładnie wypolerowanego drewna.

— To kawałki gałęzi jarzębiny — wyjaśnił. — Wycięto je z martwego drzewa, gdyż ścinając żyjącą jarzębinę, można sprowadzić na siebie zło.

— Co mamy z nimi robić? — spytała Fila.

— Wystarczy obracać krążki w dłoni — wyjaśnił Sebastian. — Podczas tej czynności odpędzicie wszelkie kręcające się w pobliżu zło. Zawsze miejcie przy sobie te talizmany

Rodzeństwo schowało drewniane krążki do kieszeni.

— Jak mamy się posługiwać naszą mocą? — spytał Tim

— Czy mamy coś zrobić, by ją uruchomić?

— Nie — odparł Sebastian. — Będzie przychodzić jak każda emocja. Przypomnijcie sobie, jak się czuliście, gdy zobaczyliście dziewczynkę nękaną za infekcję skóry. Byliście źli na jej prześladowczynię, jej zaś współczuliście. Nie musieliście w żaden sposób uruchamiać tych emocji, jak ująłeś to, Timie. Pojawiły się naturalnie, jesteście bowiem dobrzy, a to, czego byliście świadkami, było złe. Tak samo będzie z mocą. Pojawi się w odpowiednich momentach, jest bowiem od teraz połączona z waszymi uczuciami.

— Moc będzie z nami! — zakrzyknął Tim, wymachując uniesioną pięścią. — Mam teraz moc...

— Uspokój się, Tim — parsknęła zniecierpliwiona Fila.

— Nie wydurniaj się!



Nadchodzący tydzień był wolny od zajęć. W piątek przed feriami zebrano wszystkich uczniów, by przed lekcjami wysłuchali doktora Singalla.

Dyrektor zaczął swą przemowę od pochwalenia uczniów za świetne rozpoczęcie roku szkolnego.

— Można powiedzieć, że sezon piłkarski ruszył z wykopu — stwierdził zadowolony z własnego żartu **słownego** — do tej pory nasza drużyna nie przegrała ani jednego meczu. Zespół uczniów z najmłodszych klas wygrał w biegach przełajowych pierwszy etap i zakwalifikował się do zawodów okręgowych. I niech wam się nie wydaje, że tylko chłopcy celują w sporcie, z przyjemnością donoszę, że drużyna hokejowa dziewcząt z najstarszych klas odniosła zwycięstwo nad przeciwniczkami z żeńskiego gimnazjum Capland.

Potem mówił o szkolnym przedstawieniu, dorocznym koncercie, remoncie pracowni do gotowania oraz o zbliżającym się wyjeździe uczniów, którzy w ramach wymiany **jechali** do Niemiec w pierwszym tygodniu po feriach.

— Uczniom wyruszającym do Niemiec — **zakomunikował** — będą towarzyszyli pan Staples i panna Bates.

Na tę wieść po auli rozszedł się szmer, a paru uczniów nawet zagwizdało. Wrzawę szybko uciszył dyrektor. Tajemnicą poliszynela było to, że oboje nauczyciele **mają** się ku sobie.

— Na ich miejsce pojawi się dwoje zastępców — dodał doktor Singall. — Lekcje niemieckiego pana Staplesa **po** prowadzi panna Brandeis, zaś pannę Bates zastąpi pan Loudacre.

Po tych słowach uczniowie rozeszli się do klas.

Choć był piątek, Yoland zorganizował **spotkanie Klubu** Atomu na przerwie śniadaniowej, ponieważ **miało** im

przepaść spotkanie w poniedziałek po feriach, jako że w pierwszy dzień szkoły odbywało się szkolenie dla nauczycieli. Fila, Tim i Sebastian pospiesznie zjedli kanapki i ruszyli do laboratorium chemicznego. Gdy weszli do środka, Scotton właśnie wieszał na tablicy wielki, kolorowy schemat. Następnie przystanął przy stole laboratoryjnym i rozejrzał się po sali.

— Arogancki świr — szepnął Tim. — Myśli, że jest człowiekiem.

— Raczej małpoludem — dodała cichutko Fila.

— Nie lekceważcie go — zwrócił im uwagę Sebastian. — Jest uchem swego pana, nawet w tej chwili stara się podsłuchać naszą rozmowę.

— Sądzisz, że nas teraz słyszy? — spytała cicho Fila, jej głos przepadł w ogólnej wrzawie.

— Całkiem możliwe — odparł Sebastian — na szczęście nie mówimy nic szczególnego, poza tym Scottonowi nie starcza rozumu, by ogarnąć treść naszej rozmowy, co najwyżej może przekazać ją słowo w słowo swemu panu.

Otworzyły się drzwi na zaplecze i pojawił się Yoland ze wskaźnikiem laserowym.

— Dziś — zaczął — zajmiemy się energią jądrową.

— Włączył wskaźnik i przeniósł czerwony punkcik na schemat. — To rysunek elektrowni atomowej. Wygląda na dość skomplikowany, jednak zasada działania jest bardzo prosta. Kontrolowana reakcja jądrowa powoduje powstanie ogromnego ciepła, które podnosi temperaturę wody w układzie zamkniętym. Zmienia się ona w parę wodną, która napędza olbrzymie turbiny zasilające wielkie generatory elektryczne. Istnieją różne rodzaje elektrowni atomowych, jednak wszystkie działają na tej samej zasadzie. Paliwo wykorzystywane w reaktorze... — kolejny raz przemieścił punkt wskaźnika — ...to najczęściej uran 235.

— Skoro układ jest zamknięty — spytał Sebastian — to w jaki sposób reakcja może być kontrolowana?

— Świetne pytanie, Gillette — zauważył Yoland. — By to zrozumieć, musisz wiedzieć, co się składa na ową reakcję.

Yoland oparł się łokciami o stół laboratoryjny.

— Podejdźcie tu do mnie. Scrottonie — polecił odwracając się w bok — proszę o drugi schemat.

Scrotton posłusznie powiesił kolejną tablicę, przykrywając pierwszą. Przedstawiała atom uranu.

Członkowie klubu podeszli bliżej. Fila i Tim namacali w kieszeniach pstrykawki.

— Atom uranu — zaczął wyjaśniać Yoland — jest niestabilny. W określonych warunkach następuje jego rozkład. Nazywamy to rozszczepieniem. Gdy się dzieli, emituje cząstki. Zazwyczaj, gdy rozpada się atom uranu, jego jądro — a więc sam środek — tworzy jądro baru, jądro kryptonu i trzy wolne cząstki zwane neutronami. — Światło lasera podzieliło na schemacie atom na dwie części i zakreśliło z jednej strony trzy drobne cząstki.

— Te neutrony — ciągnął Yoland, przenosząc wiązkę lasera, zderzają się z innymi atomami uranu i wprowadzają je w drgania. Wydziela się ciepło. Do kontrolowania tego procesu służą w reaktorze pręty sterownicze. Często zrobione są z grafitu, który pochłania część neutronów. I il więc wkładając lub wyjmując owe pręty można kontrolo wać ilość wydzielającego się ciepła. Ponadto paliwo — uran — może być zanurzone w dwutlenku węgla — ga- zie cięższym od powietrza — wodzie lub ciężkiej wodzie, by jeszcze bardziej spowolnić rozpad atomów. Takie śro- dowisko — gaz lub ciecz — również przenosi ciepło, które powoduje powstanie pary.

— Ciężka woda? — spytał jeden z członków klubu.

— Jest to woda — wyjaśnił Yoland — w której **d** atomy wodoru zastąpiono dwoma atomami deuteru. Deuter to izotop wodoru.

Fila przyglądała się nauczycielowi. Spoglądał kolejno uczniów, przeszywał ich wzrokiem, jakby się na czy koncentrował, na jego ustach igrał nikły uśmiezek. Fi i Tim trzymali pstrykawki w dłoniach, gotowi bronić s w każdej chwili.

— Jeszcze jedno — powiedział Yoland, nim rozległ s dzwonek na koniec przerwy — za dwa tygodnie, w **pierv** szy piątek po feriach, zabieram wszystkich członków klub na wycieczkę. Zarezerwowałem już szkolny mikrobus i zwolniłem was z popołudniowych lekcji. — Wręczył wszystkim uczniom po kopercie. — Poproście rodziców o podpisanie zgody na wycieczkę.

— A odkąd jedziemy? — spytał jeden z chłopców.

— Zorganizowałem wam — powiedział Yoland z namaszczeniem, jak konferansjer w cyrku — wycieczkę z przewodnikiem po elektrowni jądrowej Jasper Point.

Wszyscy członkowie klubu, prócz trzech, bardzo się ucieszyli...



Kiedy rodzeństwo zeszło w poniedziałek na śniadanie, zobaczyli przed wozownią dużą biało-niebieską furgonetkę ekipy remontowej. Kilku mężczyzn wyjmowało z niej betoniarkę. Inni nosili worki cementu, narzędzia, cegły i rury.

— Nowa kanalizacja — wyjaśniła pani Ledger — a to znaczy, że oboje jedziecie ze mną do Exington.

Fila i Tim spojrzeli na siebie z niepokojem. Nie tak wyobrażali sobie ferie.

— Będziemy grzeczni, mamó — nalegała Fila. — Nie będziemy się plątać robotnikom pod nogami ani im przeszkadzać.

Mama była nieugięta.

— Tata musi przygotować scenariusz do zdjęć w przyszłym tygodniu i nie życzy sobie, by ktokolwiek zakłócał mu spokój. Wystarczy, że ma na głowie ekipę remontową — dodała mama, gdy tymczasem jeden z robotników uruchomił przed domem betoniarkę. Silnik ruszył z łoskotem.

— Obiecujemy — błagała Fila.

— Za dwadzieścia minut przy samochodzie — poleciała niewzruszona pani Ledger.

Kiedy dotarli do miasteczka, na High Street handel odbywał się już pełną parą, na chodnikach roiło się od kupujących. Pani Ledger nie mogła znaleźć miejsca do zaparkowania, była więc zmuszona wjechać na ostatni poziom parkingu wielokondygnacyjnego, którego nie cierpiała za to — o czym nie omieszkała powiedzieć siedem razy, gdy pięli się w górę — że od jeżdżenia po spirali kręci jej się w głowie.

Przez kolejną godzinę rodzeństwo chodziło za mamą krok w krok, od apteki do papierniczego, stamtąd do księgarni i wreszcie do sklepu z tkaninami, gdzie pani Ledger spędziła co najmniej dwadzieścia minut, grzebiąc w stosach próbek zasłon. Ranek dobiegał końca, gdy wyjechali z miasteczka, by udać się do supermarketu na przedmieściu.

— Możemy poczekać w samochodzie? — spytała Fila.
— Jestem zmęczona.

— Wykluczone! — odparła pani Ledger z kategorią znośnością doskonale znaną rodzeństwu. — Idziecie ze mną po zakupy. Tim, przywieź duży wózek.

W pierwszej kolejności pani Ledger skierowała się **działu** z owocami i warzywami, na końcu którego znajdowało się stoisko z kwiatami. Stojąca przy nim staruszka przyglądała się bukietom lili tygrysi i gałązkom liliowych orchidei o woskowatych płatkach.

Zaafierowana kwieciem nie zauważyła młodzieńca w pogniecionej, pochłapanej błotem skórzanej kurtce, który kręcił się w pobliżu. Miał dwadzieścia kilka lat, nosił znożone džinsy, brudne tenisówki i bluzę sportową. Luźna kurtka zapięta na zamek była o kilka numerów za duża, ale ściągacz ściśle przywierał do talii.

— Alarm! Kieszonkowiec! — szepnął do siostry Tim.

Kiedy staruszka wyciągnęła rękę po bukiet kwiatów, młodzieniec błyskawicznie sięgnął do jej torby stojącej na sklepowym wózku. W mgnieniu oka jej portmonetka znalazła się w jego ręku. Już miał ją włożyć do kieszeni, gdy zorientował się, że Fila i Tim wszystko widzieli. Upuścił więc portmonetkę na ziemię i kopnął pod wózek staruszki. Następnie chwycił kobietę za łokieć, by zwrócić na siebie uwagę, schylił się i podniósł portmonetkę ze słowami:

— Wybacz pani, czy to nie pani zguba?

Gdy staruszka podziękowała mu wylewnie, młodzieniec oddalił się jak niepyszny.

— Co za gnida! — wycedziła Fila. — Gdybyśmy go nie zauważyli...

Kilka minut zajęło im znalezienie mamy. Filę i Tima okropnie denerwowało to, że nie poruszała się po supermarkecie między kolejnymi rzędami półek, a wedle tego, co miała napisane na liście zakupów, którą dzieliła na kategorie. Mięso i ryby spisywała razem, bo należały do produktów głównych, choć lada z rybami znajdowała się na jednym końcu sklepu, zaś dział mięsny na drugim. Znaleźli ją przy pieczywie.

— Niebawem kończę — powiedziała na pocieszenie, gdy podeszli. — Jeśli chcecie, możemy się spotkać przy kasach.

Gdy się od niej oddalili, znów się natknęli na młodzieńca w skórzanej kurtce. Grasował w dziale drogowym przed półką z kosmetykami dla mężczyzn. Na podłodze stał koszyk z produktami spożywczymi. Tim obserwował, jak mężczyzna zdejmuje z półki buteleczkę drogiej wody kolońskiej, przygląda się etykietce, a następnie chowa ją za pazuchę, przekonany, że nikt go nie widzi.

Fila ruszyła przed siebie, a za nią podążył Tim

— Zaczekaj — Tim dał siostrze dyskretny sygnał głową.
— Złodziejaszek znów w akcji na godzinie czwartej.

— Za dużo grasz w gry wojenne — zbesztala go I da, spojrzala jednak w kierunku mężczyzny i zauw zyla coś chowa pod kurtkę.

Rodzeństwo ruszyło za nim w bezpiecznej odległości, gdy poszedł dalej z koszykiem w ręku. Przechodząc tam, wkładał różne rzeczy do koszyka, ale dodał owo zwinął pół litra whisky i litr likieru Southern Comfort. Włożył je pod kurtkę i przesunął na bok, by nie pojawiło się wyrzucenie. W końcu zapiął i pułszyję i poszedł do kasy.

— Myślisz, że mają tu sklepowego detektywi albo kogoś takiego? — spytała Fila. — Musimy ku wiadomości.

— Ani mi się waź! — ostudził jej zapał Tim zadanie dla punitorów.

Fila popatrzyła na brata. Dostrzegła łobuzeria w jego oczach.

— Pierwsza próba MP — dodał Tim.

— MP?

— Mocy punitorów! — odparł Tim.

— Sebastian mówił, że moc się pojawi, gdy będzie potrzebna — zauważyła Fila. — Nic nie poczułam, kiedy ten facio chwycił portmonetkę.

— Może to zdarzyło się za szybko — zauważył Tim.
— Może to musi trwać dłużej, by moc się uaktywniła.

Młodzieniec stanął w kolejce. Kiedy nadeszła jego kolej, postawił koszyk na półce i zaczął wypakowywać jego zawartość na taśmę. Fila i Tim ustawili się w sąsiedniej kolejce i obserwowali go.

— Nie możemy tak beczynnie stać — powiedziała Fila.

— Widzisz jego kurtkę? — spytał Tim. — Skoncentruj się na **niej**.

— Mam się skoncentrować? Jego **kurtka...!**

— Nie gadaj, tylko działaj, siostrzyczko!

Tim przymknął oczy. Wyglądał, jakby się modlił.

Młodzieniec schylił się, by położyć pusty koszyk na stole innych pod półką przy kasie. Tim usłyszał, jak w trakcie tej czynności zaczyna odpinać mu się suwak.

— Ale ubaw — szepnął do Fili.

Mężczyzna nie wyprostował się. Tim widział, jak walczy z suwakiem, usiłując go zapiąć. Ale nie dawał rady. Przerwał i suwak zjechał jeszcze bardziej na dół. Chwycił go z całej siły, pot zaczął mu się perlić na czole. Mimo to suwak nie dawał się zapiąć, gdy tylko go puścił, ruszył w stronę talii.

— Nic panu nie jest? — spytała kasjerka, a wszyscy klienci zainteresowali się dziwnie zachowującym się mężczyzną.

Młodzieniec wpadł w panikę. Walczył z zamkiem coraz zajadlej, nie potrafił go jednak powstrzymać. W końcu suwak dotarł na dół i kurtka się rozpięła, a na podłogę wypadły skradzione rzeczy. Butelka whisky roztrzaskała się,

aż odskoczyli klienci w pobliżu. Światło stroboskopowe nad kasą zaczęło błyskać, a alarm pod sufitem wył. Spośród rzędów półek nadbiegło dwóch ochroniarzy. Złapali złodzieja i wyprowadzili go na zaplecze.

— Więc tak to jest być punitorem! — zawołał Tim, którego rozsadzała duma.



Pani Ledger zapukała do pokoju Tima i pojawiła się z tacą kanapek z peklowaną wołowiną i korniszonami, szklankami oraz butelką lemoniady.

— Obsługa hotelowa — zażartowała.

— Dzięki, mam — rzekł Tim, a zaraz za nim odezwał się uprzejmie Sebastian:

— Nad wyraz pani uprzejma, pani Ledger.

— Sandra, pamiętasz? — obruszyła się pani Ledger.

— Lizus — szepnął Tim z uśmiechem.

Na podłodze leżały mapy, wydruki, ołówki, nożyk, rolka taśmy klejącej, linijki, ekierki, kieszonkowy wycior i kompas.

— Co wy kombinujecie? — zainteresowała się pani Ledger.

— Planujemy ferie — odparła ogólnikowo Pani Ledger.

Kiedy mama wyszła z pokoju, Fila przyłożyła linijkę Sebastiana na linię: Rawne Barton, fort na kościół Świętego Benedykta i Blessed Raymond Brampton — inny kościół w wiosce oddalonej o kilometry oraz starożytny most nad rzeką na odcinku kolejnego traktu. Tim dołożył swoją linijkę, zaś Sebastian kolejną. Linia kończyła się na cypelku nieopodal rybackiej Cockleton.

Przez chwilę Tim przyglądał się mapie i powiedział:

— Kiedy ją wydrukowano?

Fila zadarła róg mapy, przestudiowała dolny margines i odparła:

— W 1966.

Tim wskazał na cypelek. Obok niego, na morzu, widniała wyraźnie nadrukowana nazwa: Jasper Point.

— Myślę — powiedział — że od tamtej pory trochę się tam zmieniło.

Tim wstał z podłogi i omijając mapę podszedł do komputera. Wszedł na stronę przedsiębiorstwa Brytyjskich Sieci Elektroenergetycznych.

— „Elektrownia jądrowa Jasper Point — czytał, a na monitorze pojawiały się kolejne informacje i zdjęcia — to nowoczesny, chłodzony gazem, reaktor uruchomiony w 1976 roku. W Jasper Point są w zasadzie dwa reaktory, a każdy z nich przy pełnej mocy produkuje 1210 megawatów prądu, co wystarcza na potrzeby około miliona domostw”. To bardzo dużo energii — skonkludował Tim.

— To bardzo dużo energii — powtórzyła w zamyśleniu Fila — ale jakie znaczenie ma to dla Yolanda?



Rozdział dwunasty

Próba sił

Fila, Tim i Sebastian uznali, że niewiele zdążyli przez pierwsze dni ferii. Fila kilka razy wjechał na rowerze obok domu Yolanda, ale nie działało, tylko szklarz kończył mocować w okienko. Tim dwukrotnie zjechał na złamani! na rowerze górskim przez las ze wzgórza, gdzie i Scrotton. Napotkał tylko szukające pokarmu i i bażanty. Natomiast Sebastian przepadł dzień, by pojawić się dopiero wieczorem.

Sebastian wezwał Filę i Tima do swej nocy w środę wieczorem.

— Nie mam pewności, jakie działanie — oznajmił. — Nie jestem obeznany z metodologia magicznych kluczy. Niemniej jednak pewne wnioski. Pierwszy dotyczy złotych nobliów. Nie podejrzewam, by wykorzystywał je do magicznych kluczy. Dlatego też domyślałem się, że przeznaczenie. To bardzo cenne monety, z kruszec, z którego są zrobione, ale także i Inryczną. Żaden inny metal tak wyśmienicie do wzbudzania chciwości jak złoto. Podejrzewam, że kluczy w magicznych kluczach stanowią element zujący ludzi lub odwracający ich uwagę od Yolanda.

— Też się nad tym wszystkim zastanawiałem — przyznał Tim. — Jednym z celów Yolanda jest szerzenie zła. Zgadza się?

— W rzeczy samej — potwierdził Sebastian.

— A czym jest zło? — ciągnął Tim.

— Zło to nikczemność — wyjaśnił Sebastian — moc, przeciwstawiająca się dobru.

— No właśnie — podchwycił Tim. — Moc. A czym jest elektryczność, jak nie formą mocy? Tak więc mówiąc po twojemu, jak to drzewiej bywało, tu leży pies pogrzebany.

Fila zmarszczyła brwi i obruszyła się:

— Ale z ciebie mądraliński... — powiedziała i zamilkła.

— Dotarło, siostruniu? — spytał Tim. — Do czego służy elektrownia jądrowa? Wytwarza energię, rozsyła ją krajową siecią wysokiego napięcia do wszystkich budynków w Wielkiej Brytanii.

— W dawnych czasach — wtrącił Sebastian — podobna siła biegła liniami łączącymi miejsca **mocy**...

— ...ale teraz — ciągnął Tim — biegnie miedzianymi przewodami do wszystkich gniazdek w kraju. Jeśli Yoland dopnie swego, wszystkie kontakty staną się wrotami zła. Włączasz do prądu toster i co się dzieje?

— Ustrojstwo emanuje złem — podsumowała Fila głosem zduszonym ze strachu.

— **Jednego** tylko nie rozumiem — powiedział Tim. — Po co szerzyć zło? Co Yoland będzie z tego miał?

— Nie czerpie korzyści z samego zła — wyjaśnił Sebastian — jednak jego działanie prowadzi do anarchii i załamania się prawa. Wystarczy szerzyć zło, a nie tylko rozpowszechni się niegodziwość, ale także nastąpi upadek moralny, a tym samym kres społeczeństwa. Yolandowi uda

się, wykradając liczne dusze, przejąć władzę nad wieloma tysiącami, a może nawet milionami ludzi.

— Więc Yoland chce zawładnąć światem! — zawołał Tim. — To zadanie dla Bojownika w Peleryni!

— Z całym szacunkiem — obruszyła się Fila. — To nie druga część Spidermana. Czas byś się obudził, przetarł oczy i poczuł aromat kawy.

— Spiderman nie nosi peleryny — poprawił ją Tim.

— Wszystko jedno — odparowała Fila.

— Jestem pewny — zauważył Sebastian — że Tim już się przebudził — wciągnął powietrze nosem — ale nie czuję aromatu kawy.



Świt w czwartkowy rano wstał chłodny i bezchmurny. Niebo było błękitne, a słońce ostre, choć nie dające ciepła. Jeden z pierwszych przymrozków skrzył się szronem na trawie, niczym brokat.

Tim wyszedł z domu o ósmej. Miał na sobie ciemnozieloną wywatowaną kurtkę na ryby, kalosze i długie welniane skarpety wyściełane gazetami — nauczył się tego od dziadka. Jak dziś słyszał głos dziadka Ledgera: Nie bez powodu bezdomni śpią pod wczorajszymi nagłówkami z prasy. Warstwy papieru zatrzymują ciepło. W lewej i prawej kieszeni Tim niósł stary wojskowy, płócienny pokrowiec przeciwgazowej, zaś w prawej granatową, chropowatą i ciężką z włókna szklanego wyposażoną w kołowrot i 100 metrów czarnej żyłki o wytrzymałości dwóch kilometrów i gumową przynętę przypominającą traszkę. Kurtka była przesiąknięta rybim śluzem i krwią, które nie poddały się staraniom mamy, by je usunąć.

Gdy Tim dotarł do brzegu, ruszył niespiesznie w górę rzeki, wypatrując w wodzie srebrnych błysków, które zdradziłyby obecność ławic ryb rozpędzanych przez szczupaka, a właśnie tę rybę chciał złowić.

Za starym mostem prąd stworzył głębokie rozlewisko o ciemnej wodzie przy kamiennym pomoście. Jeśli na tym odcinku rzeki jest jakiś szczupak wart złapania, pomyślał Tim, to na pewno czai się gdzieś tutaj. Położył torbę na brzegu, ustawił się przodem w górę nurtu i zarzucił przynętę z prądem, po czym nawijał powoli żyłkę, by ogon gumowego trytona kołysał się z boku na bok, jak u żywego.

Przy czwartym zarzuceniu, dostrzegł około półtorakilogramowego szczupaka, który podpłynął do przynęty, sprawdził ją, odpłynął i schwytał marudera wlokącego się za ławicą płotek. Potem szybko przeciął rzekę i skrył się wśród korzeni wierzby chylącej się nad wodą na drugim brzegu.

Szczupak na razie zaspokoił głód, więc Tim przyciągnął przynętę i siedząc na brzegu, zdjął ją ze stalowego przyponu. Schował do pudełka z przynętami i sprawdził, czym jeszcze dysponuje. Wybrał srebrno-zieloną, cętkowaną błystkę.

Nie było teraz sensu zasadzać się na tego szczupaka. Tim nie miał ochoty wywabiać go spośród korzeni drzewa, bał się, że żyłka może się przy tym zaplątać. Oparł się więc wygodnie, zatknął wędkę między kamienie pomostu. Choć jego kurtka była porządnie wywatowana, czuł że kamień jest szorstki i zimny.

Po drugiej stronie rzeki, za drzewami na tle porannego nieba wznosiła się surowa i ciemna wklęsła ściana kamieniołomu okolona krzakami. Tim zauważył, że coś się po niej wdrapuje. W pierwszej chwili myślał, że ktoś się wspi-

na po linie. Latem, kiedy łowił ryby na muchę, kilka razy widział alpinistów, którzy wchodzili na skały. Ta postać wyglądała jednak inaczej. Alpinisci poruszali się płynnie, w ich ruchach widać było ostrożność. Ta postać natomiast ruszała się nerwowo, ręce i nogi wystawiała na boki, kolana i łokcie miała zgięte pod kątem prostym.

Zaciekawiony Tim położył wędkę na trawie, znalazł bród, przeszedł na drugi brzeg i ruszył wśród kamieni oraz krzaków. Powoli zbliżał się do kamieniołomu.

Przykucnął za głazem i przyjrzał się skale. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego szczególnego prócz sokoła spacerującego z gracją na skraju półki skalnej. Po chwili sokół poderwał się do lotu, wznosił się w powietrze na prądzie wstępującym i znikł gdzieś za szczytem kamieniołomu.

Nieopodal miejsca, gdzie przed chwilą siedział ptak, pojawiła się postać. Ubrana w ciemnobrązowe ubranie, zdawała się przywierać do ściany każdym centymetrem ciała. Raptem przesunęła się w bok po urwistej skale. Nerwowe ruchy przypominała Timowi nietoperza.

Dopiero po chwili dotarło do niego, na co patrzy.

To był Scotton.

Po chwili, ku przerażeniu Tima, spośród luźnych kamieni leżących u podnóża kamieniołomu pojawił się kolejny Scotton i zaczął gramolić się w górę, by dołączyć do reszty. Zmaterializował się też trzeci i ruszył po nich, stawiając stopy i kładąc ręce w tych samych miejscach poprzedni dwaj.

Tim, kuląc się, ruszył w stronę rzeki tak szybko jak tylko pozwalały mu kalosze. Na nic się to jednak nie zdało. Zostało mu dwadzieścia metrów do wody, gdy dostrzegł przed sobą szelest zarośli. Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył trzech Scottonów biegnących wśród zarośli.

du, by je odgar-
włosy i drapały
agi.

n.
edzie. Ten odbił
n, nie zwracając
ie pod stopami,
pyłu. Szczęście
gazetami.

i zaczął pokony-
e tuż pod jej po-
nie miały ochoty

:rağlony kamień
prześladowców.
wał w brew i za-
Zerknął na jed-
wody, ostrożnie
n zaczął się wy-
nie czuł palców

erał — wymam-
bione żółte jak

iał drugi. Bełko-

pryskując ją sto-
ównowagi zaczął

i Scotton — od-
rzeki, zaplątane

-
czo

-
I

pos

-
wo

tac:
red

fleg

S

nar
Tin

S

ręc:
wy:

T

do
nie

a je
wia

r

na
z ja

-
był

— I
ma

S

ma
wp;
głó

-rsgbo ej yd ,uburt eidoalisobie trudu, by je odgar-
e włosy i drapały im się we włosy i drapały
igswu ein n na nie uwagi.

.miT nseu nosem Tim.
fidbo nęT .izbęzqsn stona na **przedzie**. Ten odbił
e włosy i drapały im się we włosy i drapały
imspots bob eizęzqsn ezezaste **gałęzie** pod **stopami**,
eizęzqsn .ułyq ynsnu **tumany** pyłu. Szczęście
imstęzqsn yęqzqsn skarpety **gazetami**.

-yokony i ybow olł do wody i zaczął pokony-
-oq [ej bob im eizęzqsn riodujących się tuż pod jej po-
yokony, nie miały ochoty

imsk ypolęzqsn ,ikłki, **zaokrąglony** kamień
w swych **prześladowców**.
Drugi oberwał w brew i za-
Zerknął na jed-
Zęby. Zerknął na jed-
do wody, ostrożnie
wszedł do wody, ostrożnie
Tim zaczął się wy-
Prawie nie czuł palców

-yokony — imsk yęzqsn nie **zadzierał** — wymam-
yokony **wyszczerbione** żółte jak

-Bełko-
powiedział drugi. Bełko-

-o-
wody, **rozpryskując** ją sto-
ównowagi zaczął

-bo — nottorzicęzqsn łskował **trzeci** Scotton — od-
w dole rzeki, **zaplątane**
wierzby.

— Wiele łez, wiele żalu, zgrzytanie zębami jutro wieczorem w Rawne Barton — przewidywał drugi.

— Kopanie dołu i mamrotane modlitwy — dodał **trzeci**.

Tim rozglądał się gorączkowo za czymś, co mogłoby mu posłużyć za broń. Prąd niósł w jego kierunku gruby konar.

— Nic z tego! — zawołał pierwszy Scrotton. Sięgnął do wody po okazały kamień, przyłożył go do szyi niby miotacz kulą. — Mówiłem ci, że jestem orłem z WF-u — zarechotał, w jego gardle zarzęziło, jakby zebrała się tam flegma.

Scrotton rzucił z obrotu kamieniem. Trafił w środek konaru, który pękł na dwoje. Plusk wody zmienił jego tor. Tim obserwował bezsilnie, jak konar **odpływa**.

Scrottony pochyliły się i ruszyły przez wodę gęsiego, ręce zwisały im swobodnie, zanurzone w wodzie dłonie wyszukiwały kamienie.

Tim obejrzał się za siebie i zastanawiał się, czy dotrze do swego sprzętu wędkarskiego, nim Scrotton go dopadnie. Gdyby mu się udało, wędka może **posłużyć** za broń, a jeśli mieliby stoczyć walkę wręcz, **może się przydać** ołowiana pałka do głuszenia ryb.

Nagle coś zaświtało mu w głowie. **Odpiął guzik** i **leszeni** na piersi koszuli, włożył do środka dłoń i **namacał** krążek z jarzębiny. Wyjął go i zaczął nim obracać.

— Gha! Gha! — wydobyło się z **gardła** **Strottona** i **gdłos** był charczący, coś pomiędzy śmiechem a **chi** (kaniem. —Patrzcie, no! — zwrócił się do swych **kopci** i **hłoptas** ma jarzębinowy krążek! Wielkie mi **rzeczy!**

Scrotton schylił się, podniósł kamyk i **ucel** **mm** w **ni** ma. Trafił w dłoń. Palce odruchowo się **u** **w** **u** **v** \ **l** **l** **l** **l** wpadł do wody i zaczął kręcić się w **wli** i **na** **krawęd** i głównego nurtu. Tim, nie bacząc na **zbliżają** **vch** **l** < **eroi**

tonów, rzucił się za zgubą, potykając się o kamienie na dnie. Fale, które wzburzył, zniosły go jeszcze dalej. Scrotton również starał się złapać krążek, ale Tim go ubiegł i znów szybko obracał palcami talizman.

Scrottony zatrzymały się w pół kroku i spojrzały po sobie z osłupieniem. Właściwy Scrotton stał hardo, z zamkniętymi oczami, Tim domyślał się, że stara się przewalczyć moc krążka.

Tim stopniowo się wycofywał. Scrotton nawet nie próbował go gonić. Na dystans trzymała go moc jarzębinowego krążka. Tim nie spuszczał ze Scrottona oczu.

Woda zaczęła pryskać, gdy dwa Scrottony gramoliły się na brzeg rzeki, by po chwili zniknąć wśród głązów. Prawdziwy Scrotton też się odwrócił i poszedł ich śladem.

Od strony kamieniołomu pojawiły się cztery kobiety na koniach. Jedna z nich pomachała do Tima i zawołała:

— Złowiłeś COŚ?!!

Tim odmachął, schował jarzębinowy krążek do kieszeni, którą zapiął na guziki.

— Jeszcze nic! — zawołał.

Amazonki dotarły do gęstej kępy młodej leszczyny i pojechały ścieżką wśród krzewów. Tim widział przez gałęzie ich sylwetki, nim jednak dotarły na drugą stronę zarośli, ich kontury rozmyły się i znikły. Tętent kopyt umilkł, jak nożem uciął.

— Jeśli nie te amazonki mnie uratowały — powiedział Tim do siebie na głos — to coś innego...

Tim postanowił nie szukać swoich kaloszy, wspiął się po brzegu, zebrał sprzęt wędkarski i ruszył do domu. Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył Scrottona gramolącego się w górę po skale. Zostawał za nim mokry ślad.

Kiedy Tim zjawił się w Rawne Barton, Fila siedziała u siebie w pokoju. Wstąpił na chwilę do gabinetu taty po lornetkę, zajrzał do pokoju Fili i powiedział zdawkowo:

— Chodź na słówko, siostruniu. Szybko! I od dziś mów do mnie: Mistrzu.

Tim zaprowadził Filę i Sebastiana na poddasze. Przykucnął przy starym oknie w ścianie szczytowej domu, napluł na szybę, by rozpuścić brud, przetaił ją chustką.

— Spójrzcie! — powiedział, manipulując ostrością w lornetce, którą przekazał Sebastianowi. — Tam, w kamiennym łomie. Co widzisz?

Sebastian nie widział nic, póki Tim mu nie pokazał, jak się nastawia ostrość. Szybko przeczesał wzrokiem kamień i przekazał lornetkę Fili.

— Scotton! — zawołała.

— Przyjrzyj się, siostrzyczko.

— Więcej niż jeden! — odparła Fila. — Widzę dwóch

— Jest ich co najmniej trzech — oznajmił Tim. — Mu się udało im wszystkim stawić czoła nad rzeką. W ostatniej chwili uratował mnie jarzębinowy krążek i ...

— Białogłowy na koniach? — rzucił Sebastian

— Skąd wiesz...? — zaczął Tim.

— Kiedy nie ma mnie z wami, to wy ale nie możecie nie mam was pod swoją pieczęcią — odparł wymijająco Sebastian.

— Co knują te Scottony? — zastanawiała się Fila. — Lepiej cię przyjrzyj się lornetkę.

— Schodzą po ścianie i wdrapują się na nią — powiedział Tim.

— No, dobra, ale po co?

— Pomyślcie o motyłu — odezwał się Sebastian. — Kiedyś ktoś dopiero co opuścił poczwarkę. Nie potrafi od razu biec.

się do lotu. Musi odczekać chwilę, poruszając skrzydłami, by jego naczynia wypełniły się krwią, by ciało nabrało nowego kształtu. Rozprostowuje nogi, rozkłada czułki, rozwija trąbkę, porusza brzuchem...

— Czy chcesz przez to powiedzieć — rzekła zdumiona Fila — że to świeżo wyklute Scrottony?

— Można to tak ująć — potwierdził Sebastian.

— Skąd one się biorą? — zamyślił się Tim.

— Później, gdy będzie to bezpieczne, pokażę wam — obiecał Sebastian.

O czwartej po południu, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, wyszli z domu, przemierzili Rawne Ground, przeszli w bród rzekę i skierowali się ku kamieniołomowi. Tim miał na nogach stare trampki.

Sebastian zatrzymał się przed luźnymi kamieniami, które przez lata odrywały się od ściany kamieniołomu. Powiedział rodzeństwu, by trzymali się od niego w odległości kilku kroków i rozpoczął wspinaczkę po wzniesieniu, aż do miejsca, gdzie zaczynała się lita skała. Nagle zaczął wyciągać kamienie z rumowiska i rzucać je za siebie. Przez kilka minut grzebał nachylony. W końcu się wyprostował.

— Chodźcie — powiedział do Fili i Tima.

Podeszli. Wśród łupka i kamieni zauważyli coś, co w pierwszej chwili wydawało im się niewielkim zgniecionym plastikowym workiem na śmieci.

— Co to? — spytał Tim.

— Pociągnę dalej moje porównanie do przepoczwarczającego się motyla — powiedział Sebastian. — Oto skorupka poczwarki, z której wyłoniła się kopia Scrottona.

— Wolne żarty! — obruszył się Tim.

Sebastian nic nie powiedział, ale jego spojrzenie było bardzo wymowne.

Rozdział trzynasty

Powiew zła

Pierwszego dnia po feriach Scrotton stał na początku rzędu uczniów czekających przed pracownią biologiczną. Choć jego ubranie było jak zwykle pomięte i niechlujne, wyglądało na znacznie czystsze. Nie odzywał się do nikogo, wzrok wbił w podłogę.

— Czy to ten prawdziwy, poczciwy Scrotton, którego znamy i uwielbiamy? — Tim szepnął do Fila.

Sebastian, który go usłyszał, pokręcił głową i powiedział:

— To jedna z kopii. Ubranie jest czyste, bo dopiero co się wykuł.

— Niczym motyl — podchwyciła Fila. — Kolory tych owadów są najintensywniejsze po opuszczeniu poczwarki.

Drzwi do pracowni otworzył krótkowłosey, dwudziestokilkuletni, przystojny mężczyzna w niebieskiej marynarce, spodniach khaki, białej koszuli i krawacie z wyszytym herbem uniwersytetu. Jego zamszowe buty były dokładnie wyczyszczone.

— Wchodźcie — zaprosił ich do klasy — i zajmujcie swoje miejsca.

Uczniowie weszli gęsiego i rozeszli się do ławek.

— Nazywam się — odezwał się nauczyciel — David Lou-dacre, będę przez ten tydzień zastępował pannę Bates.

— Dziwaczne nazwisko — zauważył jeden z odważniejszych chłopców, chcąc wypróbować nowego nauczyciela,

który wnioskując z wieku i wyglądu, był świeżo po studiach.

Pan Loudacre nie odpowiedział na zaczepkę od razu, ale twarz mu stężała i spojrzał złowrogo na bezczelnego ucznia oczami zwężonymi do szparek.

— A ty jak masz na nazwisko? — spytał po dłuższej pauzie, w jego głosie pobrzmiwała złość.

— Newbould, proszę pana — wymamrotał pod nosem śmiałek i skulił się na krześle, udając że szuka czegoś w torbie.

— Ustalmy to na samym początku — zaczął pan Loudacre, omiatając klasę wzrokiem. — Nie życzę tu sobie chamstwa, bezczelności ani wygłupów. A teraz — powiedział, biorąc plik kserokopi — panna Bates przygotowała dla was ćwiczenie, które będę nadzorował. Obiektem naszych badań będzie szkielet ptaka. — Odwrócił się i otworzył drzwi szafy. Wewnątrz **znajdowały** się liczne szkielety zwierząt podtrzymywane na drucianych stelażach. — Ty — wskazał Scrottona. — Czyń honory, chłopcze, wyjmij szkielet kurczaka.

Scrotton bez słowa podszedł do szafy, ostrożnie wyjął **szkielet** i postawił na biurku nauczyciela.

— Dziękuję — powiedział pan Loudacre, odwracając preparat bokiem do klasy. Potem znów zwrócił się do Scrottona. — Rozdaj wszystkim te kopie.

Scrotton wziął plik kartek ze szkicami szkieletu kurczaka i zaczął je rozdawać.

— Będę pokazywał poszczególne kości na tym modelu — wyjaśnił pan Loudacre — a wy zaznaczycie je na swoich schematach.

Wszyscy **zaczęli** szukać ołówków i linijek.

— Zapewne zauważyliście — ciągnął nauczyciel — że ptasie kości są niezwykle cienkie. Chodzi o to, by jak naj-

bardziej zmniejszyć wagę i zwiększyć elastyczność, co jest konieczne do lotu. Gdyby ptaki były zbudowane jak Bruce Willis, nigdy nie oderwałyby się od ziemi.

Roześmiał się, zadowolony z własnego żartu, wyjął z kieszeni długopis i zaczął pokazywać kolejne kości, nazwy niektórych z nich zapisywał na tablicy zielonym markerem. Przez trzydzieści minut uczniowie opisywali szkielet. Kiedy skończyli, pan Loudacre zaczął dyktować informacje o funkcjach ważniejszych kości, zwrócił też uwagę na to, że im kość jest większa, tym więcej mięśni jest do niej przyczepionych. Na koniec zebrał opisane przez uczniów schematy, znów wyręczając się Scrottonem, i na tym skończyła się lekcja. Pan Loudacre stanął przy drzwiach, by odprowadzić uczniów wzrokiem.

— Co o tym myślisz? — spytał Tim, gdy znaleźli się na boisku.

— Wyznaczył Scrottona — zauważył Sebastian.

— I kazał mu czynić honory — dodał Tim. — Co wam to przypomina? Widzieliście, jak spojrział na Newboulda? Gdyby tylko wzrok mógł zabijać... — Przejechał palcem wskazującym po gardle.

— Ponadto — ciągnął Sebastian — jest biologiem, jego domeną jest nauka o życiu.

— No i to nazwisko — dorzucił Tim.

— O czym wy mówicie? — spytała Fila, wyjmując z kieszeni batonik z muesli i odwijając go z papierka.

— Nic cię nie zdziwiło, siostruniu? — spytał Tim.

Fila spojrziała zakłopotana.

— Niby co takiego?

— Ten facet, który zastępuje pannę Bates.

— Nie. Co w tym dziwnego? Zastępców jest tyle, co **ON** na pikniku. Jeden przychodzi, drugi **odchodzi**.

— Rusz głową, siostrzyczko.

Fila wzruszyła ramionami i włożyła batonik między zęby.

— Pomyśl, jak się nazywa — naciskał Tim. — Pan Loudacre. Pan David Loudacre, Pan D. Loudacre.

Fila, jakby zapomniała, że ma w ustach batonik. Zamarła i minęło dobre piętnaście sekund nim uniosła rękę i wyjęła batonik spomiędzy zębów.

— O mój Boże! — wyszeptała przerażona. — To de Loudac. To Malodor!

— Nie powiedział ci tego wisiołek? — zdziwił się Tim.

Fila spojrzała na niego jak niepyszna i powiedziała:

— Nie mam go na sobie.

— Co!? — oburzył się Tim. — Dlaczego? Po co go dostałaś?

— Bałam się, że Scrotton znów go będzie próbował ukraść. Należał przecież do królowej Joanny — dodała na swą obronę.

— Nic mnie nie obchodzi, czy był własnością samej Kleopatry czy królowej Saby. Ty...

— Swary nic tu nie pomogą — wtrącił Sebastian. — Co się stało, to się nie odstanie.

— Na pewno nas poznał — powiedział Tim.

— Pewnie tak — rzekł Sebastian. — Nie ma to jednak znaczenia, gdyż nie podejrzewa, że my rozpoznaliśmy jego, tym samym nie czuje się zagrożony. Jeśli o mnie chodzi — Sebastian popatrzył po sobie od stóp do głów i przejechał ręką po włosach, które urosły co najmniej o centymetr od postrzyżyn i mocno sterczały — prawie wcale nie przypominam swej dawnej fizjonomii.

— Zamknij się! — zawołał Tim.

— Ani mi się **myśli** — odparł Sebastian.

— Czy możemy wrócić na Ziemię? — zaproponowała Fila, odzyskując panowanie nad sobą. — Musimy się dowiedzieć, czemu się tu zjawił i co knuje.

Dotarli do najdalszego zakątka boiska i skierowali się w stronę kasztanowca. Większość liści już opadła, bez trudu więc sprawdzili, że Scrotton nie czai się wśród gałęzi pod postacią choćby wrednego gawrona.

— Wydaje mi się to jasne jak słońce — zaczął Sebastian — że Loudacre, Loudac czy Malodor, jak zwał, tak zwał, pomaga Yolandowi w tworzeniu kopii Scrottona. Czas pokaże, jaką jeszcze rolę odegra w szerzeniu zła.

Tuż przed pójściem do domu, członkowie Klubu Atomu zebrali się w laboratorium chemicznym nr 1, by wysłuchać, co ma do powiedzenia Yolanda.

— W piątek, zapewne nie muszę wam o tym przypominać — obwieścił — wybieramy się na wycieczkę do Jasper Point. Mikrobus odjeżdża spod szkoły w południe. Weźcie ze sobą drugie śniadanie, które skonsumujecie w drodze. Możecie zabrać szkolne torby, ale podczas wycieczki musicie je zostawić w mikrobusie. Nie zabierajcie ze sobą nic cennego. Aparaty fotograficzne zostawcie w domu. Ze względów bezpieczeństwa, fotografowanie jest zabronione na terenie Jasper Point. Nie zapomnijcie o długopisach.

Drzwi do laboratorium się otworzyły.

— Jak pewnie wiecie jeszcze ze szkoły podstawowej, każdej wycieczce szkolnej musi towarzyszyć co najmniej dwóch dorosłych opiekunów...

Członkowie Klubu obejrzeni się za siebie. Tim, Fila i Sebastian nie musieli, bo doskonale wiedzieli, kto się zjawił.

Loudacre podszedł do stołu laboratoryjnego i stanął obok Yolanda.

— W tym tygodniu, gdy odbywa się międzyszkolna wymiana z Niemcami brakuje nam nauczycieli — zakomunikował Yoland — ale pan Loudacre jest tak miły, że zgodził się pojechać z nami.

Yoland uśmiechnął się do Loudacre'a i zwrócił się do uczniów:

— Nie muszę chyba mówić, jak macie się zachowywać. Nie tylko będziecie reprezentować naszą szkołę, ale także znajdziecie się na niebezpiecznym terenie. Musicie pilnie wykonywać wszystkie polecenia. Nie oddalajcie się od grupy i słuchajcie pracowników Jasper Point, którzy nie tylko będą dbali o wasze bezpieczeństwo, ale także podzielą się z wami fascynującymi informacjami. Do ich zanotowania posłużą specjalne arkusze. Na terenie elektrowni będziemy przebywać około dwóch godzin, więc powinniśmy być z powrotem około **czwartej**. Powiadomcie o tym rodziców. Szkolne autobusy nie odjadą, póki nie wrócimy. Jakieś pytania? Świetnie, jesteście wolni. Zapewniam, że czeka was dzień pełen wrażeń.

Gdy wychodzili z laboratorium, Tim szepnął pod nosem:

— To tak samo pewne, jak to, że wielkie tygrysy mają wielkie pasy.



Rozdział czternasty

Jedną nogą w grobie

Biały mikrobus stał przy **szkolnej** bramie, na jego boku widniały nazwa i herb szkoły. Yoland siadł za kierownicą, o jego fotel oparta była dyplomatką, którą Fila widziała poprzednio pod biurkiem w gabinecie. Loudacre stał przy drzwiach do autobusu i odhaczał na liście wsiadających uczniów. Do wszystkich **uśmiechał** się miło i zagadywał serdecznie.

Gdy Fila przechodziła obok niego, wyczula woń zepsutego soku jabłkowego w kartonie i skwaśniałego mleka. Zrobiło jej się trochę niedobrze, nie widziała jednak czy od zapachu unoszącego się wokół nauczyciela, czy od własnego strachu. Wcale nie uśmiechała jej się podróż jednym mikrobusem z **Malodorem**.

— Masz na sobie wisiorek królowej Joanny? — Tim spytał półgłosem Filę.

— A po co? — odparła. — Wszyscy wiemy, gdzie czai się zło. Wibrowałby jak szalony przez cały dzień niczym pszczoła, która wpadła za kołnierz.

— Vespa latająca wspaniale — dodał Sebastian.

— Co takiego? — zdumiał się Tim. — Skuter jeżdżący do tyłu?!

— Vespa — wyjaśnił markotnie Sebastian, bo nikt nie zrozumiał jego żartu — to po łacinie osa.

Fila, Sebastian i Tim usiedli w środku pojazdu. Loudacre zajął miejsce przy drzwiach, zaś Scrotton przy wyjściu awaryjnym z tyłu. Na siedzeniach w przedostatnim rzędzie leżała wielka, granatowa torba z uszami z nazwą firmy — czołowego producenta sprzętu sportowego.

— Przepraszam pana — Tim spytał Loudacre'a z udawaną naiwnością. — Co jest w tej torbie?

Loudacre spojrzął, jakby widział ją pierwszy raz w życiu i odparł:

— Nie mam pojęcia. Pewnie zostawili ją ci, którzy poprzednio korzystali z mikrobusu. O ile mi wiadomo, była to drużyna piłkarzy z jedenastej klasy, wczoraj po południu.

— Akurat! — szepnął Tim do Sebastiana. — Sierżancik z drużyny miałby zapomnieć o sprzęcie? Mało prawdopodobne...

Yoland zapalił silnik i z rury wydechowej uniosły się kłęby dymu.

— Czy wszyscy zapięli pasy? — zawołał Yoland.

Loudacre przeszedł się po mikrobusie niczym stewardesa sprawdzająca pasażerów przed startem i potwierdził, że wszyscy są przypięci. Zazgrzytała skrzynia biegów i pojazd ruszył.

Jechali szybko głównymi drogami w kierunku wybrzeża i wkrótce ujrzeli na horyzoncie pięć sześciennych budynków pomalowanych na szaro, w kierunku których biegły przez krajobraz słupy wysokiego napięcia.

— Wyglądają jakby maszerowały: stalowa armia w natarciu — zauważyła Fila.

Mówiąc, spojrzała na twarz Loudacre'a. Na jego wargach pojawił się nikły uśmiezek.

Yoland zwolnił i skręcił w lewo z głównej drogi. Na rogu stał niewielki drogowskaz do Cockleton i znacznie większy

z napisem: Krajowe Przedsiębiorstwo Energetyki Atomowej, 10 kilometrów od elektrowni Jądrowa Jasper Point: 10 kilometrów.

— 10 kilometrów! — zawołała Fila. — Te budynki... są być olbrzymie. Myślałam, że zostało nam do nich tylko półtora kilometra.

Niebawem wjechali do wioski Cockleton. Yolanda... zjechała na bok, by przepuścić siedem potężnych ciężarówek eskortowanych przez policję, zmierzających w przeciwnym kierunku.

— Odpady radioaktywne — stwierdził Tim.

Większość domów, niektóre kryte strzechą, stało przodem do drogi. Były aż po okna obryzgane błotem. Pożółkłe krzewy w ogrodach pokrywała gruba warstwa pyłu. Szyld nad pubem aż prosił się o odmalowanie, a słoma na dachu w miejscu, gdzie zawadzały przejeżdżające ciężarówki była w strzępach.

— To musiała być piękna wioska, nim zbudowali elektrownię — zauważył Tim, gdy autobus jechał nad brzoźmiem, które niegdyś było zapewne malownicze. Od lat jednak niszczało, walał się przy nim kadłub kutra rybackiego zakopany do połowy w mule, obrosnięty wybujałymi trzcinami.

Gdy wyjechali z wioski, Loudacre wychylił się i zaczął rozmawiać ze Scottonem. Sebastian cytrnął Tima w ramię i wskazał mu wzrokiem... tową. Tim spojrzął w tamtą stronę i pod fotel... stopą kostki Fili. I ona zerknęła w tym samym kierunku.

Zawartość torby ruszała się.

Scotton przyłapał spojrzenie Tima i warknął:

— Czego się gapisz?

Energicznie kopnął torbę.

Przy bramie na teren elektrowni stało dwunastu policjantów ubranych w kamizelki i kaski.

i uzbrojonych — Tim **zakonotował** to z entuzjazmem — w pistolety maszynowe MP5.

— Najlepsza broń antyterrorystyczna na świecie — zachwycił się Tim, niczym miłośnik militariów podczas międzynarodowych targów broni.

Strażnicy sprawdzili przepustkę Yolanda, sterowana elektronicznie brama otworzyła się i mikrobus skierował się na parking, gdzie zajął miejsce dla gości. Loudacre otworzył drzwi pojazdu, gdy pojawił się mężczyzna ubrany w biały kombinezon i jaskrawożółty kask.

— Dzień dobry — powitał ich serdecznie. — Witamy w Jasper Point. Podejdźcie, proszę, do mnie. Nauczyciele też.

Wszyscy wyszli z mikrobusu i otoczyli przybysza.

— Nazywam się Clayton, będę waszym przewodnikiem — **zakomunikował**. — Nasza wycieczka potrwa około półtorej godziny. Nim wyruszymy w drogę, warto, by każdy z was przypiął sobie taki drobiazg do ubrania. — Wyjął z kieszeni garść plastikowych plakietek. — To — wyjaśnił — dozymetry. Pokażą promieniowanie, na jakie byliście wystawieni. Gdy zwiedzanie dobiegnie końca, powinny wykazać, że nie przyjęliście żadnej dawki promieniowania. Wbrew powszechnej opinii, Jasper Point to niezwykle bezpieczne miejsce. Proszę za mną.

Kiedy ruszyli, przewodnik zauważył, że Yolanda niesie ze sobą aktówkę.

— Wybacz pan — powiedział — obawiam się, że musi pan to zostawić w recepcji.

— Mam tu tylko kserokopie z ćwiczeniami dla uczniów — wyjaśnił Yolanda. Otworzył aktówkę, by przewodnik mógł do niej zajrzeć.

Clayton zerknął do środka.

— Mimo wszystko, musi ją pan zostawić w **re: ep |l**
— stwierdził. — Takie obowiązują tu zasady. **Żyjemy**
w mało pewnych czasach.

— No właśnie! — szepnął pod nosem Tim.

Yoland wyjął plik kartek spiętych spinaczem i zwrócił się do Scrottona:

— Rozdaj je, proszę.

Sebastian zauważył, że gdy przekazywał plik Scrottonowi, wyjął z teczki niewielką wyściełaną kopertę i wsunął ją do kieszeni. Potem przekazał teczkę recepcjoniście.

— Wziął klucze — Sebastian poinformował Filę i Tima. Kiwnęli porozumiewawczo głowami.

Gdy Scrotton rozdał kserokopie, wycieczka wkroczyła do pierwszego budynku. Wszyscy kolejno podpisali się na monitorze komputera za pomocą pióra świetlnego, otrzymali identyfikatory dla gości oraz niebieskie kaski.

— Szkoda mi następnego gościa, który dostanie utytłany brudem i tłuszczem kask, wiadomo po kim — rzuciła Fila.

Po dopełnieniu formalności ruszyli długim korytarzem, po suficie którego biegły różnokolorowe ruty i kable. Kiedy szli, przewodnik opowiadał im o elektrowni.

— Jasper Point — mówił — to elektrownia jądrowa AGR, czyli z udoskonalonym reaktorem z chłodzeniem gazowym. Właściwie to mamy tu dwa reaktory, A i B. Ten drugi jest obecnie zamknięty, gdyż odbywa się jego konserwacja, dlatego też odwiedzimy reaktor A. Każdy z reaktorów wytwarza energię, która wystarczyłaby do zapalenia ponad dziesięciu milionów żarówek. — Otworzył drzwi prowadzące do długiego łącznika. — Chodźcie za mną.

— Jaki gaz jest wykorzystywany w tym reaktorze?
— spytał Tim.

— Dwutlenek węgla — padła odpowiedź. — Jest cięższy od powietrza i stosunkowo obojętny. A więc nie jest palny ani wybuchowy.

— A jaką temperaturę ma gaz w reaktorze, proszę pana?
— zapytał Sebastian.

— Około 460° Celsjusza — odparł Clayton — czyli ponad cztery i pół raza więcej od temperatury wrzenia wody.

— Jak się domyślam, gaz jest pod wielkim ciśnieniem
— ciągnął Sebastian.

— Faktycznie — potwierdził Clayton. Przeciągnął kartą przez czytnik na ścianie i otworzyła się śluza powietrzna.

— To serce Jasper Point.

Tim i Fila wiedzieli, co Sebastianowi chodzi po głowie. Rozwój alchemii powstrzymywały trudności z osiągnięciem niezwykle wysokiej temperatury i ciśnienia. A oto w tym samym miejscu znalazło się jedno i drugie — podobnie jak dwaj stojący po stronie zła alchemicy.

Uczniowie przeszli przez śluzę powietrzną, by znaleźć się na balkonie, o szklanej podłodze. W dole trzech mężczyzn siedziało przy szerokim pulpicie sterowniczym pełnym monitorów komputerowych, ekranów telewizji przemysłowej, liczników i przełączników.

— To centralny punkt sterowania — wyjaśnił pan Clayton. — Prawie wszystkie czynności są w pełni zautomatyzowane i wykonywane z tego miejsca. A teraz chodźmy do samego reaktora.

Pokonali krótkie przejście. Przez okna widać było płatinę rur i przewodów, biegnących przy ścianie sąsiedniego budynku. Ze spoeń niektórych rur unosiły się smugi pary. Przewodnik poprowadził ich w górę wysokimi metalowymi schodami, które prowadziły do budynku przepastnym hangar.

— Tu mieści się reaktor A — oznajmił Clayton ukrywaną dumą.

Weszli za nim do środka. Wnętrze pomieszczenia oświetlały halogenowe lampy zwisające pod sufitem, co najmniej pięćdziesiąt metrów nad ziemią.

— Gdzie jest reaktor? — spytał ktoś.

— Dobrze pytanie — podchwycił Clayton. — Znajdują się tuż pod waszymi stopami. Stoicie na nim.

Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem pod nogi.

Na podłogę składała się mozaika metalowych, wypolerowanych płyt o średnicy około metra przypominających pokrywy studzienek.

— Reaktor ma ponad dziesięć metrów wysokości i waży ponad 2000 ton — tłumaczył przewodnik. — Jest zamontowany w żelbetonowej kapsule o grubości czterech metrów.

— Działa teraz? — spytał jeden z uczniów.

— Oczywiście — odparł Clayton. — W tej chwili wytwarza właśnie ponad 800 megawatów prądu.

Yoland i Loudacre trzymali się z tyłu za grupą. Scrotton stał obok. Tim obserwował ich, ale nie głądało na to, że słuchają przewodnika i on nie patrzył na Clayтона. Kiedy znów spojrzął w stronę Scrottona, gdzieś znikł.

Szturchnął Filę i Sebastiana.

— Widzicie gdzieś Scrottona?

Rozejrzeli się i wzruszyli ramionami.

— To gdzie się podział?

— Paliwo jądrowe — ciągnął przewodnik — składa się z długich prętów lub sztabek. Świeże pręty dostarczają do reaktora, zaś zużyte usuwane, za pomocą specjalnych urządzeń.

Wskazał na wysoką, pomalowaną na żółto wieżę, złożoną z metalowych dźwigarów. Jeden bok składał się z platform rozmieszczonych w równych odstępach, na które prowadziły drabiny. Cała konstrukcja przypominała Timowi nieco trampolinę stojącą przy basenie o wymiarach olimpijskich. Wznosiła się prawie pod sufit.

— Pod każdą płytą pod waszymi stopami znajduje się pręt paliwa jądrowego oraz pręt sterowniczy — ciągnął przewodnik, odwracając się plecami do wieży. — Zużyte są usuwane...

Fila dostrzegła kącikiem oka jakiś ruch za wieżą. Loudacre odłączył się od grupy i ostrożnie otwierał stalowe drzwi ewakuacyjne na końcu hali, oglądając się przy tym przez ramię.

Wskazując w jego kierunku brodą, dziewczynka wyszeptowała:

— Zaczyna się.

Gdy drzwi uchyliły się nieco szerzej, do środka wszedł Scrotton, ciągnąc za sobą torbę, którą przywieźli mikrobusem. Loudacre zamknął drzwi. Scrotton pospiesznie otworzył torbę, z której Loudacre wyjął kilka zakorkowanych probówek. Ich zawartość wrzucił do torby. Boki torby zaczęły gwałtownie drgać i ponad dwadzieścia maleńkich Scrottonów, niewiele większych od niemowląt, wyskoczyło z niej niczym wyrzucone przez sprężynę.

— Więc to takie buty...! — zawołał Tim.

— De Loudac nie próżnował — zauważył Sebastian.

Scrottony rosły w oczach. Po kilku sekundach osiągnęły rozmiary oryginału, z tą jednak różnicą, że były zupełnie nagie. Ich kosmate ciała przypominały parchate mały pierścienie na świerzb.

W tym momencie Clayton, który mówił coś do Yolanda i uczniów, zauważył przybyszów.

— Co tu się, do diabła, dzieje? — zdumiał się i sięgnął po krótkofalówkę, którą miał przy pasku.

Uczniowie odwrócili się. Po drugiej stronie hali stały Scrottony, a na ich czele ten prawdziwy. Na chwilę zapadła cisza, nikt się nie odzywał, słysząc było tylko szum maszyn. Potem rozległ się pisk dziewczynki. Pozostałe uczennice też zaczęły wrzeszczeć. Chłopcy stali bezradni. Nie wiedząc, co robić, patrzyli z nadzieją w stronę nauczycieli, na próżno jednak oczekując od nich pomocy.

Ledwie Clayton zdołał wydukać choćby słowo, Yoland upuścił coś na **metalową** podłogę tuż przed nim. Przedmiot zadzwonił i błysnął w silnym świetle halogenów. Przewodnik, zapominając o krótkofalówce, schylił się, podniósł oburącz przedmiot i uniósł go do oczu, zafrapowany niczym dziecko, które znalazło coś ciekawego.

— To jedna ze starych monet — powiedział Tim.

— Tak jak podejrzewałem — oznajmił Sebastian — służą do odciągania uwagi i pozbawiania woli tych, którzy sprzeciwiają się Yolandowi. Złoto fascynuje człowieka. W pewnym sensie też może wykradać ludziom dusze, sam się o tym przekonałeś, gdy nie mogłeś się uwolnić od monety.

Scrottony, wszystkie tej samej wielkości, identyczne w swej kudłatej nagości, wbiegały w podskokach coraz wyżej, z platformy na platformę wieży służącej do uzupełniania paliwa. Inne wspinały się po rurach na ścianie, a jeszcze inne ganiały się po podłodze na czworakach, bawiąc się w dziwaczego berka. Te z wieży przeskakiwały na ściany, wydając z siebie dzikie wrzaski. Na ekranach telewizji przemysłowej w hali można było obserwować ich wybryki.

— Co one robią? — zastanawiała się Fila.

— Odciągają uwagę — wyjaśnił Sebastian.

— Od czego? — spytał Tim.

Wtedy Fila spytała:

— Gdzie jest Loudacre?

Rozejrzeli się dookoła. Nigdzie nie było go widać.

— Idę o zakład, że zmierza do centrum sterowania

— domyślał się Sebastian. — Filu! Idź za nim. My z Timem zajmujemy się Scrottonami i Yolandem.

— Trzeba dać im wycisk! — zawołał Tim.

Scrotton wydał charczący skowyt, zupełnie jak pawian. Kopie Scrottona zeszły na dół z wieży i ścian. Kilkanaście ustawiło się wianuszkiem wokół swego pierwowzoru, kierując twarze na zewnątrz. Obnażyły zębiska i skrzywiły się jak psy chore na wściekliznę. Prawdziwy Scrotton stanął obok nauczyciela. Jego kopie zaczęły zaganiać w róg członków Klubu Atomu, szturchając ich przy tym i warcząc. Dziewczynki kurczowo trzymały się jedna drugiej. Kilka płakało, inne przyłączyły się do chłopców, którzy atakowali kopie, zmuszając je do cofania się.

Fila zwróciła się do chłopca o imieniu Den:

— Zabierz stąd wszystkich. Najszybciej jak możesz. Wyprowadź ich z budynku. Nie zwracaj uwagi na Scrottona.

— Którego? — spytał skonsternowany Den.

— Na wszystkich — odparła Fila. — Zwłaszcza na tego ubranego. I nie słuchaj nauczycieli.

— Ale... — zaczął Den.

— Żadnych ale! — ucięła Fila. — Bez głupich pytań. Rób, co każę.

Den nadal się wahał, wciąż osłupiały.

— A jeśli...? — zaczął.

— Daj spokój! — wrzasnął Tim.

— Wyjdźcie tą samą drogą, którą tu weszliśmy — rzekła Fila. — Jeśli spotkasz kogoś, powiedz mu...

Reszta zdania utonęła w ogłuszającym dzwonieniu alarmu. Światła stroboskopowe umieszczone w górze zaczęły błyskać.

— Ale gdzie... — zaczął Den.

— Wyprowadź ich! — wydarła się Fila, której skończyła się już cierpliwość.

Pobiegła do drzwi, którymi tu weszli i otworzyła je. W połowie schodów dostrzegła schodzącego Loudacre'a. Nie namyślając się wiele, ruszyła za nim. Członkowie Klubu Atomu poszli jej śladem pod przewodnictwem Dena.

Pośrodku podłogi reaktora stał Yoland ze wzniesionymi rękoma. Scrotton zdjął ze ściany długie narzędzie z wypolerowanej stali. Jeden koniec wyglądał jak klucz francuski.

— Ale przypał! — Tim zawołał do Sebastiana. — To musi być narzędzie do...

Nie musiał kończyć, bo Scrotton przyłożył końcówkę z kluczem francuskim do wypustki w panelu podłogi, obrócił, dźwignął i przeniósł pokrywę na bok. Z wnętrza reaktora zaczął się z rykiem ulatniać gaz. Płyta poleciała przez całą halę i rozbiła się o ścianę. Po drodze trafiła na nagiego Scrottona i rozpłatała mu pierś aż po żebra. Ugodzony zawył głosem tak cienkim, że utonął w syku ulatniającego się gazu.

Dzwonił alarm. Wskazówki mierników na ścianie zaczęły drgać i obracać się. Kolorowe diody na tablicy z wyłącznikami migały jak oszalałe. Cyferki na wyświetlaczach zmieniały się tak szybko, że trudno było odczytać rozmyte, czerwone liczby.

Chmura ulatniającego się gazu wzbiła się w powietrze, tak że Scrotton musiał się odsunąć. Ostonił twarz dłońmi. Tim zauważył, że spalił sobie brew. Oberwał ręką jej wisające strzępki.

Pięciu inżynierów elektrowni jądrowej **wbiegło** do hali w pomarańczowych kombinezonach. Skierowali się w stronę Yolanda, którego również odrzucił podmuch gorącego gazu. Rzucił w nich garść **nobli**. Stanęli jak wryci, ale ponieważ nie mogli podnieść monet grubymi, ochronnymi rękawiczkami, pochylili się nad złotem i wpatrywali się w nie jak oczarowani. Kilka Scrottonów podniosło monety i zaprowadziło inżynierów w róg, gdzie był już Clayton. Pilnowali ich, warcząc od czasu do czasu.

Mechaniczny głos powtarzał z głośników: Alarm: promieniowanie radioaktywne — Alarm: promieniowanie radioaktywne. Wszyscy prócz ekipy ratowniczej muszą opuścić halę reaktora.

— Musimy wiać — zawołał Tim do Sebastiana, przekrzykując hałas dzwonek i ulatniającego się gazu. — Dwutlenek węgla jest cięższy od powietrza. Za kilka minut wypełni pomieszczenie.

Yoland rozerwał kopertę. Monotonnie recytując piskliwym głosem, wyjął magiczne klucze i wrzucał je kolejno do reaktora. Siła ulatniającego się gazu uniosła je wysoko, po chwili spadły na ziemię, coś gruchnęło i rozpląnęły się jak kamfora.

Próbował **dalej**. Jeden z kluczy trafił do reaktora, pozostałe chybiły i wybuchły, uderzając o podłogę lub ścianę.

— Scrotton — zawołał Yoland — każ Loudacre'owi zmniejszyć ciśnienie w reaktorze i wracaj do mnie.

— Jeśli uda mu się obniżyć ciśnienie — powiedział gorączkowo Tim — reaktor przegrzeje się i stopi. Za niecałe trzydzieści minut Jasper Point stanie się drugim Czarnobylem.

Scrotton puścił się pędem do wyjścia z reaktora i znikł.



Fila dotarła do centrum sterów. Wewnątrz zastała trzech podłoga, obracali w dłoniach przy półkolistym pulpicie sterowniczym. Spojrzył na

Poczuła, jak krew odpływa ugięty, ręce zaczęły drżeć, a po

Skoncentrowała wzrok na przyciskach przypominając sobie sytuację z sklepowego, i mocno się skupiła. pulpitem powoli malały.

— A zatem — powiedział bachor alchemika uczynił cię

Fila nie odpowiedziała, tylko na przełącznikach. Liczby wciąż

— Jesteś zwykłą dziewczynką, mną w szranki — rzekł z lekceważeni

Odsunął się o krok od pulpitu. suwały się same. Fila starała się potrafiła. Odczyt nadal spadał.

Włożyła dłoń do kieszeni i wyjęła. Jeśli nie dam rady zatrzymać przelara, pomyślała, może przynajmniej re'a — De Loudaca, Malodora.

— Moja wola i umiejętności — skonalone przez wieki, przeciwko twoim w ile? Tydzień?

Fila, trzymając rękę z boku, nadal obracała w palcach krążek. Nie przestawała, wciąż kręciła nim najszybciej jak potrafiła.

— Odważna próba — pochwalił ją Loudacre — **ale** jestem odporny na takie dziecinne zabaweczki. Może działają na Yolanda. Ale on mi do pięt nie dorasta. W porównaniu ze mną jest żółtodziobem.

Wskazania wciąż spadały, coraz szybciej i bardziej równomiernie.

Fila obracała krążek. Przecież musi zadziałać.

Nawet z odległości kilku metrów Fila czuła odór oddechu Loudacre'a. Cuchnął rozkładającym się mięsem, zdechłymi rybami i butwiejącymi roślinami.

— Daremny trud — wycedził Loudacre.

Fila zrezygnowała i włożyła krążek do kieszeni.

— Myślisz, że cię nie znam? — mówił. — Nie zapomniałem...

— Ani ja ciebie — przerwała mu hardo Fila.

Oczy Loudacre'a zwęziły się. Przez szparki powiek widać było ogień, który płonął w jego oczach, podobnie jak u Yolanda.

— Nie wątpię — odparł.

Skierował lewą rękę w stronę Fili. Poczuła, jak jakaś dziwna fala przepływa przez jej ciało, miała wrażenie, że ciało kurczy się wokół jej kości.

— Mogę pozbawić cię życia, nawet cię nie dotykając — postraszył ją Loudacre głosem niewiele **głośniejszym** od szeptu. — Przemyśl to. Lepiej, byś czuła przede mną respekt. Wielki respekt.

Fila starała się złapać oddech.

— Niebawem, wścibska pokrako, powietrze będzie dla ciebie droższe od złota.

Loudacre odwrócił się plecami do Fila i przebiegł na kontrolki. Cyfrowy licznik nadal spadał.

Fila rzeziła z braku tlenu, zaczęło się jej kręcić w głowie. Rozejrzała się dookoła. Musiała coś zrobić. Na ścianie wisiała niewielka, zielona gaśnica, a nad nią tabliczka: Tylko do pożarów spowodowanych przez elektryczność. Zapewne jest dość ciężka — pomyślała Fila — by posłużyć za broń, jeśli tylko mam dość siły, by ją unieść. Zapewne, doszła do wniosku, spełni zadanie.

Szarpnięciem wyrwała gaśnicę z uchwytu, przygarnęła do piersi jedną ręką, a drugą usunęła blokadę.

— Respekt przed tobą? — wydyszała zuchwale. — Nigdy!

Loudacre odwrócił się do niej. Fila nacisnęła spust gaśnicy. Strumień mieszanki argonu i azotu uderzył go w twarz. Osłonił się dłońmi. Lodowate gazy pod ciśnieniem zdarły mu skórę z dłoni. Zatonął się na pulpi i upadł na ziemię. Jęczał, starając się złapać oddech.

Gdy gaśnica była pusta, Fila podbiegła do drzwi sterowania. Kiedy znalazła się na zewnątrz, mogła już malnie oddychać. Ile sił w nogach ruszyła po drodze do reaktora.

W połowie drogi natknęła się na Scrottona, który spadł w dół. Gdy został mu do niej metr, przeskoczył nad jej głową, wylądował w centrum sterowania i wpadł do środka.

Fila dotarła do hali reaktora. Dostrzegła Yolanda, który cęgo przy otworze w podłodze, z którego się już strumień dwutlenku węgla. Dzwonił i milkły. Scrottony, ustawione twarzami w stronę czały Yolanda. Tim i Sebastian znajdowali się od nich.

— Co się stało? — spytała Tima.

— Ciśnienie spadło. Yoland zaraz dopnie swego. Gdzie jest Loudacre?

— Wypadł z gry — odparła Fila. — Jarzębinowy krążek ani moc punitora nie działają na niego, więc ugasiłam jego płomień konwencjonalnie.

Yoland uniósł, jakby błagalnie, ręce. Z kieszeni marynarki sterczała koperta z magicznymi kluczami.

— Co jest? — spytała Fila.

W otworze pojawiła się niewyraźna, mglista twarz, jak te — pomyślała Fila — które czasem tworzą się z chmur w letnie dni. Ta jednak zdawała się bardziej materialna.

— Wróg — powiedział zwięźle Sebastian.

— Czyj wróg...?

Popatrzyła jeszcze raz. Twarz była przyjazna, uśmiechnięta, radosna. Ale po chwili zaczęła chytrze łypać okiem, wargi się wykrzywiły, uwydatniły kości policzkowe, a włosy stały się matowe i długie.

— Wróg każdego — powiedział Tim, biorąc siostrę za rękę.

— Każdego, kto ma czystą duszę i dobre zamiary — uzupełnił Sebastian.

— To **znaczy**... — zaczęła Fila.

— Oto — potwierdził Sebastian — szatański wizerunek Belzebuba, Lucyfera, Mefista, Ahrimana...

Mechaniczny głos **zaczął** podawać nowy komunikat: Awaria reaktora — Awaria reaktora. Zespół od skażeń — stan najwyższego pogotowia. Zespół od skażeń — stan najwyższego pogotowia.

Eteryczna twarz stała się niebieska niczym iskra elektryczna i otworzyła usta. Wyleciał z nich rój tłustych much

plujek, które **ustawiły** się w szyku i wleciały w głąb reaktora. Gdy tylko **znikły** z pola widzenia, twarz się rozwiła.

— Tym właśnie zajmował się Yoland, kiedy odbywałam karę w pracowni chemicznej — wyjaśniła Fila. — On wywołuje...

— Musimy odebrać Yolandowi magiczne klucze — oświadczył Sebastian. — Wykorzystajcie swe moce punitorów. Nasza trójka przeciwko jemu jednemu.

— Nie ma wyjścia — uznał Tim. — Gotowi?

Fila i Sebastian skinęli głowami.

Cała trójka podbiegła do Yolanda, roztrącając otaczających go Scrottonów. Kilku z nich zaczęło wspinać się po ścianach, wydając odgłosy jak rozzłoszczone małpy. Jeden spadł na ziemię i sflaczał niczym przekłuty balon. Sebastian zbliżał się do Yolanda. Przez chwilę się szamotali, nim Sebastian wyszarpnął kopertę z kieszeni nauczyciela.

Kilka magicznych kluczy spadło z brzękiem na ziemię. Scrotton podbiegł, by je zebrać. Tim wymierzył mu kopniaka w szczękę. Zęby Scrottona uderzyły o siebie i zaklekotały jak kastaniety. Yoland starał się odzyskać klucze, ale Sebastian wziął kilka i rzucił Timowi.

— Weźcie po garści — krzyknął Sebastian. — Ciśnijcie nimi mocno o ścianę.

Rodzeństwo wykonało polecenie. Gdy klucze uderzyły o ściany hali, rozbłysły tęczą barw niczym fajerwerki. Szmaragdowe, żółte, **akwamarynowe**, szkarłatne i fioletowe iskry trysnęły z nich, o wiele żywsze niż sztuczne ognie.

Drzwi do hali się otworzyły i do środka wtoczył się Loudacre. Twarz miał okaleczoną gazem z gaśnicy. Skóra z wierzchu dłoni była zdarta do żywego, z jednego oka obficie płynęły łzy. Drugie było na wpół zamknięte. Wargi miał popękane, a czoło czerwone, jakby spalone na **słońcu**.

Na jego widok Fila czym prędzej wsunęła do kieszeni magiczne klucze, które ścisnęła w dłoni.

Loudacre począpał chwiejnym krokiem ku Yolandowi, wymachując rękoma. Przytrzymał się nauczyciela chemii i obaj się zachwiali. Zatoczyli się kilka kroków do tyłu. Przy dziurze do reaktora Loudacre stracił równowagę.

— Wpadnie do środka! — wymamrotał Tim.

Loudacre staczał się powoli, uczepony paska Yolanda, ciągnąc go za sobą w czeluść. Otworzył usta i zawył. Był to nieziemski skowyt, na wpół ludzki, na wpół zwierzęcy, pierwotny, przeraźliwy.

Yoland starał się oderwać palce Loudacre'a od swego paska, ale były mocno zaciśnięte. Zaczął rozpinać klamrę — za późno. Loudacre chciał się wywindować w górę jednym szarpnięciem i wtedy Yoland stracił równowagę. Gdy Loudacre znikł z pola widzenia dzieci, Yoland usiłował znaleźć coś, czego mógłby się schwycić, lecz płyty na podłodze były połączone bez najmniejszej wypukłości. Z jego gardła wydobył się krótki krzyk, a po chwili także i Yoland zniknął w przeraźliwej czeluści.

Scrottony, uczeponie ścian, zaczęły odpadać. Jeden, zwi-sający z dźwigarów pod sufitem, puścił się i spadł prosto do reaktora w ślad za Yolandem i Loudacrem.

Tim poczuł, że ktoś chwyta go za ramię.

— Spójrz! — Fila pokazała mu dozymetr przyczepiony do koszuli. Kwadracik folii, przejrzysty, gdy go zakładała, stał się ciemnoszary.

— Uciekajmy! — zawołał Tim.

Sebastian podbiegł do inżynierów i zabrał im złote monety. Pięciu mężczyzn natychmiast ocknęło się i pospiesznie zaczęło przykrywać otwór reaktora. Jeden z nich zajął się podniesieniem ciśnienia chłodziwa. Tim odebrał mo-

netę Claytonowi. Przewodnik stał niepewnie na nogach, potrząsając głową, by odzyskać w pełni świadomość.

Fila chwyciła przewodnika za rękę i poprowadziła do wyjścia. Zbiegli po schodach ile sił w nogach. W recepcji pozostali członkowie Klubu Atomu chowali się za kontu-arem.

— Jest z wami Scotton? — Tim spytał Dena.

— Ten w szkolnym wdzianku — dodała Fila.

— Nie — padła odpowiedź. Den wskazał drzwi prowadzące na parking dla gości. — Tam pobiegł.

Tim otworzył z rozmachem główne drzwi. Scotton biegł szybko drogą ku zewnętrznemu ogrodzeniu. Lego szkolna marynarka łopotała w podmuchach powietrza.

— Zatrzymajcie go! — Tim krzyknął do oficerów policji.

— Strzelajcie!

— To jeden z uczniów! — usłyszał w odpowiedzi.

— Wcale nie! — krzyknął. Ponieważ nie mógł powiedzieć całej prawdy rzekł: — To terrorysta! Otworzył reaktor. Wrzucił do niego bomby. Sam widziałem. — Przynajmniej do pewnego stopnia, to prawda, pomyślał.

Obaj policjanci unieśli pistolety maszynowe.

— Stój, bo strzelam! — zawołał starszy rangą policjant, sierżant.

Scotton nie usłuchał.

— Ostatnie ostrzeżenie!

Scotton biegł dalej zygzakiem.

— Ognia! — wydał rozkaz sierżant.

Rozległa się krótka seria z automatu. Trafiony Scotton zatoczył się. Kule, które chybiły, odbiły się rykoszetem od jezdni.

— Wstrzymać ogień!

Terkot broni umilkł gwałtownie. Policjanci ruszyli w stronę uciekiniera z pistoletami w pogotowiu. Tim szedł kilka kroków za nimi.

Scrotton leżał pośrodku drogi z jedną ręką podwiniętą pod ciało, głową odrzuconą w bok. Oczy miał otwarte i wybałuszone. W miejscach, gdzie trafiły go kule, w szkolnym mundurku widniały postrzępione dziury.

— O mój Boże! — wymamrotał jeden z policjantów, zabezpieczając broń. — Strzelałem do dziecka.

Gdy policjanci wymieniali uwagi, Scrotton usiadł prosto.

— Nie powinniście ze mną zadzierać — wycharczał głośno.

Po tych słowach jego ciało wybuchło z grzmotnięciem nie większym niż odgłos petardy i ulotniło się niczym kamfora. Pozostała tylko smuga dymu, którą szybko rozwiął delikatny wietrzyk znad morza.

— Co to, u diabła, było?! — zdumiał się sierżant.

Czterech oficerów przybiegło na miejsce, gdzie przed chwilą leżało ciało Scrottona. Na asfalcie nie było nawet śladu krwi.

Fila i Sebastian dołączyli do Tima, podczas gdy reszta członków Klubu Atomu zebrała się wokół szkolnego mikrobusu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

— Straciliśmy szofera — zażartował Tim. — Myślicie, że któreś z nich potrafi prowadzić?

Fila już chciała mu odpowiedzieć, ale usłyszała nikłe syczenie i obejrzała się w lewo.

Za ogrodzeniem, zabezpieczonym dodatkowo drutem kolczastym, stał rząd olbrzymich transformatorów, z których wychodziły grube kable wysokiego napięcia. Biegły one do pierwszego z szeregu potężnych słupów, liczących

co najmniej po pięćdziesiąt metrów. Kolejne kable zmierzwały w dal, ku odległym wzgórzom.

Na odcinku około pięciu metrów jeden z kabli był napęczniały, a wybrzuszenie powoli przemieszczało się w kierunku transformatorów. Fila spoglądała na nie z przerażeniem. Kabel wyglądał jak pyton, który połknął królika.

I wtedy ją olśniło. Kiedy Yoland wpadł do reaktora, miał jeszcze przy sobie kilka magicznych kluczy.

— Dopiął swego! — zawołała do Sebastiana i Tima.

— Spójrzcie!

Wskazała na przewód. Wybrzuszenie przemieszczało się coraz szybciej w stronę transformatora. Wokół niego skwierczały i tańczyły zielone iskry.

Fila puściła się biegiem w stronę ogrodzenia, nie dając się wyprzedzić wybrzuszeniu. Tim i Sebastian dotrzymywali jej kroku.

Nim dotarła do policyjnego land rovera stojącego tuż przy parkanie, wiedziała już, co musi zrobić, a przynajmniej, jaką próbę musi podjąć. To było jak objawienie.


Wdrapała się na maskę wozu policyjnego, skąd wgramoliła się na dach, łamiąc przy tym jedną z wycieraczek.

— No, nie! — zawołał pod jej adresem sierżant. — Złaż stamtąd! Co ty wyprawiasz?

Fila, jednak doskonale wiedziała, co robi.

Jeśli do każdego zaklęcia potrzebne są cztery magiczne klucze — zastanawiała się — co się stanie, gdy ta równo waga zostanie zachwiana, gdy dodamy do równania piaty klucz...?

Stojąc na dachu pojazdu, wygrzebała z kieszeni jeden z kluczy. Trzymając go między palcem wskazującym a kciukiem, jak kamień którym puszcza się kamyki, zamachnęła się i cisnęła nim w przewód. Wybiła

Nie ma szansy, pomyślała, trafić w kabel, zwłaszcza że wyrzucenie nabierało rozpędu. Wyjęła kolejny magiczny klucz. Był to jeden z tych zrobionych z białego złota z symbolem pieca .

Zaraz, pomyślała. Drżały jej ręce. Zaraz.

Wyrzucenie, poruszające się coraz szybciej, dotarło do transformatora. Fila wycelowała w nie magicznym kluczem. Spadł na górę obudowy, odbił się i trafił w jeden z wielkich, ceramicznych izolatorów, do których przymocowane były przewody.

W tym samym momencie wyrzucenie dotarło do niego.

Najpierw nic się nie działo, ale po chwili transformator błysnął pomarańczowym ogniem. Oślepiający biały błysk wystrzelił wysoko w górę, wyjąc jak potępieniec. Chromowo-żółte rozbłyski migotały wokół niego.

Tak szybko jak rozbłysła, pochodnia blasku zgasła. Transformator nadal płonął, stalowa obudowa topiła się jak wosk i skapywała na trawę, która zaczęła się tlić.

Fila zgramoliła się z dachu land rovera. Tim podszedł i pomógł jej zejść na ziemię.

— Przybij piątkę, siostrzyczko! — zawołał z entuzjazmem. Poskoczyli w górę, klaszcząc prawymi dłońmi.

— Ale o co chodzi? — spytał Sebastian, zachowując kamienny spokój.

— Jeszcze się dowiesz, chłopie! — odparł Tim. — Jeszcze się dowiesz!



Pani i pan Ledgerowie siedzieli w skupieniu przed telewizorem, gdy wybrzmiał sygnał wiadomości o dziesiątej wieczorem i pojawił się prowadzący.

— Wiadomość dnia — zaczął. — Dzięki szybkiemu działaniu gimnazjalistów nie doszło dziś do katastrofy w elektrowni jądrowej Jasper Point. Uczniowie zwiedzali obiekt z wycieczką szkolną. — Na ekranie pojawiło się panoramiczne zdjęcie elektrowni. — Jak donosi rzecznik, pokrywa reaktora A została usunięta i **zaczął** ulatniać się dwutlenek węgla. Uczniowie nie tylko ewakuowali swoich kolegów i koleżanki, ale także odegrali ważną rolę w powstrzymaniu wycieku gazu. Dwóch nauczycieli towarzyszących wycieczce poniosło śmierć. Rzecznik elektrowni wyraził z tego powodu głęboki żal. Obaj mężczyźni znajdowali się w pobliżu wycieku gazu. Jeden uczeń zginął, poszukiwania trwają. Nie ma najmniejszych obaw, by wydarzenie doprowadziło do skażenia radioaktywnego.

Na ekranie pojawili się Tim, Fila i Sebastian stojący przy szkolnym mikrobusie w towarzystwie policjantów.

— Gimnazjaliści, bliźnięta Timothy i **Filipa** Ledger oraz ich przyjaciel Sebastian Gillette zostali pochwaleni przez służby ratownicze oraz pracowników elektrowni za przytomność umysłu. Doktor Singall, dyrektor gimnazjum Bourne End w mieście Exington, gdzie uczęszcza dzielna trójka, wyraził im swe uznanie w imieniu całej szkoły.

Pani Ledger objęła Filę i Sebastiana. Tim, który siedział na fotelu, uśmiechnął się szeroko.

— **Jesteśmy** z was tacy dumni! — powiedziała łamiącym się głosem. Uśmiechnęła się do Sebastiana i potargała mu włosy. — Z całej waszej trojki — dodała.

— Dziękuję uprzejmie pani Led... Sandro — poprawił się Sebastian.

Puszczono teraz krótką wypowiedź doktora **Singalla** stojącego na krótko przystrzyżonym trawniku przed bramą

szkoły. Za jego plecami widniała tablica z nazwą gimnazjum.

— Właśnie takiej postawy oczekujemy od naszych uczniów — powiedział, spoglądając na dziennikarza przy kamerze. — Są chlubą szkoły i kwiatem młodzieży.

Kamera pokazała budynki szkolne.

Tim spojrział na Sebastiana, następnie na Filę i w końcu na telewizor. Wszyscy zauważyli ten sam szczegół.

Doktor Singall trzymał w dłoni złotą monetę, a w oddali w górnych gałęziach kasztanowca rosnącego na dziedzińcu, przycupnęła jakaś czarna postać.

Na pewno nie była to wrona. Miała bowiem szpiczaste uszy i żółte stopy...



Było późne popołudnie. Liście opadały z drzew. Na rzece kilka kaczek krzyżówek nurkowało w trzcinach, wystawiając do góry kupry. Pałki wodne wytworzyły już nasiona, ich główki przypominające maczugi rozpadały się i miękki puch ulatywał z wiatrem.

— Myślicie, że dostaniemy medal? — zastanawiał się na głos Tim, siadając obok siostry na ławce w Edenie. Następnie afektowanym głosem dodał: — „Czego dokonałeś, młody człowieku?” Pokonałem zło i ocaliłem elektrownię jądrową, Wasza Wysokość. „Co za pyszny popis! Powstań, sir Timothy.”

— Ach, więc sam tego dokonałeś? — obruszyła się Fila.

— Tylko żartowałem — zapewnił ją Tim. — Jeśli będą medale, to trzy.

— Jak myślisz, usłyszymy jeszcze o Yolandzie? Albo o de Loudeacu?

— Po tym, gdy zostali napromieniowani, zmrozeni na kamień i usmażeni? Nie sądzę. To już definitywnie koniec.

Sebastian, który trzymał się na skraju zagajnika, podszedł do nich.

— Panuje tu zaiste zupełnie inny klimat niż w moim dzieciństwie — zauważył. — Na skraju łąki kwitną rozchodnik i boże drzewko. Obie te rośliny powinny obsypywać się kwieciami w lipcu i owocować w sierpniu, a nie rozchyłać pąki teraz, późną jesienią.

— Jak twoje samopoczucie? — spytał Tim.

— Pod jakim względem?

— Nie kleją ci się oczy? Nie nadszedł czas, by udać się w objęcia Morfeusza i zapaść w stan hibernacji?

Sebastian usiadł obok Fili. Jedna z krzyżówek wzbiła się w powietrze, okrążyła zagajnik i wylądowała na wodzie obok pozostałych kaczek.

— Zastanawiałem się nad tym — przyznał Sebastian. — Praktycznie rzecz biorąc, powinienem już zapaść w głęboki sen, a nie jestem nawet senny. Mam tu chyba jeszcze coś do załatwienia.

— Chodzi o doktora Singalla?

— Nie sądzę — oświadczył Sebastian. — Faktycznie znalazł się w posiadaniu złotej monety Yolanda, ale nie czuję, by wiązało się z tym jakieś wielkie zło, odkąd za brakło nauczyciela chemii. — Spojrzał przez łąkę na najpiękniejszy znany mi zakątek. Jak za moich młodych lat

— Przedziwne, że w urokliwych miejscach ma się takie zło — zauważyła Fila.

— Zawsze tak było. Przypomnijcie sobie, jak... Światło jest niczym bez mroku, który by motyło lać. Jak bez zła miałoby istnieć dobro?

Fila wstała. Nerwowa kaczką znów zerwała się do lotu: wyciągnęła szyję, podkuliła nogi i machała wytrwale skrzydłami, by nabrać wysokości.

— Czas na herbatkę i drożdżówki — oznajmiła Fila.

— I tabletki z jodkiem potasowym... — dodał Tim, marszcząc nos. — ...cena, którą musimy płacić za napromieniowanie. — Wziął swoją plakietkę-dozymetr. — A to jakaś pamiątka, czy co?

— Mógłbym zamiast tego przyrządzić napar z ziół leczniczych — powiedział Sebastian w zamyśleniu — ...konieczyna polna, żywokost lekarski, babka i jeszcze krasnorosty...

Wyraz twarzy Fili i Tima wystarczył mu za odpowiedź.

Doszli do furtki przy wozowni.

— Tak więc — powiedziała Fila, naciskając klamkę, — wygląda na to, że jeszcze trochę z nami zostaniesz.

— W rzeczy samej — odparł Sebastian. — Na dobre i na złe.